

Stephanie Gertler

Dziewczyna
Jimmy'ego

1

Nazywam się Emily Hudson i mieszkam w Connecticut, w starym kamiennym domu. Mój ogród, otoczony płotem z szerokich białych sztachet, wzdłuż którego rosną różowe azalie i niebieskie hortensje, nie należy do najpiękniejszych w okolicy: krzewy są stare, drzewiasty bez sprawia wrażenie wyczerpanego, wszędzie poniewierają się piłki futbolowe, zniszczone wiaderka i szpadle. Na końcu zwirowego podjazdu obrzeżonego splekanymi płytami chodnikowymi stoi słupek z koszem, do którego rzucają piłkę dwaj moi spoceni, zarumienieni i rozebrani do pasa synowie. Trzeci syn, z ołówkiem zatkniętym za ucho i puszką piwa imbirowego stojącą w niebezpiecznej bliskości podręcznika, siedzi w kuchni i uczy się biologii. Córka, najmłodsza z całej czwórki, rozmawia na górze przez telefon. Nie widzę jej, ale jestem pewna, że rozparta w odchylonym krześle opiera na biurku bosa stopy. Słyszę jej śmiech.

W kuchni, która jest ciemnozielono-niebieska i ma dębową podłogę z szerokich desek, kroję paprykę i pomidory, słuchając cicho sączących się z radia starych przebojów. Przedwieczne słońce, zasłonięte sosnami, które rosną przed wykuszowym oknem, obsuwa się z nieboskłonu, o czym mówią mi cienie tańczące na ścianie i złociste cętki na blatach.

Stałam się ucieleśnieniem gospodyni domowej z wilowego przedmieścia, beznadziejnie uwikłanej w rozkłady

lekcji, wizyty u ortodonty i kiermasze wypieków. W dodatku wciskającej to wszystko pomiędzy chwile malowania. Ostatnio jeżdżę na urwisko wieńczące Cypel Toda i tam, na punkcie widokowym, maluję obrazy olejne. Towarzyszą im krótkie teksty, ponieważ nie wierzę, iż jeden obraz może zastąpić tysiąc słów. Droga z New Canaan na Cypel Toda w Old Greenwich zajmuje mi codziennie pół godziny. To tam właśnie, w Old Greenwich, odkąd przyszłam na świat, rodzice wynajmowali dom letni. I to tam właśnie dopuściłam się pierwszego aktu nieposłuszeństwa, kiedy poszłam z kolegami nad staw.

— Zakazywaliśmy ci chodzić nad ten staw — powiedzieli rodzice. — Jest mulisty, pełen glonów i mogłabyś utonąć, gdybyś do niego wpadła.

Ale wtedy, jako ośmiolatka, miałam wrażenie, że bardzo pewnie stąkam po ziemi — kiedy wymykałam się nad staw, kiedy bez obawy, że spadnę, wdrapywałam się na oślizgłe od porostów głązy na plaży, kiedy z pasją i determinacją grzebałam w piasku, pewna, iż dokopię się do Chin. Potem, aż do niedawna, bałam się wnikać w cokolwiek zbyt głęboko, zapuszczać na obszary choćby pozornie niebezpieczne. Dopiero ostatnio kieruję kroki ku miejscom w mej przeszłości, których prawdopodobnie powinnam unikać, ale też spoglądanie za siebie zaczyna dostarczać mi pociechy, jest bowiem znacznie łatwiejsze niż próby przeniknięcia wzrokiem przyszłości, owej kryształowej kuli, którą kiedyś, jak sądziłam, mocno dzierżyłam w dłoniach, a którą teraz wypełnia niepewność i mgła. Towarzyszy mi poczucie realizmu, owa przybywająca z wiekiem średnim świadomość, iż człowiek dotarł do rozwidlenia dróg i musi pomiędzy nimi dokonać wyboru. Wiem aż nazbyt dobrze, iż spozieranie do tyłu to jedyny pewnik, że wspomnienia są godne zaufania i wierne, zależne tylko od sposobu, w jaki je postrzegam. I dziękuję Bogu, że przynajmniej przeszłość rysuje się wyraziście, skoro przyszłość bywa tak rozmyta.

Z Cyplem Toda wiąże się coś jeszcze. Coś, o czym jeszcze kilka miesięcy temu usiłowałam nie myśleć, kiedy spoglądałam na horyzont, gdzie urywa się niebo, a zaczyna

morze, gdzie i niebo, i morze zlewają się w rozmażaną nieskończoność. Przypominam sobie lato 1967, myślę o chłopcu, którego kochałam — chłopcu, który utrzymywał, że jest Czirokezem. To było może jedyne kłamstwo, jakie mi opowiedział. Miałam szesnaście, on zaś siedemnaście lat. Znałam go i kochałam zaledwie cztery miesiące, ale ten okres wydaje mi się wiecznością. Mieszkał z nami w domu letnim przez tydzień poprzedzający jego wyjazd. Matka dała mu pokój gościnny sąsiadujący z jej sypialnią. Zawsze czujna. Bez przerwy zastanawiająca się na głos, dlaczego mieszka z nami, a nie ze swoją rodziną.

Mówił ci kiedyś, dlaczego tu jest? dociekała.

Nigdy go o to nie pytałam, odpowiadałam zwykle.

To, że jest ze mną, uznawałam za naturalne i oczywiste. Staliśmy razem na tych skałach, gdzie teraz przesiaduję z paletą i pędzlem, wspominając chłopca, który był zarazem czuły i brutalny. Tamtego lata, gdyśmy przytuleni stali na skalach z widokiem aż po horyzont, miałam pewność, że będziemy ze sobą wiecznie, kiedy jednak odjechał, a lato zaczęło dobiegać kresu, mój optymizm ustąpił miejsca innemu stanowi ducha, bo oto pomyślałam, że być może to, co poczułam wobec chłopca, który podawał się za Czirokeza, nie powtórzy się już nigdy ani z nim, ani z kimkolwiek innym. Tę trzeźwiącą refleksję odrzuciłam od siebie z zaślepieniem, na jakie może się zdobyć tylko niedojrzałość.

Jeżdżę teraz na Cypel Toda zimą, kiedy moje dzieci są w szkole, jak również latem, gdy przebywają na obozie. Rozstawiam sztalugi, drewniane składane krzesło, wyjmuję paletę farb olejnych i maluję plażę, latarnię morską, twory piaskowe i ludzi urządzających pikniki przy wypłowiejących do szarości wyschniętych stołach z drewna sekwojowego.

Latem powietrze pachnie hot dogami i wata cukrową, a plażę wypełniają dziewczynki w marszczonych kostiumkach kąpielowych, takich samych jak ten, w którym kiedyś uczyłam się pływać. Matki kłęczą wzdłuż brzegu, pilnując nagich dzieciaków taszczących ciężkie wiaderka z wodą. Starsze kobiety, szcudrze wysmarowane olejkami do opala-

nia, siedzą w grupkach; mają poopuszczane ramiączka kostiumów, a ich staniki ciążyą ku ziemi pod brzemieniem obfitych biustów. Widzę nastolatki w bikini; mają jędrne gładkie ciała pokryte równą opalenizną barwy tostu. Leżą na ręcznikach kąpielowych ze swymi muskularnymi chłopakami, ich palce splatają się w prażącym słońcu.

Zimą bywalcami plaży są starsi ludzie; okutani w grube swetry jedzą kanapki zawinięte w folię i piją kawę z termosów, które poza tym służą jako przyciski chroniące gazety przed podmuchami wiatru. Jakiś staruszek usiłuje rozpalić fajkę.

Lecz mimo że takie same są pory roku i tak samo słodki zapach waty cukrowej, pomiędzy „dawniej” a „dziś” zaszły zmiany. Bar przekąskowy bardzo się postarzał: jego laminowany kontuar stracił kolor i uszał się dziurami, tablice reklamowe wyblakły i zaczęły się złuszczać, poza tym zaś władze miasta usunęły starą budkę telefoniczną, tę ze stołeczkiem i czarnym aparatem dawnego typu, tę, w której po wrzuceniu dziesiątki i zamknięciu drzwi włączał się wentylator, tę, w której na podłodze czuło się wilgotny piasek, jeśli człowiek wszedł na bosaka. Teraz są trzy wiszące na ścianie nowiutkie lśniące aparaty z nierdzewnej stali, a do tego tabliczka grożąca grzywną za wszelkie akty wandalizmu. Po prostu nie jest tak samo. Czasem, siedząc na swym składanym krzeselku, czuję się jak duch sprawujący władzę nad przeszłością. Pilnujący wspomnień w taki sam sposób, jak niegdyś pilnowałam dzieci.

— Wracajcie! — wołałam machając ręką, kiedy zapuszczały się w morze za daleko. — Wracajcie! Kąpcie się tylko tam, gdzie macie grunt!

Malując letnie pejzaże, maluję głównie własne wspomnienia, kiedy jednak wracam zimą, widzę plażę taką, jaka naprawdę jest — pustą i niepodbarwioną. Zimy pozwalają mi zacząć na nowo z czystym kontem, białym płótnem. Oczyszczyć wspomnienia z deformacji poczynionych przez czas i postęp, przywrócić im rolę, którą — w moim przekonaniu — powinny odgrywać. Chociaż czasem je kwestionuję, zastanawiam się, czy nie są zaledwie snami.

Teraz jest wiosna, a właściwie jej nieśmiały początek: powietrze straciło zimową ostrość, chłodny wiatr wionie chwilami ciepłem, zapowiadając to, co niebawem nastąpi. Lecz nadal muszę narzucać na ramiona gruby sweter, plażę zaś wciąż naznacza listopadowa zgrzebność. Woda barwy węgla drzewnego wydaje się gęsta jak rtęć, niebo bardziej przywodzi na myśl opal niż turkus. Trudno powiedzieć, w którym momencie zima dała za wygraną, a jednak coraz śmielej spoglądam wstecz. Wyobrażam sobie, że siedzę tu z chłopcem, widzę wyraźnie jego twarz, długie czarne, lśniące włosy, jego dłonie wciśnięte do kieszeni dzinsów. Białą trykotową koszulkę. Widzę, jak idzie w ten swój szczególny sposób, z opuszczoną głową, jak gdyby bał się spojrzeć w niebo, jak gdyby lękał się ogromu, który zobaczy. Wszystko zresztą w owych czasach musiało mu się wydawać ogromne i podminowane wątpliwościami. Wieczność i śmiertelność. Ale nagle podnosi głowę, uśmiechając się do mnie, mruga oczyma, a ja zastanawiam się, czy próbował wtedy powstrzymać łzy... chociaż znowu tracę pewność, czy mam do czynienia ze wspomnieniem czy tylko fantazją. Wówczas byliśmy dla siebie jedynym pewnikiem — to wiem, to przypominam sobie jasno. Chwytam sweter, który zsuwa mi się z ramion, zerkam na zegarek i odganiem od siebie wizje. Potem pakuję płótna i oleje, płuczę w morzu pędzle.

Wszystko wrzucam do wilgotnych brązowych pudeł stojących w bagażniku mojego starego volva kombi. Wóz jest jasnoniebieski i usiany rudymi plamkami korozji, ale wystarcza mi do wożenia dzieci i przyborów malarskich. Poza tym przypomina mi samochód, którym jeździła moja matka, kiedy miałam kilkanaście lat. Daje zakotwiczenie w przeszłości, poczucie ciągłości. Zawiozłyśmy chłopca na dworzec oldsmobilem matki, takim samym wrakiem jak moje volvo. Tego dnia uświadomiłam sobie, że szczęśliwe zakończenia nie są obowiązkowe, tego dnia straciłam w tej kwestii pewność.

Mija dwadzieścia lat, odkąd jestem żoną innego mężczyzny, lat, podczas których — dochodzę ostatnio do wniosku — było zbyt wiele cichych i pustych nocy kończących się

gniewnymi porankami. Bywają dni, kiedy budzę się w łóżku sama, a widokiem aż nazbyt znajomym jest nagryzmołona notatka („Musiałem wyjść wcześniej, do zobaczenia wieczorem”), spoczywająca na poduszce wgniecionej przez głowę mojego męża, Petera. Bywały noce, kiedy czuwałam przy swoim najmłodszym dziecku śpiącym w kołysce ustawionej obok łóżeczek nieco starszego rodzeństwa, pachnącego talkiem i szamponem dla dzieci, okutanego w puchate śpiochy o pastelowych barwach. Białe kropelki śliny wokół delikatnych usteczek, płytkie oddechy, lekkie westchnienia. I pilnowałam swoich dzieci sama. Wdzięczna za nie losowi, ale sama.

Zbyt wiele było wieczorów, kiedy białe wino czekające na kuchennym stole na powrót Petera osiągało temperaturę pokojową, wieczorów po bardzo długich dniach spędzonych tylko w towarzystwie dzieci, które prawie jeszcze nie umiały mówić. Czasem zносиłam modły, żeby pękła jakaś rura, bo gwarantowało to możliwość pogadania z hydraulikiem. Paplałam i paplałam, kiedy metal stukał o metal, ale przecież słyszałam swój głos i od czasu do czasu potwierdzające mruknięcia męzczyzny. Miał szerokie bary i kilkakrotnie naprawiał u nas różne rzeczy.

Był też facet, który kładł laminat na podłogę w kuchni. Przyłożył kompres do mej dłoni poparzonej o kinkiet, kiedy nastąpiło zwarcie. Włączyłam światło, eksplodował fajerwerk iskier, niemowlę, które trzymałam w ramionach, wstrząśnięte zanosło się płaczem. Męzczyzna próbował je uspokoić, potrząsając swoim pękiem kluczy. Proszę wezwać elektryka, powiedział. Zostanę przy pani, póki się nie pojawi. Rycerz z kompresem przybywający na białym koniu.

Czasem pokpiwam z Petera, chociaż on uważa te kpiny za oskarżenia. Przegapiłeś dzień naszej przeprowadzki, mówię. Dzień, w którym strzeliła elektryczność. Dzień, w którym Jack zrobił pierwszy krok. I może z wyjątkiem pierwszego kroku Jacka Peter nie sądzi, że stracił wiele. Nie docenia w równym stopniu jak ja wagi rzeczy przyziemnych. Ale pierwszego kroku Jacka naprawdę mu szkoda.

— Pracowałem, Emily — rozłożył ręce. — Wiem, wiem, sądzisz, że gra nie była warta świeczki.

Było wiele dni, kiedy przeglądając się w lustrze pragnęłam, aby przez krótki moment odbicie odwzajemniło spojrzenie i powiedziało, że warto było mnie zobaczyć. Że warto na mnie patrzeć. Wiele razy pragnęłam, aby przemówiło do mnie odbicie w lustrze. Często marzyłam, aby porozmawiać z kimś innym niż moje dzieci. Widziałam swoje ramiona, wciąż kształtne i sprężyste, choć już nie za sprawą młodości czy ćwiczeń tanecznych, lecz raczej z powodu noszenia dzieci, koszów z praniem, wiader ze śmieciami. Wsadzania dzieciaków do piaskownic, chwytania ich na dole parkowej zjeżdżalni, bujania na huśtawkach.

Co wieczór, z kieliszkiem wina w dłoni, stałam przy oknie wychodzącym na ślepy zaułek, gdzie latarnia uliczna migała co kilka minut, by mi przypomnieć, że nie jest księżycem. Czasem płakałam. Nie był to płacz rzęsy, lecz gorące łzy, które uwiecznione pod powiekami parzyły me oczy. Stałam i czekałam, a wąskie klatki piersiowe moich dzieci unosiły się i opadały we śnie. Stałam przy rozwartym na oścież oknie, wydmuchiwałam w rześkie nocne powietrze niebieskawy dym z papierosa i wyglądałam Petera. Gdy na podjeździe zachrząścił żwir, zapalałam świece w kuchni, mając nadzieję, że już za chwilę będziemy rozmawiać. Słyszałam zgrzytnięcie klucza w zamku. W domu było tak cicho... Dzieci spały, czekało ciepłe wino.

Siadaliśmy przy stole w kuchni i pytałam Petera, jak minął mu dzień. Co się działo w biurze? Gdzie jadłeś lunch? Jakież nowe interesujące sprawy? Był zbyt zmęczony, żeby rozmawiać: nic się nie działo. Przegryzłem coś w biurze. Wiesz, że nie powinienem omawiać z tobą spraw służbowych. No więc sama walczyłam z ciszą: dziecko wymówiło nowe słowo. Potrzebujemy więcej piasku do piaskownicy. Może w tym roku powinniśmy wymienić rynny? Uszczelnić spoiny w kominku?

Po kolacji Peter czytał gazetę w swoim gabinecie. Sprzątając ze stołu, słyszałam szelest przewracanych i drżących stron. Potem — gdy już włączyłam zmywarkę i zgasiałam

światło w kuchni — słyszałam, jak Peter składa gazetę i upuszcza ją na podłogę obok fotela. Wtedy wsuwałam głowę do gabinetu, Peter wychodził do holu, uchylaliśmy jedne po drugich drzwi pokoiów dziecięcych, przez chwilę wsłuchiwaliliśmy się w ciszę. Zostawialiśmy drzwi otwarte. Dobranoc. Dobranoc. Następnego dnia odfajkowany.

Mówią mi ludzie: „Szczęściara z ciebie. Twój mąż jest czarujący i przystojny. Tak, tak, tak. Robi karierę, jest inteligentny, poważany, rozchwytywany.” Ale też często czuję, że ani on nie należy do mnie, ani ja do niego. Niekiedy zresztą wcale nie jestem pewna, czy pragnę jeszcze należeć do niego lub jakiegokolwiek innego mężczyzny.

Mój mąż powiedział kiedyś żartobliwie: „Nie biję cię, nie przepijam zarobków, nie uganiam się za innymi kobietami. A więc czego właściwie ode mnie chcesz?”

Pragnęłam odrzec: „Żebyś odpowiadał na moje pytania. To nie są żarty.” Ale poczułabym się jak idiotka, jak te żony z oper mydlanych. Pomyślałam o dawnych czasach, gdyśmy jeszcze nie byli małżeństwem. Gdyśmy przesiadywali razem w pubach, a ja widziałam raj, ilekroć spojrzałam mu w oczy.

Usiłowałam więc wytłumaczyć, że pragnęłabym z nim siedzieć nad kieliszkiem wina i snuć takie marzenia, jakie snuliśmy we dwoje, zanim pojawiły się dzieci. Zanim wzięliśmy ślub. Pamiętam, jak się spieraliśmy, do kogo będą podobne nasze dzieci.

— Mam nadzieję, że do ciebie — mówił Peter.

— Nie, powinny być podobne do ciebie — oponowałam.

Tęskniłam za czasami, gdy byliśmy radością dla swoich oczu... a niekiedy traciłam pewność, czy takie czasy istniały naprawdę. Zamiast tego więc pytałam, dlaczego musiał czytać gazetę po kolacji, on zaś pytał, czy sprzątanina kuchni nie mogłam zostawić do jutra. Potem pytałam, jak to się dzieje, że odwraca wzrok, ilekroć do niego mówię, on zaś stwierdzał w odpowiedzi, że mam za duże wymagania.

— Ale czasem, a właściwie na ogół, ledwie raczysz odpowiadać, gdy cię pytam — mówiłam tonem kogoś, kto odczytuje kolejną pozycję z listy zakupów, a jednocześnie

w duszy nakazywałam sobie zakończyć tę litanię uwag traktowanych przez Petera jako krytyczne.

Niekiedy protestował: „Odpowiadam, ale mnie nie słuchasz” albo: „Chyba po prostu mówię rzeczy, których wolisz nie słyszeć”, albo: „Czy najzwyczajniej nie rozumiesz, że jestem zmęczony?”.

Ludzie mówią, że powinnam szukać ratunku gdzie indziej. Że takie już jest życie.

— Kobiety też mogą być interesującymi partnerkami — słyszę czasem od matki i siostr. — Działalność społeczna, malarstwo, dzieci... oto obszary, w których powinnaś się realizować. Sama kształtuj swoje życie.

Matkę i siostry uważam za prostaczki. Mają to, czego zawsze pragnęły: domy, dzieci, mężów. Tak było nawet w czasach, gdyśmy z siostrami bawiły się w dom — już wtedy mężowie byli nieobecni. Tatusia zatrzymały ważne sprawy w firmie, mówiłyśmy do lalki usadzonej w różowym krzeselku, karmiąc ją wyimaginowanym groszkiem. Tatusiowie pracowali; myśmy przewijały lalki, urządały babskie nasiadówki i pchały wózki. Moje siostry nadal to uszczęśliwia. Mnie przestało.

Siostry twierdzą, że nie jestem realistką. Masz wygórowane wymagania, mówią. Nic nie jest doskonałe. Wiem o tym, lecz zarazem nie przyjmuję tego do wiadomości. Gdy zarzucają mi, że jestem nienasycona, zastanawiam się, czy przyznać im słuszność. Może po prostu lubię pogoń, a ledwie dopadnę króliczka, mam ochotę schwytać go ponownie? Może nic mnie nigdy nie zadowoli? Siostry utrzymują, że nie można mieć wszystkiego. Są bliźniaczkami. Gosposie domowe spod sztancy, które prawią mi kazania. Matka siedzi za nimi jak bezgłośne echo, a gdy kiwa głową, odnoszę wrażenie, że mówi: „Słuchaj Sary i Catherine. Nie można mieć wszystkiego. Jesteś niepraktyczna. Nieżyciowa.” Rzecz nie w tym, że chcę mieć wszystko. Po prostu chcę mieć dość.

Może dlatego znów zaczęłam rozmyślać o chłopcu, którego kochałam latem 1967. Właściwie nigdy nie przestałam o nim myśleć i tylko do niedawna potrafiłam odpychać te myśli od siebie. Jest kimś obecnym w mej duszy,

kiedy maluję na plaży, kimś, za kim tęskniłam, a zarazem kimś, kogo do niedawna nie potrafiłabym namalować.

Tamtego lata mieszkała z nami moja najlepsza przyjaciółka, Jennie. Gdy jej rodzice rozwiedli się dwa lata wcześniej, matka Jennie wyruszyła w Himalaje; Jennie dostała stamtąd pocztówkę i przeczytała *Zaginiony horyzont*. Ojciec Jennie długo nie mógł pogodzić się z faktem, że jest znów wolny, a poza tym nie miał pojęcia, co począć z nastoletnią córką... no i tak Jennie wylądowała z nami w Connecticut. Dom był oddzielony od plaży tylko ulicą; mijam go codziennie w drodze na swoje miejsce, ale nie wygląda tak samo jak kiedyś. Przemalowano go na szaro i zdemontowano okiennice. Ten dom, który w dawnych czasach wynajmowali moi rodzice, leżał tak blisko morza, że w nocy człowiek mógł słyszeć i liczyć fale uderzające o brzeg. Jakże się różnił od naszego mieszkania na Manhattanie, gdzie ciszę nocy przewierca tylko zawrodo syren, a betonowe drapacze chmur przytłumiają skowyt wiatru. Ten dom w Old Greenwich był jasnożółty i miał niebieskie okiennice; z jego elewacji, narażonej na działanie wilgotnego morskiego powietrza, powoli złuszczała się farba. Miał ganek z kolumnami tak masywnymi, że podczas zabawy w chowanego ze mną i z Jennie mógł się za nimi skutecznie ukrywać mój najmłodszy brat, Robbie. Robbie przyszedł na świat, kiedy ja, najmłodsza z dotychczasowej trójki rodzeństwa, miałam dziesięć lat. Byłam już dostatecznie duża, żeby wiedzieć, skąd się wziął. Ta myśl przejmowała mnie odrazą.

Do domu prowadził długi wąski podjazd wyłożony kocimi łbami; ja i Jennie całymi godzinami ciągałyśmy po nim Robbiego w jego dziecinnym samochodziku, kończąc dopiero o zmierzchu, kiedy pojawiały się świetliki. Wtedy Robbie zaczynał je chwycić do słoików z humanitarnie podziurkowanymi wieczkami, a my z Jennie biegałyśmy za nim po podwórku, rozgniatając uderzeniami dłoni komary obsiadające nasze nogi i ramiona.

Tego lata pisywałyśmy opowiadania i wiersze, a także czytywały sobie na głos Roda McKuena. Nosiłyśmy paciorki i purpurowe okulary babuni. Prażyłyśmy się w słońcu,

chodziły na bosaka w deszczu i ruszyliśmy na plażę w szaleń-
czy płas, gdy piosenka *Light My Fire* dotarła na pierwsze
miejsce listy przebojów. Tego lata dni były tak skwarne
i wilgotne, jakby znieruchomiałe powietrze syczało prow-
kująco: „Tylko spróbujcie mną oddychać!” Nawilżyliśmy
włosy sokiem cytrynowym i prasowały je tak długo, aż były
proste jak druty. Wachlowałyśmy się książkami w miękkich
okładkach i egzemplarzami magazynu „Seventeen”. Jennie
miała kręćka na punkcie Jeana-Claude’a Killy’ego.

W naszym pokoju stały dwa różowe łóżka z baldachima-
mi, z jednej strony była skryta wśród listowia drzew prze-
szklona weranda; w wykuszowych oknach leżały poduchy
obszyte perkalem. Nocami padały deszcze, przynoszące ulgę
po dziennych upałach, a słony wiatr przywiewał ostry odór
małży wyrzuconych na brzeg. Podnosiłyśmy żaluzje na
werandzie, żeby czuć bryzę na nagich ramionach. Zwinięte
na poduchach, w koronkowych piżamach słuchałyśmy ło-
motu fal przyboju. Korony drzew to dygotały i skrzyły się
srebrzyście w świetle błyskawic, to chwilę później pograżały
w mroku. Smagane wiatrem gałęzie chłostały ściany domu.
Było to dramatyczne tło dla poezji i mojego brzdąkania na
gitarze.

Prowadziłam swój dziennik, a Jennie swój. No i co
wieczór pisałam do chłopca list, wyznając, jak bardzo za nim
tęsknię, jak mocno go kocham i jak niecierpliwie czekam na
jego powrót do domu. Moje siostry jeździły do kina i par-
kowały swoje mustangi w alejce zakochanych, a my z Jennie
woziłyśmy Robbiego w jego samochodziku i patrzyły, jak
chwytą świetliki. Byłyśmy parą niezawodnych przyjaciółek.

Tamtego lata robiłyśmy z Jennie „wrózydełka origami”,
potem wkładałyśmy smukłe palce w kopertki po bokach i tak
długo zliczałyśmy cyfry, aż wrózydełko udzieliło odpowie-
dzie na nasze najskrytsze pytania. To wtedy zapisałam imię
Jima we wszelkich możliwych wariacjach, swoje umiesz-
czając pod nim — James, Jim, Jimmy, James Robert Moran
— potem wykreślałam odpowiadające sobie litery i od-
liczałam „miłość, małżeństwo, przyjaźń, nienawiść” tak
długo, aż uzyskałam właściwą kombinację. W nieskoń-

czoność pisałam swoje imię w połączeniu z jego nazwiskiem, żeby się przekonać, jak to wygląda: Emily Moran. Emily Hudson Moran. Nawet mi się wtedy nie śniło, że nadejdzie dzień, gdy będę się wzdrygać na dźwięk swojego imienia połączonego z nazwiskiem jakiegokolwiek mężczyzny.

— Pani Walters? — słyszę teraz, odbierając telefon.

— Nie, nie jestem panią Walters. Nazywam się Emily Hudson — odpowiadam. — Jestem tylko żoną pana Waltersa.

Jimmy Moran wstąpił do marines, kiedy miał siedemnaście lat. Rodzice zaciągnęli go do wojska, ponieważ nie dawali sobie rady w szkole. Inni uczniowie z tej samej prywatnej szkoły, którzy nie dawali sobie rady, szli do szkół z internatem w Nowej Anglii. Rodzice kupowali im miejsca. Ot, przywilej bogaczy. Ale ojciec Jimmy'ego postawił na wojsko. Nie jakąś akademię, lecz najprawdziwszą służbę.

Tamtego lata Jimmy pisał do mnie codziennie z obozu szkoleniowego na Parris Island w Karolinie Południowej, a ja z Jennie każdego ranka biegłam po kocich łbach podjazdu do skrzynki na listy, drżącymi dłońmi przesuwałam korespondencję w poszukiwaniu bladoniebieskiej koperty, a potem siedząc w kucki odczytywałam nagryzmołone zdania. Jennie w milczeniu siedziała obok, pilnując się ze wszystkich sił, żeby nie zaglądać mi przez ramię. Pracownicy zrywała koniczynki, mruzczała pod nosem, że nie może znaleźć ani jednej czterolistnej. Później odczytywałam list na głos, czasem opuszczając to czy owo — na przykład fragment, w którym pisał, że tęskni za całowaniem mojej szyi. Nie byłam pewna, jak zareagowałaby Jennie. Bałam się, że uniesie oczy ku niebu, palnie coś sztubackiego czy piśnię, wskutek czego ta cała historia pomiędzy mną i Jimem wyda się dziecinadą czy głupotą. A wcale nie była głupotą; była czymś zbyt intymnym, żebym mogła to dzielić nawet z Jennie.

Kiedy kończyłam czytać, Jennie patrzyła mi w oczy, co stanowiło część rytuału.

— Jimmy cię kocha, Emily — mówiła zawsze.

— Jesteś pewna? — pytałam.

— Stuprocentowo — odpowiadała, dodając wagi tej odpowiedzi krótkim pochyleniem głowy, której potem nie podnosiła od razu. Następnie oburącz chwyciła moją dłoń.

Gdyśmy powoli wracały do domu, Jennie wciąż wypatrywała czterolistnej koniczyny, a ja ścisnęłam w kieszeni list od Jimmy'ego; później w kuchni włączaliśmy telewizor, piły sok ze szklanek ozdobionych wymalowanymi pomarańczami, z trudem smarowałyśmy masłem wystygłe już słodkie bułeczki i — ponieważ „odżywiałyśmy się zdrowo” — wyciskały na nie kopczyki twarogu.

Pomiędzy jednym teleturniejem a drugim ściągaliśmy dzinsy i zgrzebne lniane bluzki, pozostając tylko w kostiumach kąpielowych, a następnie smarowałyśmy się oliwką dla dzieci Johnsona. W tym czasie w naszym czarno-białym odbiorniku telewizyjnym nadawano wiadomości, a właściwie meldunki z pola walki. Tamtego lata wiadomości były pełne strzelaniny. W powietrzu eksplodowały bomby, które w obiektach kamer zaraz ustępowały miejsca smutnokim dzieciom o umorusanych błotem buziach. A może to błoto było krwią, trudno powiedzieć, kiedy człowiek ogląda czarno-biały obraz. Nad głowami reporterów przycupniętych przed skrajem dżungli krążyły śmigłowce. Oddech grzął mi w piersi; z trudem przełykałam ślinę, moje oczy stawały się mokre i zaczynały piec. Sól zmieszana z tuszem do rzęs.

— Wyłącz to, Emily — mówiła ze złością Jennie. Potem waliła kułakiem w guzik, chwyciła mnie za rękę i wyciągała na plażę. Obie miałyśmy ręczniki pod pachami, Jennie zabierała radio, ja — książki, długopisy, krzyżówki, talię kart.

Jimmy wyjechał piątego lipca 1967, razem z matką odwiozłyśmy go na dworzec. Żegnając się z nim, matka miała dziwny wyraz oczu. Niech Bóg cię prowadzi, powiedziała i było to określenie, którego nie słyszałam z jej ust ani nigdy wcześniej, ani później. Potem nawet pocałowała go w policzek i przyjrzała się mu w taki sposób, jakby chciała zapamiętać jego twarz, wyryć w swojej duszy jego rysy.

Jimmy zaprowadził mnie za budkę kasy, z dala od oldsmobila i oczu mojej matki, a potem objął mnie w pasie, pocałował w usta i wyszeptał do ucha, że mnie kocha. Musnął mój policzek grzbietem dłoni, tak jak czynił to zawsze. Pociąg nadjechał o wiele za szybko. Widzieliśmy, jak lśniący punkt w oddali przybliży się, jaśnieje, wreszcie przemienia w ryczący ogrom stali. Kiedy się zatrzymał, moje ucho wciąż było wilgotne od szeptu Jimmy'ego. Potem Jimmy odjechał.

Jeszcze tego samego dnia poszłam na przekłucie uszu, bo w imieniu Jimmy'ego złożyłam sekretne przyrzeczenie, że wróci z wojny, jeśli ja przekłuję sobie uszy. Chociaż już wtedy wiedziałam, iż zapewne nie będzie mógł wrócić do mnie. Jennie też wiedziała. Nazajutrz napisałam w dzienniku słowa, których autorką mogła być tylko szesnastolatka: „Świadomość, że go Kocham i że to się skończy, nadweręża moją niewinność. Jimmy wycisnął na mej duszy niezatarte piętno.” Nigdy nikomu nie pokazałam tego fragmentu. Nawet Jennie.

Moi synowie z hukiem otwierają drzwi. Najstarszy, Jack, obejmuje mnie spoconym ramieniem i podkrađa paprykę z deski do krojenia. Średni, piętnastoletni Sam, łapczywie opróżnia butelkę lemoniady. Czternastoletni Charlie zamyka podręcznik do biologii i przeciąga się. Dwunastoletnia Julie schodzi na dół; wiem, że bierze po dwa stopnie na raz. Jest bosa. Ma włosy zebrane na czubku głowy w kitkę elastyczną opaską.

Zastawiam stół do kolacji. Dla sześciu osób, chociaż wszyscy wiemy, że jedno miejsce pozostanie puste.

— Hej, mamo, wracaj! Gdzie jesteś? Chyba bardzo daleko — mówi do mnie Jack.

Nosi dzinsy i biały trykot; uświadamiam sobie, że ma siedemnaście lat.

Uśmiecham się do niego, ale wciąż jestem nieobecna duchem. Siedzę na plaży z Jimmym Moranem. Czekam na czyjś powrót do domu.

2

Nazywam się Jimmy Moran, mam czterdzieści osiem lat i mieszkam w Mobile w stanie Alabama z żoną oraz córką. Nasz dom, zbudowany z ciemnych cedrowych bali, stoi nad strumykiem, który moja córka Clancy nazywa rzeką. Z okna salonu patrzę, jak Clancy ciska kamykami i tańczy na paluszkach. Ma siedem lat, nosi odwróconą do tyłu czapkę bejsbolową z wyhaftowanym na daszku godłem nowojorskich jankesów i różowe szorty z kory, które są za duże i dlatego zwieszają się z jej chudych bladych nóżek. Rzuca kamyki, obserwuje ich lot zaciskając dłonie, a ilekroć któryś z nich zrobiwszy kaczkę przelatuje na drugi brzeg strumyka, wspina się na same czubki palców. Sięga po mały pojemnik z owocowym jogurtem, który oparła o pień wierzby płaczącej, kosztuje go z plastikowej łyżeczki, a potem odstawia pojemnik, uważając, żeby łyżeczka nie upadła na ziemię. Czyni to z wielką starannością — wyważa łyżeczkę tak długo, aż zyskuje stuprocentową pewność, że ta pozostanie na miejscu.

Zerka w stronę okna i od czasu do czasu macha do mnie ręką.

— Tato! Tato! Popatrz na mnie! — woła, a potem podnosi kamyk i ciska go do strumienia. Obszerny wymach. Sapnięcie. Dla niej to ciężki głaz, dla mnie — tylko kamyk.

To istotne, że jestem tutaj, aby móc machnięciem odpowiedzieć na pozdrowienie Clancy.

Będąc w jej wieku, miałem czarne włosy. Jestem odrobinę miedzianoskóry i smagły. Matka utrzymywała, że jestem zaadoptowanym dzieckiem zplemienia Czirokezów, i musiało upłynąć sporo czasu, zanim przestałem jej wierzyć. Zanim wyznała prawdę. Teraz moje włosy są szpakowate i pogrubiałem w pasie, ale cała reszta mego ciała pozostaje szczupła i gładka. Może aż nazbyt gładka. Przed wyjazdem do Wietnamu miałem owłosiony tors, później owłosienie zniknęło. Zerkam na swe odbicie w lustrze i przez sekundę rozmyślałem o tym, co grube, co chude, a także o tym, co nigdy się nie zmienia.

Clancy to też adoptowane dziecko, ale w przeciwieństwie do mojej żony Mary i do mnie jest delikatna, rudowłosa i niebieskooka. Ma jędrne sprężyste ciało. Jest moją córką.

— Panie Moran, oto pańska córeczka — oświadczyła tamtego dnia pielęgniarka, podając mi Clancy.

Mary towarzyszyła mi wtedy w Longview, w stanie Teksas. Siedzieliśmy w poczekalni oddziału położniczego, spoczywające na podołku dłonie Mary były splecione. Dotykaliśmy się ramionami i patrzyli przed siebie. Trzymałem na kolanach żółtą plastikową torbę wypełnioną pieluchami jednorazowymi i z tetry, białymi śpioszkami, butelkami wody z cukrem, a oprócz tego białym kocykiem zrobionym na szydełku przez matkę Mary. Sprawy nie układały się tak, jak niegdyś zakładaliśmy z Mary, lecz przecież miało przyjść na świat nasze dziecko. Już wtedy uderzyła mnie ironia sytuacji: matka naszego dziecka rodziła piąte i była gotowa przyznać, że to o jedno za wiele. Po godzinach ciągnących się jak wieczność drzwi porodówki otworzyły się szeroko i wyszła pielęgniarka, niosąc Clancy owiniętą w jasnoróżowy kocyk. I z jakiegoś powodu podała dziecko mnie. Może spostrzegła, jak nerwowo przełykam ślinę i z wędrującą to w górę, to w dół grdyką sprawiam wrażenie faceta gotowego rozpłakać się lada moment, a może zauważyła, iż dłonie Mary drżą. A ja, gdy pobiegłem wzrokiem między fałdy kocyka, doświadczyłem niepokojącej wizji, w której biologiczna matka Clancy zmienia zdanie w ostatniej chwili. Może dlatego, że zastanawiałem się przez

całe życie, czemu kobieta, która wydała na świat mnie, w ostatniej chwili nie zmieniła zdania. Wziąłem córeczkę w ramiona tak delikatnie i ostrożnie, jakby jej maleńkie ciało było ze szkła. Liczyłem jej paluszki u stóp, muskałem palcem ucho. Proszę podtrzymywać jej główkę, powiedziała pielęgniarka, a ja wsunąłem dłoń pod główkę Clancy i pomyślałem: teraz jestem ojcem. Niemal przestraszył mnie dobiegający, jak się zdawało, znikąd głos Mary, która prosiła, bym dał jej potrzywać nasze dziecko. Nazajutrz zabraliśmy Clancy do domu.

Dopiero kiedy miałem mniej więcej dwanaście lat, moja matka w końcu wyznała mi prawdę (ze śmiechem, bo przecież wierzyłem jej tak długo), że w istocie jestem pół Hiszpanem, pół Włochem i że w moich żyłach nie płynie nawet kropelka indiańskiej krwi. Zawsze potem pragnąłem wierzyć, że moja biologiczna matka była Włoszką, ale nigdy na pewno tego nie ustaliłem. Kiedy raz zapytałem o to matkę, odparte., że nie pamięta, i odwróciła głowę. Pragnąłem wierzyć, że mam po matce ciemne włosy i oczy, że mam w sobie coś z niej. Ponoć synowie są z reguły podobni do matek. Usiłowałem wyobrazić sobie, jak wyglądała. Zastanawiałem się, czy potrzymała mnie w ramionach choćby przez chwilę w taki sposób, jak ja trzymałem Clancy.

Jako nastolatek — a nawet później, będąc w wojsku — nadal opowiadałem dziewczynom, że jestem Czirokezem, ponieważ ktoś taki jawi się nieporównanie bardziej egzotycznie i romantycznie niż jakiś hiszpańsko-włoski dzieciak, którego rodzice nie mogli zatrzymać z takich czy innych względów. Woleli nie zatrzymywać. Nie chcieli zatrzymać. Clancy to teraz całe moje życie. Małżeństwo z Mary nie jest żadnym wielkim romansem, ale Clancy czyni nas rodziną. Ona stanowi o mocy łączących nas więzów. To z jej powodu nie mógłbym odejść.

Mieszkamy z Mary w Mobile od dwudziestu dwóch lat, a Mary pracuje w przydrożnym sklepie zwanym Łatajdzura, gdzie turystom, a także tym miejscowym, którzy kupują upominki, sprzedaje się ceramikę, afgańskie pledy i souveniry. Przed sklepem są sosnowe ławy, azalie w omszałych donicach i tablica informująca, że w środku można liczyć na

świeżo zaparzoną kawę i czyste toalety. Ja siedzę w domu z Clancy, choć nie zawsze tak było: gdy pewnego popołudnia — Gancy miała wtedy dwa lata — wróciłem do domu, a córeczka mnie nie poznała i na widok moich wyciągniętych ramion wybuchła płaczem, rzuciłem posadę recepcjonisty w hotelu, gdzie za psie pieniądze przesiadywałem po kilkanaście godzin dziennie, a Mary podjęła pracę w Łatajdzurze. Teraz to ja robię zakupy, sprzątam, gotuję, wożę Clancy do szkoły i odbieram ją po lekcjach, oprócz tego zaś jestem zatrudniony na pół etatu w sklepie z alkoholami. Ostatnio dostrzegłem worki pod oczyma Mary, a w jej włosach, niegdyś równie czarnych jak moje — siwe kosmyki. Marynie przypuszczała, że jej życie ułoży się w taki sposób, dobrze o tym wiem.

Mój ojciec zawsze był w domu, kiedy wracałem ze szkoły, a jednak — rzecz osobliwa — miałem uczucie, że ledwie go znam. Był pisarzem i kiedy nie stukał w klawisze swojej maszyny do pisania, zalewał się dżinem. Może tak naprawdę to ja byłem dla niego niewidzialny. Rzuciałem książki na kuchenny stół i szedłem do gabinetu, żeby przywitać się z ojcem. Podnosił głowę, wysoko zadzierając brodę, wbijał we mnie wzrok sponad półokularów, kwitował moją obecność lekkim skinieniem. Tak wcześnie w domu? pytał. I to było wszystko. Może chciał powiedzieć: „Za wcześnie w domu”. Za każdym razem miałem nadzieję, że to może właśnie ten dzień, w którym wstanie, podejdzie do mnie albo poprosi, żebym to ja podszedł do niego i usiadł. Że to właśnie ten dzień, w którym ze sobą pogadamy. Nic takiego się nie zdarzyło. Nie chcę, by podobnie było z Clancy.

Ojciec zmarł mniej więcej dwanaście lat temu, na długo przed pojawieniem się Clancy w naszym życiu. Po ceremonii żałobnej rejent będący wykonawcą testamentu przesłał mi pocztą jego prochy — w blaszanym pojemniku włożonym do kartonu z piankową wyściółką. Rozdarłem brązowy papier i taśmę samoprzylepną, wyjąłem puszkę i potrzyzymałem ojca w dłoni. Nigdy do końca nie rozgryzłem, dlaczego właśnie do mnie miały trafić jego prochy, choć wyraźnie zlecił to w testamencie.

Kochałem swojego starego, a jednocześnie go nienawidziłem. Nienawidziłem, bo za każdym razem gdy przestępowałem próg jego gabinetu, siedział przy biurku w wielkim skórzanym fotelu, zawsze ubrany w jedwabną białą koszulę z fularem w chińskie wzory. Miał purpurowe plamy na całej twarzy, kaprawe powieki i mętny, niemal martwy wzrok. Czasem, jak wspominałem, wołał mnie po imieniu i wtedy wbiegałem do niego, żywiąc złudną nadzieję, że tym razem będzie inaczej. Bądź tak dobry i skocz po łód dla taty, co, Jimmy? Tyle tylko mówił. Ale jeden dzień stanowił wyjątek. Ponury lutowy dzień w 1967 roku, w którym białe niebo i znieruchomiałe powietrze z prawie całkowitą pewnością zapowiadały śnieg. Dobrze pamiętam każdy szczegół. Zdjąłem buty w sieni i wtedy usłyszałem, że ojciec wzywa mnie do gabinetu. Siadaj, Jimmy, powiedział, wskazując kanapę. Na chwilę wezbrała we mnie nadzieja. Wtedy — ściskając w dłoni szklaneczkę tak mocno, że jego zbiełałe jak papier kostki z magnetyczną siłą przyciągały mój wzrok — oznajmił bełkotliwie, że skończony jestem tępak, bo tylko w ten sposób można wytłumaczyć moje niepowodzenia w szkole. Znow węc chodziło o mnie. Nigdy nie mówił o sobie czy o swoim alkoholizmie, a ja nie miałem dość odwagi, żeby go o to spytać.

— Jesteś nieudacznikiem, Jimmy—powiedział pociągając jednocześnie łyk dżinu z tonikiem, a o jego zęby zastukał łód, gdy szklaneczka została opróżniona do końca. — Nic z ciebie nie będzie, to jasne jak słońce. Mam dość wyrzucania pieniędzy na twoje czesne, może piechota morska wyprowadzi cię na ludzi.

Formularz zaciągu trzymał już w dłoni; ponieważ nie byłem jeszcze pełnoletni, opatrzył go zawczasu swoim podpisem. Podał mi wieczne pióro. Teraz ty podpisz, powiedział. W miejscu oznaczonym krzyżykiem.

Nawet mu, gotów się jestem założyć, przez myśl nie przeszło, że to może jego skłonność do dżinu sprawiła, iż niemal pragnąłem być nieudacznikiem. Bo już na pewno z jej powodu długo leżałem wieczorami na łóżku, gapiąc się

w sufit, śledząc wzrokiem spękania tynku i dalekie odbicia ruchu ulicznego. W końcu zahipnotyzowany grą pustki i cieni zamykałem oczy i zapadałem w sen. Już w dzieciństwie sypiałem źle. Tak samo jest teraz.

Nie jestem pewien, co sprawiło, że zabrałem prochy ojca na północ. Zapakowałem puszkę z nimi do skórzanej torby zamykanej na suwak i z przesiadką w Atlancie poleciałem z Mobile do Nowego Jorku. Mój stary zmarł dwudziestego marca 1986, a jego prochy otrzymałem w kwietniu. Pierwszego kwietnia, ściśle biorąc. Nic dziwnego, że musiałem zadać sobie pytanie, który z nas wykręca drugiemu primaaprilisowy numer. Wynajętym samochodem, z prochami na fotelu pasażera, pojechałem do Mamaroneck Harbor. Kiedy byłem dzieckiem, mieliśmy na samej plaży dom letni, w którym mieszkaliśmy od końca roku szkolnego, czyli od połowy czerwca, aż do Święta Pracy. W tym letnim domu zmieściłoby się dziesięć takich jak mój obecny. Rodzice posiadali również piękny słupek o niezrozumiałej wówczas dla mnie, a związanej z zajęciem ojca nazwie Melodramat, wypisanej złożonymi literami na dziobie poniżej pokładu z drewna tekowego. Nazwie, która w tej chwili jest dla mnie zupełnie sensowna, jeśli wziąć pod uwagę, że mój ojciec klecił scenariusze oper mydlanych w rodzaju *Piorunowej drogi* czy *Namiętnego serca*.

Dotarłszy na miejsce, zapytałem o kapitana portu, Tubby'ego, ale okazało się, że kapitanem jest ktoś zupełnie inny: Frank DiPalma. Siedział na ganku przed składzikiem bosmańskim, rozparty w starym białym leżaku Tubby'ego. W samym składziku pod metalowym stołem stała nieduża lodówka, jeden z niewielu — obok nowoczesnej kawiarki, słoika śmietanki w proszku, porozrzucanych kostek cukru i brudnych styropianowych kubków — elementów wystroju pomieszczenia, jakich nie zapamiętałem z dawnych czasów. Bo w epoce Tubby'ego były tylko staroświecka maszynka do kawy stojąca na kuchence elektrycznej i jeden spękany fajansowy kubek.

— Tubby umarł mniej więcej pięć lat temu — wyjaśnił Frank.

— Przyjeżdżałem tu w dzieciństwie — powiedziałem.
— Z tatą. Miał słup o nazwie Melodramat.

Frank był niewiele starszy ode mnie. Pracował w porcie od 1975, znał Tubby'ego. To Tubby mnie wszystkiego nauczył, stwierdził. Ale nie słyszał o Melodramacie.

— Melodramatu już dawno nie ma — odparłem. Wyjąłem puszkę z torby. — To prochy mojego ojca. Chciałbym rozsypać je nad Cieśniną.

Frank wskazał barkę w basenie portowym. Pogłębiamy, oświadczył. Rzeczki i strumienie naniósł zbyt wiele mułu. Wdał się w obszernie wyjaśnienia, zbyt techniczne, by mogły mnie zainteresować. Był podekscytowany, a ja miałem zapewne tępy wyraz twarzy.

— Chciałbym rozsypać prochy — powtórzyłem.

— Łódzie teraz nie mogą wypływać — zaproponował, lecz gdy popatrzył mi w oczy i zerknął na prochy, które trzymałem w dłoni, zmienił zdanie. Oznajmił, że pożycz mi swoją szalupę z silnikiem zaburtowym.

— Tylko nie zapuszczaj się za daleko — przestrzegł.
— Wypłynij za Basen Wschodni i rzuć je w stronę Connecticut. Przy dobrej pogodzie mógłbyś stamtąd dostrzec Greenwich. Szkoda, że jest tak pochmurno.

Miałem ochotę posiedzieć i pogadać z Frankiem w taki sposób, jak gwarzyłbym z Tubbym, gdyby Tubby jeszcze żył. Miałem ochotę opowiedzieć, jak w końcu skapitulowała wątroba mojego taty, który nad życie kochał dwie rzeczy: morze i gorzałkę. Ale Franka to by nie zainteresowało. Tubby natomiast wspominałby ze mną i zrozumiał.

Silnik łódeczki Franka zaskoczył dopiero po kilku szarpnięciach sznurkiem. Żałowałem, że brak mi odwagi, żeby pokonać Cieśninę i zawinąć do Louiego w Port Washington; rozsypałem tylko nad wodą prochy ojca i siedziałem w łódce, płacząc jak dziecko. Rozmawiając z ojcem, po raz pierwszy przekonany w duszy, że mnie słucha. Opowiedziałem mu o tym, jak staramy się z Mary mieć dziecko.

Zabrał mnie na Melodramat dokładnie dwa razy — z reguły wypływał w towarzystwie przyjaciół i ogromnej chłodziarki. Pewnego dnia wziął mnie na drugi brzeg Cieśniny,

do Louiego. Dobrze zapamiętałem biały parterowy budynek z niebieskimi obróbkami, w którym tata nauczył mnie jeść ostrygi — przyprawiać je pikantnym sosem i przechylać muszlę do ust, żeby biedaczki mogły wślizgnąć się do gardła. Żadnego gryzienia, mój chłopcze, powiedział ojciec. Po prostu łykaj. Ale najpierw przez kilka minut potrzymaj w ustach tak, żeby od ostrego sosu w oczach stanęły ci świczki. I chociaż ostrygi niemal wzięły mi w gardle (miałem wtedy zaledwie jedenaście lat), zjadłem wszystkie — tylko po to, żeby sprawić ojcu przyjemność.

Wiele razy czekałem na jego powrót z rejsu, mając nadzieję, że tym właśnie razem nie będzie nawalony i że ze mną pogada. Że tym właśnie razem będzie inaczej. Ale nigdy nie było. Schodził na pirs i w przelocie mierzwił mi włosy, jakbym był dzieciakiem jednego z kumpli, dzieciakiem, którego widzi po raz pierwszy w życiu. A ja wskakiwałem na rower i jechałem do domu. Żeby jednak oddać mu sprawiedliwość, muszę wspomnieć, iż pewnego razu objął mnie ramieniem i zaprowadził do budki z hot dogami na plaży, zwanej U Waltera. Tam postawił mi colę i hot doga z masą keczupu i dodatków. To jedno z moich najcenniejszych wspomnień; inne dotyczy dnia, gdy podczas meczu Knicksów zafundował mi loda, a potem zabrał do bukmachera i nauczył robić zakłady. Głównie jednak pamiętam, jak siedząc przy biurku kropi soczyste scenariusze oper mydlanych. Z półwysuniętej szuflady wyziera butelka dżinu, a obok elektrycznej maszyny IBM stoi czekająca na napełnienie szklanka z lodem. Głównie pamiętam, jak jest pijany.

Siedząc na środku zatoki z prochami ojca, przypominałem sobie chwilę, gdy wszedłem do jego gabinetu po swoim powrocie z Chou Lai. Był styczeń 1970 i dygotałem na całym ciele, zapewne nie jedynie z powodu zimna. Ojciec siedzący na kanapie wydał mi się tego dnia znacznie starszy niż jeszcze niedawno. I znużony. Miał czerwieniejące i bardziej wodniste oczy. Zatrzymałem się na progu i zapukałem w otwarte drzwi. Czułem, jak bardzo jestem wyprostowany, jak mocno — z powodu zaciśniętych zębów — pracują mi mięśnie szczęk. Ojciec wstał, podszedł i pocałował mnie

w czoło, a potem wsparł głowę na moim ramieniu i zaczął pochlipywać. Stężałem, czując jego przesycony dżinem oddech. Zrazu stałem nieruchomo z opuszczonymi rękoma, lecz po chwili, w zwolnionym tempie, uniosłem jedną, położyłem na plecach ojca i zamknąłem oczy. Ale nie zrobiłem nic więcej — nie przytuliłem go ani nie pogłaskałem. Nie wiedziałem, co mam z nim robić, nie wiedziałem, co mam zrobić ze sobą. Często myślę, że gdyby ojciec nie był pijany przez całe życie, mogłoby między nami ułożyć się inaczej. Może powiedziałbym mu to wszystko, co odkąd mamy Clancy, pragnąłem mu powiedzieć.

Mój ojciec nigdy nie poznał Clancy i może dobrze się stało. Ostatnio myślę o nim częściej, niż powinienem, przy czym za każdym razem łzy podchodzą mi do oczu, a jeśli zmrużę je zbyt mocno, spływają na policzki, ja zaś gorączkowo potrząsam głową, udając przed samym sobą, że nie ma żadnych łez. Gdyby tylko chciał mnie wysłuchać...

Zanim osiedliśmy tu z Mary, służyłem w Korpusie Piechoty Morskiej i przenosiłem się z miejsca na miejsce — z Karoliny Południowej do Memphis, z Memphis do Kalifornii, z Kalifornii do mojego rodzinnego Nowego Jorku, z Nowego Jorku z powrotem na południe. Gdzieś w środku tej miotaniny był urlop w Bangkoku, poczekalnia rzeźni w Camp Pendleton i okopy w Chou Lai. Żadnej natomiast parady zwycięstwa po powrocie z Wietnamu. Weteranów takich jak ja nazywano „dzieciobojcami” i tak dalej, a kiedy wspominałem, że służyłem w marines, śpiewano mi czasem piosenkę *Johnny Get Your Gun*. Przez całe lata szukałem znajomych twarzy i wykrecałem numery nieaktualnych telefonów. Niekiedy docierałem do ludzi, którzy albo mnie nie pamiętali, albo utrzymywali, że nie pamiętają.

— Jim Moran? Jim Moran? Proszę wybaczyć, przypominam sobie nazwisko. Ale nie kojarzę człowieka — mówili. Potem przerywali rozmowę, a ja gapiłem się w słuchawkę, jakby ktoś miał z niej wyjść.

Rozmyślałem o tym, kiedy Clancy ciska kamykami, a ja płuczę dwa rodzaje ekologicznej sałaty na dzisiejszą kolację, przykrywam garnek, w którym zaczyna wrzeć woda na ryż,

i zamiatam podłogę z flekowanych klonowych desek, przy każdym zamachu szczotki usuwając z głowy niepożądane myśli. Bo nie chcę zastanawiać się nad tym, jak z lekcji w nowojorskiej prywatnej szkole przeskoczyłem do pieprzenia tajlandzkich dziwek. Jest wiele spraw, o których usiłuję teraz nie myśleć.

Od śmierci ojca moja matka mieszka w Arizonie. Konkretnie w Scottsdale. Kiedy umarł, przestała pić i przestała płakać. Codziennie grywa z przyjaciółkami w golfa, a kiedy pada — w madżonga. Uczestniczy w autobusowych wyprawach emerytów do Orpheum Theatre w Phoenix. Jest w końcu szczęśliwa, bo może wreszcie robić to wszystko, co pragnęła robić i czego robić nie mogła. Niezupełnie wiem, co sobie myśleli rodzice tego dnia, gdy zaciągali mnie do Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. Może liczyli, że marines dadzą mi tego kopa w dupę, którego potrzebuję. Bo prawda jest taka, że nie miałem szans ukończyć szkoły w terminie. Przypuszczalnie ojciec naprawdę sądził, że wojsko wyprowadzi mnie na ludzi. Przeglądając się Clancy nie mogę pojąć, dlaczego ktoś miałby przyspieszać przejście chłopca w męskość. Dziecka w dorosłość. Może naprawdę mieli dość wyrzucania forsy na moje kształcenie. Choć wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mój stary był zbyt napity, żeby zdać sobie sprawę, iż w Wietnamie toczy się wojna, a matka tylko uniosła ramiona ku niebu, po czym przygotowała obojgu następną kolejkę martini.

Dorastałem w Nowym Jorku. Daleko od Mobile i daleko od tego wszystkiego, co składa się na moje obecne życie. Mieliśmy w Greenwich Village kamieniczkę przy ulicy, gdzie ponoć mieszkał kiedyś Edgar Allan Poe. Dom był z cegły, pomalowany na szaro, miał czarne okiennice. Uczęszczałem do jednej z elitarnych nowojorskich szkół prywatnych, uprawiałem futbol amerykański, śpiewałem w kapeli o nazwie Siddartha i mantyczyłem z innymi chłopakami w szarych flanelowych spodniach i granatowych blezerach z godłem. Ale oni jakoś dawali sobie radę, a ja nie. Paliłem mnóstwo trawy i napełniałem butelki po coli rumem podwędzonym z barku rodziców. Moi kumple robili to samo,

lecz jakimś cudem nigdy nie wpadali. Udawało się im utrzymywać przyzwoite stopnie. Udawało się im iść naprzód.

Stworzyliśmy ci wszelkie możliwości, mówił ojciec, potrzęsając mi przed nosem arkuszem ocen pełnym pał.

Wygląda na to, że robiłem to wszystko, czego zakazywał mi ojciec. Jakież miał jednak prawo, żeby mnie pouczać? Przyganiał kocioł garnkowi. Niech go Bóg ma w swojej opiece. Jezu, nigdy w życiu nie powiedziałem: „Niech go Bóg ma w swojej opiece”.

Może uznaliśmy go za fajnego faceta, gdyby nie był moim ojcem. Matka zawsze utrzymywała, że przypomina Gary'ego Coopera. Był wysoki i szczupły. Dryblasowaty, jak to się mawia. Zabawne, ale gdyby nie moja ciemniejsza karnacja, mógłbym uchodzić za jego biologicznego syna. Mam prawie identyczną budowę.

Pewnego dnia — miałem wtedy niespełna trzynaście lat — jechaliśmy we dwóch jego nowym jaguarem XKE. A właściwie gazowaliśmy po autostradzie, robiąc pewnie ze sto pięćdziesiąt na godzinę. Dach był opuszczony i czułem wiatr we włosach. Spostrzegłem, że ojciec zerka w lusterko, a ledwie powiedział: „Rany, Jim, chłopie, chyba mamy drobny problem”, tuż za nami donośnie zawyła syrena, na desce rozdzielczej zatańczyły wirujące czerwone refleksy i wzmacniony przez tubę głos policjanta polecił nam zjechać na pobocze. Potem policjant podszedł do drzwi od strony ojca. Prawo jazdy i dowód rejestracyjny, powiedział. Proszę wysiąść z auta. (Zerkał przy tym na mnie skulonego na miejscu pasażerskim.) I wiecie co? Ojciec, nakazawszy mi gestem spokój, wysiadł z samochodu i wymigał się od mandatu. Perorując półgłosem, zachęcił gliనిarza, żeby do niego zadzwonił, jeśli będą mu potrzebne bilety na rozgrywki finałowe ligi futbolowej, a następnie sięgnął do portfela — policjant, z którym byli już na kumpelskiej stopie, zaprotestował żartobliwie: „Ależ nie trzeba, nie trzeba” — i wy dobył wizytówkę z wypisanym zamasyście nazwiskiem William Moran. W końcu, upewniwszy się, że policjant jest żonaty, opowiedział mu następny odcinek *Namiętnego serca*.

— Przekaż to swojej pani, a zobaczysz, jak zaimponuje przyjaciółkom — oświadczył. — No i pogadam z Howardem o tych biletach, bez obaw.

Puścił do niego oko, uściśnęli sobie dłonie, policjant klepnął ojca w plecy i otworzył mu drzwiczki. Kiedy odjeżdżaliśmy z piskiem opon, potrząsnął głową i uśmiechał się pobłaźliwie. Prawdziwy gość był z tego mojego staruszka. I parszywy ojciec.

Widzę, jak Clancy nadbiega ścieżką od strumyka. Trzyma w dłoni pusty pojemnik po jogurcie, rude kosmyki włosów wymknęły się spod jej czapki. Ma zarumienione policzki i się uśmiecha. Uświadamiam sobie, że już prawie wiosna, i wspominam to uczucie, które towarzyszyło mi, kiedy byłem w wieku Clancy, a wiosna powoli wyzierała zza rogu zimowej nowojorskiej martwoty. Clancy otwiera drzwi, zostawia pepegi w wiatrołapie i wślizguje się do kuchni. Wycieram o nogawki dżinsów dłonie wilgotne po płukaniu warzyw i przytulam córkę. I wtedy, mimo mrocznych myśli, jakie mnie nurtowały, mimo wspomnień bojów rzeczywistych i być może urojonych, jej uśmiech i słowa: „Cześć, tatusiu”, sprawiają, że nie posiadam się ze szczęścia.

3

Jack miał słuszość: byłam nieobecna duchem. Wzdrygnęłam się, zadając sobie pytanie, czy przeszłość nie jest po prostu bardziej godna zaufania aniżeli przyszłość, która — choć bliska — wydaje się przecież nieokiełznana. Jakaś cząstką duszy odczuwałam... hm, niemal wstyd, że oto w chwili gdy stoi przede mną Jack, śnię o czasach, kiedy miałam szesnaście lat. Cóż mogłam wiedzieć jako szesnastolatka? I czyżby do tego wszystko się sprowadzało? Że szukam uczuciowego ratunku we wspomnieniach sprzed trzydziestu lat? A jednak właśnie w tym momencie uświadomiłam sobie, jak bardzo pragnę odnaleźć Jimmy'ego Morana. Wmawiałam sobie, że chodzi o coś w rodzaju postawienia kropki nad i, lecz jednocześnie wiedziałam, że to nieprawda. Z jednej strony pragnęłam tylko usłyszeć jego głos, z drugiej zaś odczuwałam lęk, że to może nie wystarczyć. Oszałamiała mnie myśl o poszukiwaniu kogoś, kogo trzydzieści lat mogło zmienić w człowieka zupełnie obcego, a zarazem w głębi duszy nosiłam pewność, iż Jimmy nigdy nie będzie dla mnie kimś obcym.

Usiłowałam przekonać samą siebie, że już nie mogę malować dłużej tylko z pamięci i że to właśnie jest powód mojej decyzji o wszczęciu poszukiwań, choć doskonale zdawałam sobie sprawę, że się okłamuję. Nagle ujrzałam twarz Jimmy'ego tak wyraźnie, jakby stał przede mną. Miałam w nozdrzach zapach wody kolońskiej, którą sprys-

kiwał sobie kark, a jego włosy roztaczały taki słodki... zgoda, wiem, że brzmi to kretyńsko... ale roztaczały słodki aromat miodu. Co więcej: pamiętałam, jak to jest, kiedy człowiek kocha po raz pierwszy.

Pamiętałam w najdrobniejszych szczegółach, jak odpychał się od samochodu, przy którym czekał na mnie pod szkołą, jakim krokiem szedł w moją stronę. Jak dwa krótkie słowa powitania: „Cześć, Emmie” sprawiały, że miękły mi kolana i zaczynało łomotać serce. Jak biegłam do telefonu, żeby podnieść słuchawkę, zanim uczyni to moja matka czy któraś z siostr. Jak upewniał się głosem, który wtedy brzmiał w moich uszach głęboko i bardzo męsko: „To ty, Emmie?”

Ilekoć o nim myślę, poczucie zuchwałości, a zarazem tajemniczości moich poczynań, jakiego doznawałam w wieku szesnastu lat, powraca falą tak silną, że przechodzi mnie dreszcz. Na przykład tamten wieczór, gdy całował mnie przed ażurowymi drzwiami domu letniego w Old Greenwich, zanim wróciłam do sypialni, gdzie czekała Jennie i stały łóżka z baldachimami. Zanim Jimmy zajął pokój gościnny sąsiadujący z pokojem moich rodziców. Podnieśliśmy wzrok i zobaczyliśmy cień matki w oknie jej sypialni. Potem matka zaciągnęła zasłonę tak gwałtownie, że tkanina zafalowała i zatrzepotała, a my spłoszeni odskoczyliśmy od siebie. Gdy na paluszkach wbiegłam po schodach, osaczyła mnie na podeście.

— Wiesz, że zaczyna się od pocałunków, ale prowadzi do czegoś zupełnie innego — powiedziała, ściskając przy szyi kołnierzyk jedwabnej beżowej podomki. Jej długi warkocz spływał zmierzwiony na plecy, miała surowo ściągnięte usta. A ja, poirytowana jej agresywnością, tylko wzruszyłam ramionami.

— Skąd możesz wiedzieć? — zapytałam przekonana, że nie może pamiętać, a tym bardziej rozumieć, zbita z tropu, że moje życie zostało zredukowane do ustępu z książki, którą mi dała po mojej pierwszej miesiączce: *Miłość i seks w języku zrozumiałym dla nastolatków*. Drętwym i suchym. Teraz dochodzę do wniosku, że tym, co kazało jej zaciągnąć zasłonę tak donośnie i gniewnie, wcale nie musiała być

zazdrość. Zastanawiam się, czy ona też nie miała dość tego wożenia dzieciaków do szkoły, tych supermarketów i wszelkich wolontariatów. Zastanawiam się, jakim wzrokiem spoglądała na ojca pogrążonego w lekturze prawniczych tekstów, kiedy krążyła wokół niego, postukując zdeformowanymi obcasikami pantofli z jasnokremowymi pompkami. Może nie zwracała na nią najmniejszej uwagi. Mówił do niej „najdroższa”, ale czy rzeczywiście była jego najdroższą? Bo jeśli była, to dlaczego spędzali w milczeniu całe wieczory, siedząc po obu stronach kominka? Jakie więc miała prawo, żeby zabraniać mi całowania się z Jimmym? Była przecież kimś, kto nie miał pojęcia, co go ominęło. Kimś, kto nie znał prawdziwej miłości, uczucia, że nieruchomieje cały świat, kiedy ukochany chłopak patrzy ci w oczy. Kimś, dla kogo jedynym celem miłości jest prokreacja. Po wyjeździe Jimmy'ego mój ojciec często sypiał w pokoju gościnnym.

Pisnął timer piekarnika, zawołałam więc dzieci na kolację, odrywając się niemal z ulgą od swoich myśli. A przynajmniej udawałam, że nie jestem w nich pogrążona, kiedy zasiedliśmy przy kuchennym stole. Byłam jednak niezwykle jak na siebie cicha i nieobecna duchem. Nie potrafię skrywać uczuć, ilekroć więc zachowuję się dziwnie, moje dzieci są zaniepokojone. Tego wieczoru ich obawa przerodziła się w złość, a złość w niekończące się kłótnie. Zwykle wymagam, żeby pomogły mi posprzątać, ale tym razem zachęciłam je do wyjścia na dwór. Wieczór jest tak piękny, powiedziałam. Jack jednak wolał iść do swojego pokoju, Julie — wziąć prysznic, natomiast Charlie i Sam — pograć w piwnicy w ping-ponga. Krótko mówiąc, pozostać w pobliżu mnie. Zabawne.

Otworzyłam kuchenne okno i głęboko zaczerpnęłam powietrza, z premedytacją wracając do szarej rzeczywistości. Przetarłam blaty, a nawet wyciągnęłam odkurzacz, to jednak nie było sprzątanie — dokonywałam samooczyszczenia. Upominałam samą siebie, że mój dom jest właśnie tu.

Tylko że przez okno wtargnął nocny wietrzyk i znów znalazłam się w środku tamtego lata, chociaż ten wietrzyk był zupełnie inny — rześki i chłodny, wolny od ładunku

ciepła i morskiej wilgoci. Mieszkamy w głębi ładu: z New Canaan do plaży jest dość daleko. Wiosenne prognozy zapowiadały wiatry i deszcze. Wzięłam ze stolika krótką niebieską świecę, postawiłam ją na spodku i ruszyłam na górę, do swojej pracowni.

To miejsce było kiedyś zwykłym strychem, pełnym pajęczyn i kurzu, ale wystarczyło jedno solidne sprzątanie, by zmieniło się w moje sanktuarium. Całymi tygodniami wiórkowałam podłogę, szorowałam i malowałam ściany farbą koloru morskiej wody. Wyszpachlowałam też i pomalowałam każdy cal więźby dachowej, a stare fazowane szkło okien wypucowałam tak, że stało się prawie niewidzialne. Peter oświadczył wprawdzie: „Wynajmij kogoś do tej pracy, szkoda twojego czasu”, ale wolałam wszystko zrobić sama.

Zawsze doznawałam uczucia, że w naszym domu nie mam własnego kąta. Wszyscy inni mieli pokoje, w których zamykając drzwi, mogli odizolować się od pozostałych. Kryjówki. Wszyscy prócz mnie. Dopóki nie wykończyłam pracowni, trzymałam przybory malarskie w kącie kuchni. Peter miał do dyspozycji bibliotekę, dzieci — swoje sypialnie z telefonami, zestawami hi-fi, łózkami. Ja też potrzebowałam miejsca, gdzie rozmowy telefoniczne mogą być prywatne i gdzie mogłabym spokojnie malować, nierozpraszana obecnością dzieci i ich kolegów, którzy traktowali mnie jak powietrze. Uwielbiałam śmiech swoich dzieci, ale czasem sprawiał, że czułam się jak powietrze. Kiedy indziej znów ten śmiech odbijał się echem w moich uszach, bo uświadamiałam sobie, jak pusty stanie się dom, gdy pewnego dnia dzieci go opuszczą. Peter umiał mówić o ich wyjeździe do college'u z taką nonszalancją! Ja — nie. Potrafił zastanawiać się, jaką uczelnię wybiorą, czy będą potrzebowały samochodów, na jakich kierunkach postanowią uzyskać magisteria. A ja byłam w stanie myśleć tylko o pustce.

Belki więźby w mojej pracowni wiszą nisko nad głową, okna sięgają od podłogi do samego sufitu. Deski podłogowe są wyszorowane do białości, morskiej zieleni ścian zaś nie widać spoza kolażu przypiętych do nich pinezkami

wspomnień — przedszkolnych obrazków malowanych palcami przez moje dzieci, zakładek do książek i kwietników robionych przez nie na koloniach letnich, zdjęć przedstawiających je w towarzystwie świętych Mikołajów i królików wielkanocnych, ich portrecików, które rysowałam węglem. Ponadto są tam wszystkie notatki, jakie mi zostawiały, i wykonany w zeszłym roku przez Julie dyplom „Dla najlepszej Mamy” — pokryty serduszkami i gwiazdkami, a także mnóstwem skrzącego się błękitem i złotem szychu. Jest półka zapełniona malowanymi glinianymi naczynkami (określały je mianem popielniczek) oraz płytkami ceramicznymi z odciskami paluszkowi wytłoczonymi z boku imionami dzieci. Są zdobione bukiecikami fiołków kartki na Dzień Matki, a obok nich flakoniki z fioletowymi solami do kąpieli, na których zużycie nie potrafiłam się zdobyć. Są upominki, które kupowały w tanich sklepach, podczas gdy ja udawałam, że tego nie widzę. Są pisemne przeprosiny za bałagan w pokojach albo pyskowanie, sygnowane serduszkami zamiast imion.

Ale na ścianach nie ma listów od Petera. Peter przestał pisywać do mnie w tym samym czasie, gdy odpuścił sobie pozostawianie notek na poduszce. Kiedy przestał odczuwać potrzebę wyjaśniania, że „wyszedł wcześniej” albo „zobaczymy się później”. Kiedy wszystko stało się dla nas jasne. Chociaż na początku lubił do mnie pisać. Czasem zostawiał liściki w lodówce albo przylepione do lustra w łazience, a raz włożył jeden pomiędzy tulipany stojące w wazonie na stole obok moich przyborów malarskich. Wszystkie były starannie wykaligrafowane i ukryte w zaklejonych kopertach; w niczym nie przypominały pospiesznie nagryzmołonych wiadomości, jakie później znajdowałam na poduszce.

Na półce z książkami — wetknięta pomiędzy stronicę *Historii sztuki* Jansona — jest bardzo stara koperta pełna zaschniętych żółtych płatków.

Na środku pokoju, oparty o pochłapane farbą sztalugi, stoi obraz; oleje wciąż błyszczą, bo położyłam je dziś rano na Cyplu Toda. Przedstawia stojącego nad brzegiem młodego mężczyznę o rozwianych przez wiatr długich kruczczo-czarnych

włosach; mężczyzna trzyma dłonie w kieszeniach dżinsów. Dotknęłam płótna i na czubku palca pozostał wilgotny ślad ciemnej farby.

Nie przyglądałam się obrazowi, odkąd wraz ze wszystkimi moimi manelami malarskimi włożyłam go tego przedpołudnia do bagażnika. Po raz pierwszy pozwoliłam sobie oddać swoje wspomnienia na płótnie i chociaż nie sportretowałam twarzy mężczyzny, miałam zupełną jasność, kim jest. Zerknęłam nań tylko przelotnie, kiedy wkładałam obraz do auta. Słyszałam nad głową niemal histeryczne piski mew, pikujących ostro na pozostawione tu resztki czyjś posiłku. Na obrazie nie było nic prócz młodego mężczyzny i Cieśniny w tle. Zawsze w myślach nazywałam ją Oceanem. Plaża była tak biała i nieskończenie ogromna jak w czasach chłopca, który stał tyłem, wpatrzony w morze.

— Zebrało ci się na romantyczny wieczór, mamó? — uśmiechnął się Jack, mijając mnie na schodach. — Tylko jedna świeczka? Ach, aromatyzowana! Lawenda, prawda?

Jack, mój pierworodny. Jack, który ma opory przed waleniem prosto z mostu, skłonny do rozwodzenia się nad oczywistościami, kwitowania problemów żartem. Jack pragnie, aby wszystko było w porządku. To on piorunuje ojca wzrokiem, kiedy Peter wkracza do domu wiele godzin po kolacji. Peter kiwa głową, idzie z wypchaną teczką do swego gabinetu, a ja zastanawiam się, kto tu postępuje słusznie, a kto nie i czy w ogóle istnieje coś takiego jak słuszność i jej brak. Jack jest tym z moich dzieci, któremu najszybciej przejadły się wymówki Petera o nadmiarze pracy. I po dziś dzień bywają chwile, gdy rozczulam się nad Jackiem, Peterem i nad sobą, rozmyślając, kiedy nasza droga się rozwidliła, Peter skrzył w jedną stronę, ja zaś w drugą.

— Tato, nigdy cię nie ma na kolacji — mawiał Jack już jako dziesięciolatek.

— Ależ, Jack, starałem się. Tylko że mam roboty po uszy — odpowiadał Peter, grzęznący w beznadziejnych wymówkach. Zarumieniony, ilekroć Jack wbrew swojej naturze prze do konfrontacji.

Łatwo się przekonać, że mężczyzna i chłopiec nie mają wspólnego języka. Jack, posiedź z ojcem, kiedy będzie pił drinka, zachęcam. Peter, powiedz Jackowi, że będziesz pił drinka, i poproś, żeby z tobą trochę posiedział, kwilę. Ale każdy idzie w swoją stronę. Żadnych słów. Jack wykrzykuje, że mnie nie słyszy, zatrzaskuje drzwi, rozkręca hi-fi na cały regulator, żeby zagłuszyć mój głos. Były czasy, kiedy Peter pytał mnie jak dziecko, co robi niewłaściwie. Były czasy, kiedy występował z hipotezami uwzględniającymi racje ojca i syna. Kiedy wygłaszał sugestie dające szanse rozwiązaniom. Długo odgrywałam rolę dawczyni pokoju i kreatorki marzeń. A potem po prostu znużyłam się nią. Paradoksalnie, kiedy Peter wraca do domu wymachując biletami na mecz Jankesów albo samolot do Aruby, staje się bohaterem, a ja zajmuję swoje stare miejsce: wychowawczyni. Matki. Barykady pomiędzy dziećmi a zabawą. To ja pilnuję odrabiania lekcji. Pościeliliście rano łóżka? Zabraliście dzienniczki? Będziecie punktualnie na lekcji?

— Kiedy byłam młodą dziewczyną, zawsze miałam w pokoju świece — wyjaśniam Jackowi, który ostentacyjnie wdycha aromat lawendy. — Na wszelki wypadek, gdyby z powodu burzy wysiadła elektryczność. Świece były lepsze niż latarki, rzucały na ścianę cienie, które tańczyły, kiedy wiał wiatr.

Jack przewrócił oczyma, a potem mocno otoczył ramieniem moje barki.

— Myślę, że ta lawenda uderzyła ci do głowy. Jesteś wariatką — pocałował mnie w policzek. — Spodziewasz się burzy, mamo, czy tylko ją sobie namalujesz?

— W prognozie zapowiadali deszcz, Jack — odparłam ze śmiechem, uświadamiając sobie, że ten dialog o lawendowej świecy jest trochę teatralny. — A pewnego dnia oczy uciekną ci pod czaszkę i tam już zostaną.

Usłyszałam, jak Peter otwiera drzwi, a później bierze z kredensu butelkę szkockiej.

— Nie ma lodu! — krzyknęłam w dół z wysokości połowy schodów. — Ktoś przypadkowo wyłączył maszynkę do lodu.

- Piję czystą — odrzekł.
Znieruchomiałam.
- Odkąd?
- Odkąd pewna moja klientka, dietetyczka z zawodu, powiedziała, że będę piła mniej, jeśli przejdę na nierozcieńczoną.
- Przecież trudno nazwać cię pijakiem — roześmiałam się, pamiętając o słabej głowie Petera.
- Jasne, ale ona twierdzi, że to lepsze dla zdrowia. No i smakuje mi bardziej.
- Zeszłam do niego ze swoją świecą, rozchwianą na spodku.
- Jak wygląda? — zapytałam.
- Kto?
- Ta dietetyczka.
- Jest ruda — odparł.
- Naturalnie ruda? — dociekałam, usiłując skrzywić usta w nieznacznym uśmiechu.
- Skąd mogę wiedzieć? — odburknął, a potem ze szklaneczką szkockiej minął mnie i zniknął w swoim gabinecie.

Usłyszałam, że głęboko westchnął. Sprowokowałam go, a przecież usiłowałam tylko zażartować. Pragnęłam, żebyśmy znów się śmiali, pragnęłam, by się bronił i może nawet oświadczył, że z całą pewnością jest naturalnie ruda, co oczywiście skłoniłoby mnie do zapytania, skąd ta pewność. Nie musiał być tak diablo poważny. Chciałam, by wziął mnie w ramiona i takim tonem jak dawniej powiedział, że liczę się tylko ja. Czasem nieomal życzyłamby sobie, aby miał kogoś innego, bo to przynajmniej wyjaśniałoby, dlaczego poświęca mi tak mało czasu. Nalałam sobie kieliszek wina i powędrowałam do pracowni. Z gabinetu Petera dobiegł mnie szelest gazety. Niebawem Peter wejdzie na górę, zapuka do otwartych drzwi pracowni i zapyta: „Co z kolacją?” Ale nie poprosi, żebym usiadła z nim do stołu, prawdopodobnie świadom, że odmówię.

Kilka tygodni temu poszliśmy z Peterem do knajpki w sąsiedztwie, nad której wejściem pulsował czerwony neon

z napisem „Budweiser”. Mieszkaliśmy w tej dzielnicy od piętnastu lat, mijaliśmy bar pewnie z milion razy, ale zaszliśmy do środka po raz pierwszy. Chłopcy grali tego dnia w kosza, Julie pracowała jako niania, dom wydawał się nieznośnie pusty. Wytrwaliśmy tylko we dwoje dość długo, w końcu jednak napięcie wynikłe z tego sam na sam stało się nie do wytrzymania i stąd pomysł wypadu do baru z czerwonym neonem.

Kelnerka w owym barze (zwanym po prostu pubem) nosiła głęboko wycięty biały trykot i odwróconą daszkiem do tyłu bejsbolówkę. Jej wargi pokrywała gruba warstwa czerwonej szminki, spod napiętej tkaniny T-shirtu sterczały wydadne sutki. Kiedy przyjmowała zamówienie od Petera, pochyliła się zgięta w pasie, wypinając tyłeczek i zawieszając na wysokości oczu mojego męża głęboki kanion pomiędzy swymi piersiami.

— Poproszę butelkę ale — powiedział Peter, nie podnosząc głowy.

— Widziałeś to? — zapytałam ze śmiechem, kiedy kelnerka odeszła. — A może bałeś się spojrzeć?

— Na co?

— Pochyliła się tak na twój benefis — odparłam. — Niezły biust.

Wtedy Peter poprosił, żebym dała spokój, bo nie ma ochoty słuchać podobnych bzdur.

Zastanawiam się czasem, które ze swoich myśli Peter woli zatajać. Czy przypadkiem nie ukrywa przede mną jakiejś części swojej natury. Szczególnie kiedy wysyłam mu wiadomość na pager, a on nie oddzwania całymi godzinami. W takich chwilach nieomal pragnę myśleć, że jest w ramionach innej kobiety — dla szczypty niezdrowej emocji, z potrzeby czegoś, co nie jest ładem i szarością. Zawsze jednak w końcu dochodzę do wniosku, że albo padła mu bateria, albo padł on sam.

Przedostatniego lata była ta dziewczyna o imieniu Amy, studentka z Pace College na letniej praktyce w biurze Petera. Tego lata Peter wiele razy do późna siedział w pracy. Zastanawiałam się, czy żartował z Amy, zabierał ją na

kolacje i słuchał jej bezmyślnej — zapewne — paplaniny. Kłął się na wszystkie świętości, że nigdy nic pomiędzy nimi nie było, a potem przestał mnie przekonywać, bo oświadczył z irytacją, że jestem nieprzemakalna na argumenty. Że ma już po uszy samoobrony, że to wszystko przestaje być zabawne. Tymczasem ja czułam, że wciąż jest coś, o co warto walczyć. Chciałam znów zdobyć Petera, rozniecić na nowo namiętność z czasów, gdyśmy nieustannie byli sobie złąknieni. Nawet gdyby potrzebna była do tego inna kobieta. Bo dzięki temu nie musiałabym myśleć, że po prostu stałam się nieatrakcyjna. Pragnęłam takich wieczorów jak te dawno temu, gdy całowaliśmy się koło okna w sypialni. Dawno temu był w nas nieustanny głód, ale głód ma to do siebie, że umiera — pewnego dnia człowiek patrzy w lustro i stwierdza, że jest może trochę wymizerowany i powinien się zacząć lepiej odżywiać. Winą obarczałam siebie: dzieci, które pojawiły się tak szybko, grzechotki poniewierające się na podłodze naszej sypialni, pożółkłe plamy od mleka na moich bluzkach. Czułam się jak cuchnąca skwaśniałym mlekiem wyspa na oceanie soku z jabłek pełnym dryfujących min w postaci klocków lego.

Peter jest przystojny, wysoki i dobrze zbudowany. Bywa, że kiedy pachnący wodą kolońską, z zaczesanymi do tyłu, wciąż wilgotnymi po prysznicu ciemnymi włosami wychodzi do pracy w eleganckim trzyczęściowym garniturze, ubolewam, iż nie jest inaczej. Przypominam sobie czasy, kiedy jego spodnie nie miały jeszcze tak ostrych kantów, a białe koszule prane w publicznej pralni nie były uszyte z egipskiej bawełny. Pamiętam, jak akompaniując sobie na fortepianie, śpiewał dla mnie piosenki miłosne. Nieraz myślę, że bliski jest tego, by wciągnąć mnie na powrót w swoje życie, ale zaraz potem umyka na jakieś kolacje służbowe i narady, skrywa się w stosie prawniczych dokumentów albo za komputerem w swoim gabinecie. Fortepianu nie dotknął od lat, chociaż zawsze dbam, żeby był nastrojony.

Znów byłam pogrążona w myślach, kiedy Jack wszedł do mojej pracowni, popijając z kartonu sok pomarańczowy. Zakrywał dłonią oczy w taki sam sposób jak wtedy, gdy

będąc dzieckiem wierzył, że jeśli on mnie nie widzi, ja nie dostrzegam go również. Wybuchłam śmiechem.

— Jesteś za stary na takie sztuczki, Jack — stwierdziłam.

— Ale ty nigdy na nic nie będziesz za stara, mamó — odparł.

Myślę, że po prostu powtórzył słowa, które kiedyś powiedziałam sama, lecz mimo to trafił w czuły punkt.

Za jego plecami pojawił się Peter.

— Co z kolacją? — zapytał.

Tym razem siedziałam z nim przy stole, kiedy jadł. I zastanawiałam się, co jest gorsze: samotność czy osamotnienie?

4

To był jeden z tych dni w drugiej połowie kwietnia, kiedy ludzie mieszkający gdzieś na południu mogą grać na nosie tym z północy. Wciąż mówię „gdzieś na południu”, bo czasem miewam wrażenie, że tak naprawdę wcale tu nie mieszkam. Że tak naprawdę jestem tu tylko przejazdem.

Mieliśmy najłagodniejszą zimą, jaką pamiętam, a wiosna nadeszła wcześniej niż zwykle. Żonkile (zwane na północy narcyzami) wystawiały z ziemi zielone pędy, słońce zaś grzało na tyle mocno, że z książką i butelką piwa mogłem zasiąść na werandzie. Była mniej więcej czwarta po południu i właśnie wróciłem ze sklepu Longa, gdzie pracuję na pół etatu w dziale win. Po drodze odebrałem Clancy ze szkoły. Wyciągnąłem na dwór leżak, otrzepałem go z kurzu zdjętą koszulką, którą następnie powiesiłem na oparciu, pociągnąłem z butelki łyk zimnej corony i spojrzałem w bezchmurne błękitne niebo.

Słońce nadal mocno prażyło, ale — jak to bywa u schyłku dnia — nieomal można było w nie patrzeć. Clancy znów bawiła się nad strumieniem. Tym razem trzymała w dłoni wędkę, którą zrobiła z gałązki, sznurka i pinezki; przynęte stanowił kawałek bekonu. Clancy potrafiła tak stać godzinami, nie pesząc się brakiem jakichkolwiek sukcesów wędkarskich.

Rankiem tego dnia poszedłem do pracy i rozmawiałem z samym Mikiem Longiem o winach, które w moim przekonaniu powinien sprowadzać i sprzedawać. Pracuję u Longa

od jakichś sześciu miesięcy i — jak zawsze w moim życiu — idę na całość, dopóki nie nastąpi koniec. Zwykle następuje przedwcześnie. Ot, damę się unieść entuzjazmowi i wynika z tego jakiś nieprzewidywany rozwój wydarzeń. Weźmy tę rozmowę z Mikiem kilka tygodni temu, kiedy miałem wrażenie, że wcale mnie nie słucha. Poczułem, że to wszystko nie ma sensu, prowadzi donikąd... więc dlaczego właściwie zawracam sobie głowę? Ale nie ma we mnie szarych stref, wszystko jest albo czarne, albo białe. Zawsze muszę wiedzieć. Zawsze muszę się dowiedzieć. I czasem to działa przeciwko mnie. Przeciagam strunę. Zdaniem Mary jestem namolny. Nieustępliwy jak ogar. Po prostu nie jestem w stanie robić czegokolwiek na pół gwizdka.

Mikę Long, łysy konus, który nosi sygnet z olbrzymim rubinem, chyba jednak mnie wtedy słuchał, bo dziś oznajmił:

— Skoro uważasz, że tak dobrze znasz się na winie, Moran, to może powinieneś zostać zaopatrzeniowcem.

Cały się zjeżyłem, bo nie lubię, kiedy ludzie zwracają się do mnie po nazwisku, pomijając przed nim słowo „pan”. A co do win, to naprawdę dowiedziałem się o nich sporo, bo wypytywałem każdego, kto mógł mi o nich cokolwiek powiedzieć, i przeczytałem każdą książkę, jaka mi wpadła w ręce. Poznałem odmiany winorośli, winnice, roczniki i regiony doliny Napa, w związku z czym czułem, że nie jestem pętakiem i znam się na swojej robocie. Tylko importowanymi winami nie zawracałem sobie głowy, bo nie byłem w stanie wymówić ich nazw. Zresztą u Longa nie handluje się towarem z importu.

No więc tego dnia, kiedy żonkile wyrzały na świat, a ja po powrocie z pracy usiadłem na werandzie, zadzwonił telefon. Nie odebrałem go, bo doszedłem do wniosku, że dzwoni Mikę, który chce się wycofać z pomysłu, żebym został zaopatrzeniowcem, bo lepiej się sprawdzę po starym ustawiając butelki na półkach i rozładowując ciężarówkę. Nie miałem ochoty stawiać mu w tej chwili czoła. Taki już jestem, skłonny do czarnowidztwa. Ale przez chwilę miałem wyrzuty sumienia, że nie odbieram telefonu. Tylko że czytałem *A Separate Peace* i przez cudze słowa wracałem do

własnego dzieciństwa. Jezu, jak ten facet umiał pisać. John Knowles. Można by pomyśleć, że z jakiegoś punktu obserwacyjnego w otchłaniach mojego dojrzewania widział całą tę szarpaninę i rozterki, a potem oznajmił, że napisze książkę dla Jima Morana, który mimo wszystko wyszedł na ludzi.

Był w moim życiu okres, kiedy czytanie książek wydawało mi się równie trudne jak studiowanie hieroglifów. I dopiero po badaniu lekarskim w piechocie morskiej wyszło na jaw, że jakaś wewnętrzna część mojego oka jest pokrzywiona — nazywają to astygmatyzmem — i dlatego właśnie mam kłopoty z czytaniem, koncentracją, nauką i w ogóle. Dali mi więc kazonne plastikowe okulary; były prostokątne, czarne i szpetne, trochę podobne do tych, które nosił Buddy Holly, tylko że on w nich wyglądał byczo. Kiedy po komisji wypuścili mnie w tych okularach i gatkach, czułem się przy muskularnych wytatuowanych chłopakach z Południa jak ciota z Północy. Jak włosko-hiszpański gnojek z zamożnej części Greenwich Village, który dał w życiu taką plamę, że jego subtelny tatusiek wykopsał go z domu, żeby został czterookim marine. Miałem wygoloną głowę, więc okulary na moim nosie wyglądały jak lorneta: kiedy tylko zacząłem je nosić, zyskałem ksywkę Łasica. Pomyśleć, że w dawnych czasach imponowałem kumplom. Teraz mam szkła kontaktowe. Nie mogłem ich używać w Wietnamie, a potem, aż do niedawna, nie było mnie na nie stać. Nieraz się zastanawiam, czy wylądowałbym jako osiemnastolatek w Chou Lai, gdyby moi starzy chociaż raz wytrzeźwili na tyle, żeby zaprowadzić mnie do okulisty. Gdyby przejmowali się mną dostatecznie mocno. Teraz pochłaniam książki w zwariowanym tempie i oglądam filmy, jakbym się bał, że przegapię coś naprawdę ważnego. Potrafię powtarzać z pamięci całe dialogi, znam nazwiska scenarzystów, reżyserów i daty produkcji.

No więc tego dnia późnym popołudniem, kiedy słońce chowało się za drzewa, a ja siedziałem rozwalony w leżaku, znowu zadzwonił telefon. Nie odebrałem. Chwilę później skończyłem swoje piwo i poszedłem do kuchni po następne; wtedy zobaczyłem, że światło na automatycznej sekretarce

1

sygnalizuje dwie nowe wiadomości. Byłem już zupełnie pewien, że próbuje się do mnie dodzwonić Mikę Long, zapewne solidnie wkurzony moim milczeniem. Śmieszna sprawa, ale na moment przed wciśnięciem guziczka aparatu pomyślałem z ubolewaniem, że ten dzień nie jest jakiś bardziej wyjątkowy. Nie wystarczały mi żonkile, słońce i zimne piwo. Nie satysfakcjonowało, że miałem pieniądze, aby kupić w sklepie ogrodniczym te przecenione aluminiowe leżaki z poduchami w zielono-białe pasy. Potrzebowałem czegoś więcej. Miałem lekkie wyrzuty sumienia, że nie wystarcza mi nawet widok Clancy wędkującej w strumyku. Pragnąłem czegoś, co mnie przekona, że nie jest źle zacząć czterdziesty ósmy rok życia i że wciąż mam czas, by odmienić swoje życie. Bo czasem miewam wrażenie, że kręcę się w kółko i nic z tego wynika. Że tkwię w środku jakiegoś obłądnego zapętlonego snu.

To Clancy miała się stać czynnikiem, który da Mary i mnie ten impuls, powiedzie ku tym nowym wyżynom, o których Mary czyta w magazynach dla kobiet, chociaż tak, jasne, zawsze słyszałem, że teoria o cementowaniu związków przez dzieci to bujda na resorach. Ale czy zwracałem na te przestrogi uwagę? Nie. Schrzaniłem w swoim życiu wiele innych rzeczy. Na przykład nie poszedłem do college'u, żeby próbować coś z siebie wykrzesać. Nie oszczędzałem pieniędzy. Nie dorobiłem się własnego interesu. Nie potrafiłem dać Clancy tego wszystkiego, co chciałyby jej dać.

Wykombinowałem sobie, że skoro Mary pragnie mieć dziecko, a ja pragnę być ojcem, chociaż nie mogę, najszcześniejszym rozwiązaniem jest adopcja.

Przeszedł mnie dreszcz — jak zawsze, kiedy zapuszczam się tam, gdzie nie powinienem, kiedy myśli wyrrywają się spod mojej władzy, biegnąc w dalekie rejony, i rad nierad muszę je powściągnąć.

No więc miałem akurat wyjąć z lodówki następne piwo, gdy zatrzymałem się przy aparacie i wcisnąłem guzik, stuprocentowo pewien, że usłyszę Mike'a Longa, który tym swoim paskudnie rozlałym głosem południowca sprowadzi mnie z obłoków na ziemię. Ale pierwsza wiadomość była od Mary.

— Jimmy, odbierz telefon — powiedziała moja żona.
— Wiem, że jesteś w domu.

Potem usłyszałem, że mruczy „w porządku” i informuje kogoś, że mnie nie ma. Miałem wrażenie, że nie odłożyła słuchawki, lecz z wysoka upuściła ją na widełki. Stuknięcie mnie zirytowało. Byłem już prawie przy lodówce, żeby wyjąć następną flaszkę corony, gdy z głośnika zabrzmiała kolejna wiadomość. Kurczowo zacisnąłem dłoń na drzwiach lodówki, jakbym się miał lada chwila przewrócić.

— Mam na imię Emily — odezwał się kobiecy głos.
— Jeśli jesteś tym Jamesem Robertem Moranem, którego znałam i który w 1967 wstąpił do Korpusu Piechoty Morskiej, proszę o telefon. Znalazłam twój numer przez Internet, może więc być błędny. Mój numer to...

Drżały mi ręce, a serce łomotało tak, jakby miało rozsadzić klatkę piersiową. Wcisnąłem guziczek i odtworzyłem wiadomość ponownie. A potem znowu, znowu i jeszcze raz. Z wysiłkiem przełknąłem ślinę i wyobraziłem sobie ją... jasnowłosą i opaloną... Tamtego dnia na dworcu patrzyła mi w oczy i tuliła tak mocno, jakby nie zamierzała mnie puścić. Złapałem ogryzek ołówka, który Mary trzyma przy telefonie, sięgnąłem do serwetnika ozdobionego z obu stron stokrotkami i zapisałem numer.

Potem go wybrałem.

Po czterech sygnałach uzyskałem połączenie.

— Cześć, tu Emily Hudson — usłyszałem nagrany kobiecy głos. — Chwilowo nie mogę odebrać, ale oddzwonię, jeśli zostawisz numer.

Emily była rzeczowa i troszkę sztywna, ale nie miałem wątpliwości, że głos należy do niej, zaokrąglała samogłoski w typowy dla niej sposób. Nie lubię maszyn. Chryste, nie mam nawet bladego pojęcia o posługiwaniu się komputerem czy kopiarką. Ale zadzwoniłem jeszcze raz i zostawiłem wiadomość. Mówiąc bardzo powoli i zaokrąglając samogłoski oświadczyłem, że jestem tym Jamesem Robertem Moranem, którego szuka, i że pamiętam ją bardzo dobrze.

Potem przywołałem Clancy znad strumyka: bosa i za-błocona, przybiegła z tenisówkami w rękach. Pachniała jak

zmoczony szczeniak. Upuściła tenisówki na kuchenną podłogę i choć w zwykłych okolicznościach kazałbym jej zabrać buty na werandę i opłukać szlauchem, teraz porwałem ją na ręce, kilkakrotnie obróciłem w powietrzu i pocałowałem w szyję.

Przyrządziłem kolację dla siebie i Mary: upiekłem na ruszcie udziec jagnięcy, zrobiłem sałatkę, otworzyłem „pożyczoną” od Longa butelkę dobrego czerwonego wina. Kiedy Mary zapytała, z jakiej to wszystko okazji, odparłem, że z żadnej szczególnej. Uśmiechnęła się tylko. Nie zadawała więcej pytań. Jak zwykle.

Odkurzyłem tego wieczoru cały dom, a później obejrzałem z Clancy jakiś film; kiedy szarpała mnie za rękaw, pytając, czy widziałem to albo tamto, uświadamiałem sobie, że nie zwracam na akcję najmniejszej uwagi. Po prostu czekałem na telefon Emily.

Tamtego lata gdy przebywałem w obozie szkoleniowym na Paris Island w Karolinie Południowej, moja dziewczyna przysłała mi swoje zdjęcie. Była na nim w żółtym bikini. Miała zaledwie szesnaście lat. Emily Hudson. Tak samo jak ja chodziła do prywatnej szkoły, nosiła plisowane spódnice i granatowe sweterki. Ale w niczym nie przypominała tych wszystkich dziewczyn, które były gotowe ściągnąć majtki i pozwolić człowiekowi robić ze sobą, co zechce. Boże, takich nigdy nie brakło. Emily była odmienna, trochę kapryśna i nazbyt wrażliwa. I Chryste, jakże ją kochałem! Tamtego lata pisała do mnie codziennie. Sierżant przejmował i otwierał wszystkie nasze listy. Pewnego ranka, kiedy stojąc w gatkach składałem na pryczy kazonny zielony koc, usłyszałem ryk sierżanta;

— Moran! Dawaj tu swoje chude dupsko! N a j e d n e j nodze!

— Tak jest! — Podbiegłem do niego i potknąłem się salutując.

— Zakładaj swoje binokle, Moran, i popatrz na tę świnię! Umieścimy zdjęcie tej świni wysoko na ścianie, żeby pociechę mieli wszyscy, Morgan, nie tylko ty — oznajmił sierżant.

Szesnastoletnia Emily została podsumowana słowem „świnia”. Miała ciało, dla którego człowiek dałby się zabić, a zarazem niefart, żeby stać się obiektem obłeśnych żołnierskich spojrzeń. Królową świńskiej wystawki. Ja nigdy nie nazwałem jej świnią. Dla mnie była bosonogą dziewczyną o prostych włosach blond, które miały zapach cytryn. Pamiętam, jak w piwnicy jej wielkiego letniego domu leżeliśmy oboje pod stołem do ping-ponga, a ściśle biorąc, ja leżałem na niej, mając wrażenie, że suwak moich dżinsów nie wytrzyma i z własnej inicjatywy otworzy się lada chwila. Przy czym przez cały czas postukiwałem piłeczką, aby przekonać jej matkę, że gramy w pingla. Ojciec Emily był Anglikiem i nazywał ją „kicią picia”. Pewnego dnia zapytałem Emily, czy jej to nie peszy, a ona, lekko przechyliwszy głowę, spytała, dlaczego miałyby peszyć. Taka już była. Niewinna. Pocałowałem ją w czoło i przekonany, że nie ma pojęcia, o co mi chodzi, postanowiłem jej nie oświecać. Gdy jednak parsknąłem śmiechem, słysząc słowa: „Emily, chodź do mnie, Mciu picciu”, jej ojciec popatrzył na mnie trochę koso.

To, co zamierzam powiedzieć, jest najszczerzą prawdą. Przez wiele lat nie było dnia, w którym nie myślałbym o tamtym letnim dniu roku 1967, kiedy Emily i jej matka odwoziły mnie na dworzec. To było piątego lipca; chociaż słońce prażyło tak, że powietrze nad torami przypominało mgłę, trząsałem się na całym ciele. Wsiadłem z wielkiego oldsmobila Hudsonów i razem z Emily ruszyłem w stronę stacji. Chyba żadne z nas nie zdawało sobie sprawy, co się dzieje. Może wcale nie chcieliśmy wiedzieć. Może wcale nie chcieliśmy zdawać sobie sprawy. Usta Emily szklily się różowo, jej oczy i nos były zaczerwienione od płaczu. Nosiła obszerną koszulę, dżinsy dzwony i modne wtedy sandały z brązowych rzemyków. Zaprowadziłem ją za budkę kasy biletowej, gdzie nie mogła nas widzieć jej matka, i tuliłem się do niej z całych sił, aż z rykiem wtoczył się pociąg, a ja wsiadłem do wagonu. Tak jak w tych wszystkich filmach wojennych, które teraz oglądam w telewizji.

Obraz Emily nosiłem głęboko w sercu przez cały okres służby. Tylko jej wspomnienie trzymało mnie przy życiu.

Wspomnienie tego, jak całowałem jej twarz i włosy, jak wplatałem w nie palce. Nigdy jej o tym nie powiedziałem, bo później widziałem Emily jeszcze tylko raz, a potem ją straciłem. Straciłem, bo była wciąż dziewczynką, kiedy wróciłem z szyją grubszą o numer i jednym w głowie. Figle pod stołem do ping-ponga już mi nie wystarczały. Więc śmiertelnie ją wystraszyłem, prosząc o rzeczy, na które jeszcze nie była gotowa. Patrząc wstecz, zastanawiam się, czy po prostu nie była gotowa na mnie. Też się bałem, ale kochałem ją tak mocno. Wciąż o niej myślę, szczególnie w takie dni jak dzisiejszy — kiedy Clancy bawi się nad strumykiem, a w powietrzu czuć wiosnę. Zanim pojawiła się Clancy, Emily była jedyną istotą, która do mnie należała. Zanim pojawiła się Clancy, bosonoga i ciskająca kamyki, Emily była ostatnim świadkiem mojej niewinności.

5

Było naprawdę zimno jak na wiosnę. Czasem budziłam się w środku nocy, ubrana w ciepły wełniany szlafrok i okutana ciepłym wełnianym kocem, i ta myśl ogarniała mnie jak olśnienie, najpierw gwałtownie przyspieszając oddech, a w końcu każąc mi głęboko westchnąć. Byłam samotna. Wełna nie dawała mi ciepła, za którym tęskniłam. Kiedyś sypialiśmy z Peterem wtuleni w siebie, teraz — po przeciwnych stronach łóżka, odwróceniu do siebie tyłem. Pamiętam, że w tych dawnych czasach mawiałam do Petera żartobliwie, że jeśli kiedykolwiek wpadnie na pomysł, by mnie porzucić, niech zrobi to z łaski swojej, zanim będę musiała rozpocząć kurację hormonalną. Teraz ten żart stawał się ponurą rzeczywistością. Peter starzał się w ów typowy męski sposób, który sprawiał, że wyglądał tylko bardziej dystyngowanie niż dotąd — miał szpakowate włosy i miniaturowy brzusek, bez wątplenia ogromnie seksowny dla każdej kobiety przy zdrowych zmysłach. Zapytałam go nie dalej niż przedwczoraj, ile zna siwych kobiet z brzuszkiem, które uznałyby za wybitnie pociągające. Moje lata są policzone, dodałam. Ty możesz zacząć nowe życie, założyć drugą rodzinę, gdy tymczasem moja wartość rynkowa spada na łeb, na szyję: jestem obciążoną czwórką dzieci kobietą w wieku średnim. Roześmiał się i odparł, że chyba zrobiła się ze mnie aż nazbyt ortodoksyjna feministka, bo w przeciwnym razie nie mówiłabym

takich rzeczy. Nie powiedział mi tego, co pragnęłam usłyszeć.

Kiedy spoglądam w lustro, wyraźnie widzę cienkie nitki wokół oczu, które zresztą wydają się teraz mniej błękitne niż kiedyś. Reszta mego ciała jest nadal w dobrej formie: dają o sobie znać długie wieczory ćwiczeń w naszej domowej siłowni, bieganie z psem, miliony wędrówek po piwnicznych schodach z ciężkimi kosztami brudów i upranej bielizny. Moje ramiona okrzepły przy noszeniu płócien, mieszaniu farb, zamiataniu podłóg. Moje włosy nie posiwiały, choć nie są już blond, jak kiedyś, lecz raczej myszowatoblond. W sumie jednak się trzymam. Trwam. Dochodzę do wniosku, że kąpiele w formaldehydzie wcale nie są takie złe.

Co więcej, znużyło mnie życie dla jutra, kiedy jakąś częścią duszy trwam w przekonaniu, że nie skończyłam jeszcze z życiem dla dnia dzisiejszego. Nie chciałam słuchać o ubezpieczeniach na życie i funduszach emerytalnych. Rozmowy z Peterem były rzadkie, a kiedy już do nich dochodziło, dotyczyły wyłącznie dzieci i jego spraw zawodowych. Tego, że rachunki za elektryczność są zbyt wysokie. Że samochód nie ma ważnego badania technicznego. Że może warto by wziąć drugi kredyt hipoteczny. Że dzieci potrzebują nowych butów, a Charlie — aparatu na zęby.

Chciałam wrócić do czasów sprzed Petera Waltersa i zacząć wszystko od nowa, pytanie jednak brzmiało, czy chcę zaczynać od nowa z Peterem Waltersem. Nieraz sądziłam, że tak, kiedy indziej znów dochodziłam do wniosku, że nie wiem, czy zdołam zapomnieć na tyle, aby cofnąć się z Peterem do początku i zacząć na nowo właśnie z nim.

A potem, jeszcze bardziej ukrzepiając w sobie tęsknotę, to poszukiwanie czegoś, co w średnim wieku przebudzi mnie do życia i pozwoli naprawdę istnieć, zadawałam sobie pytanie, dlaczego uważam, iż odpowiedzią może być Jimmy Moran. Dlaczego po prostu nie obrócę się w łóżku na drugi bok, obejmując Petera w taki sposób, jak w pierwszych latach naszego małżeństwa.

Czy serio brałam pod uwagę niewierność czy tylko Jimmy dostarczał pożywki dla mej wyobraźni? Ktoś mi

kiedyś mówił, że bez względu na to, czy doszło do przypadkowego zabójstwa czy morderstwa z premedytacją, ofiara jest martwa. Pragnęłam, by ktoś mnie mocno przytulił, ale nie życzyłam sobie żadnych ofiar.

Usprawiedliwienie dla moich poszukiwań Jimmy'ego Morana miało charakter niemal terytorialny. Były czymś, co należy do mnie, mówiłam sobie. Jak pracownia na strychu. Jak dzieci. Jak malarstwo. Były inspiracją tego malowania. Wędrowką tropem kropki nad i. Zbieraniem w przeszłości pogubionych fragmentów, aby dopełnić obrazu życia, które zamieniło się w rozsypane puzzle. Nazywałam je rozmaicie. Jednocześnie częścią duszy odczuwałam lęk, że być może otwieram puszkę Pandory. Jimmy powinien teraz mieć czterdzieści osiem lat. Albo marzę o kimś, kto już po prostu nie żyje, bo zginął w wypadku samochodowym, umarł na zawał serca albo z przedawkowania. Mógł być jednym z tych poległych, którzy wrócili do kraju w trumnach przykrytych flagą, i tylko nikt mnie o tym nie powiadomił. Mógł być kryminalistą, narkomanem, bezdomnym. A może kiedy go odnajdę, powie jedynie: „Jaka Emily?“, bo pamięć o naszych czterech wspólnych miesiącach rozwiąła się przez lata. Może te miesiące nie były dla niego aż tak ważne. Byłabym wtedy zdruzgotana. Niewykluczone, że przekroczyłam ową cieniutką granicę pomiędzy tym, co człowiek pamięta, a tym, o czym marzy. Przecież sama kiedyś wierzyłam, że Cieśnina to prawdziwy ocean.

Tak więc gdy wszystkie te myśli fermentowały w mej głowie, a najgłębsze noce przywoływały potwory, które dopiero świt zaganiał na powrót do ich jam, postanowiłam, że w jakiś sposób odnajdę tego chłopca. Napominając się przy tym, że jest już mężczyzną. Dzięki temu wróciło do mnie coś, co składało się kiedyś na dawną Emily, Emily pełną odwagi i optymizmu. Emily, która zawsze była zdecydowana i przeważnie dzięki zwykłej determinacji umiała postawić na swoim.

Położyłam dłonie na uszach, w których miałam kolczyki — moje talizmany. Zaczęło padać. W okno zastukały krople deszczu, ugięły się smagnięte wiatrem gałęzie drzew. Dzwon-

ki wietrzne roztańczyły się tak mocno, że zastanawiałam się, czy nie zostaną przez wichurę zerwane i uniesione gdzieś w mrok. Zasnęłam ponownie i śniłam o mewach, które pikowały nad moją głową, kiedy stałam na plaży przed płótnem z widniejącym pośrodku czarnym kleksem.

Kiedy obudziłam się jeszcze raz i poszłam do swojej pracowni, była trzecia nad ranem. Wygrzebałam knot z roztopionego wosku, zapaliłam niebieską świecę i zerknęłam na obraz, który namalowałam wczorajszego przedpołudnia. Upiłam łyk wina z na pół opróżnionego kieliszka, podciągnęłam firanę, a potem ze szkicownikiem i tabliczką do pisania usiadłam na parapecie. Miałam nadzieję, że usłyszę takie mocne i wściekłe łomotanie deszczu, w jakie wsłuchiwałyśmy się z Jennie tamtego lata, ale szumiał tylko wiatr. Uczucia, które kołatały się w moim sercu przez cały dzień, przepełniły mnie do tego stopnia, jakby lada chwila miały eksplodować. Człowiek dociera czasem do takiego punktu w życiu, kiedy nie ma już nic do stracenia i jeśli nawet w końcu przegra, to przynajmniej pociesza go fakt, że spróbował. Podobnie myślałam trzydzieści lat temu, kiedy w swoim przekonaniu stawiałam czoło całemu światu. Młodość, w przeciwieństwie do wieku średniego, charakteryzuje się odwagą, chociaż moim ostatnim dniom z Jimmym towarzyszyło coś na kształt przerażenia i utraty poczucia, że jestem nieśmiertelna. Dziwne, ale pamiętam, że kiedy trzydzieści lat temu rozstałam się z Jimmym na dworcu, byłam duchowo kimś bardzo, bardzo starym. Tyle że kiedy człowiek ma szesnaście lat, łatwo mu się otrząsnąć z takiego uczucia.

Cały dzień przed tą bezsennością spędziłam na surfowaniu po Internecie, przekazując wiadomości najrozmaitszym Jamesom Robertom Moranom z miast, w których wedle moich przypuszczeń mógłby mieszkać Jimmy. Szesnaście lat temu, kiedy z Jackiem w wózku szłam nowojorską ulicą, natknęłam się przypadkiem na kumpla Jimmy'ego, Chrisa. Chris wykręcił się na pięcie, gdyśmy go minęli, i zawołał: „Czy nie nazywa się pani Emily Hudson?”. Rozpoznałam go, gdy się przedstawił, chociaż nosił teraz

garnitur w prążki, miał wąsy i znacznie mniej włosów na głowie. Pracował, jak oznajmił, u Shearsona, był handlowcem. Powiedziałam mu, że mieszkamy z Peterem na Manhattanie, a ściśle biorąc, na Upper West Side, ale zamierzamy się niebawem przeprowadzić do Connecticut. Potem zapytałam, czy miał wieści od Jimmy'ego Morana. W pierwszej chwili Chris się roześmiał, może do własnych wspomnień.

Jimmy Moran, powtórzył dwukrotnie. Ciekawe, co tam u niego.

Kiedy ostatnio o nim słyszał, Jimmy mieszkał gdzieś na południu. Ale to było pięć lat temu, podkreślił Chris. Któż wie, jak sytuacja wygląda teraz?

Rozmyślałam o tym spotkaniu, przeszukując Internet. Może, zaabsorbowana bez reszty nowo narodzonym dzieckiem, nie zapamiętałam rozmowy dokładnie. Może mi się po prostu przyśniła.

Usłyszałam, że ktoś idzie po schodach do mojej pracowni. To był Peter.

— Emily? Dlaczego jeszcze nie śpisz? Co ty wyprawiasz?

Wszedł do pokoju, zawiązując pasek swojego jasnobrązowego szlafroka frotte.

— Piszę i rysuję, Peter. Nic mi nie jest — odparłam.

— W blasku świecy wyglądasz tak ładnie — powiedział Peter. Powiódł dłońmi po moich ramionach, zatrzymując się na wysokości ud.

Były czasy, bardzo odległe czasy, kiedy zareagowałabym na ten gest. Odwróciła się, pocałowała Petera, po czym zamknęlibyśmy na klucz drzwi pracowni, rozłożyli matę na środku podłogi i ztratili się na wiele godzin. Teraz każde z nas zabierało do łóżka zbyt wielki bagaż, przynajmniej ja. Przez zbyt wiele lat czułam się samotna, lat, gdy rozmowy i uprawianie miłości były przerywane przez telefony od kogoś z firmy Petera, kogoś, kto uważał, że mój mąż ma obowiązek pracować dniem i nocą. Zbyt wiele było wieczorów, gdy Peter ignorował aromat moich perfum albo nową fryzurę. Gdy nie zwracał uwagi na nową koszulę nocną. Chyba nie potrafiłam zapomnieć o wszystkich tych sytuacjach. Ilekroć w tamtych czasach mówiłam mu, że za nim

tęsknie, replikował oznajmieniem, że pracuje na nas. Czego ode mnie chcesz? pytał gniewnie. Znajdź kogoś, kto spłaci nasz kredyt hipoteczny, a będziesz mnie mieć w domu znacznie częściej. Wiedziałam, że toczą nas jak rak spłaty kredytu i poszukiwanie odpisów podatkowych, ale to Peter padł ofiarą konsumpcjonizmu, to on staje na głowie, żeby mieć większy dom i lepszy samochód. Może to jeden z powodów, dla których nie rozstaję się z moim starym volvem... Jest w Peterze nerwowość, której nie było, gdyśmy się poznali, ale jest podobna nerwowość również we mnie. Trudno mi powiedzieć, w kim obudziła się najpierw czy też które z nas bywa bardziej kaśliwe.

Przed ślubem Peter wślizgiwał się w swoje dżinsy z taką naturalnością, z jaką człowiek wygodnie sadowi się na kanapie. Otwierał butelkę szampana, przynosił z kuchni dwa kieliszki, a potem sadzał mnie na sofie obok fortepianu, który zajmował niemal cały pokój w naszym pierwszym mieszkaniu. Odrzucał głowę gestem Raya Charlesa i nucił mi piosenki w taki sposób, w jaki robią to śpiewacy z nocnych klubów. Rozśmieszał mnie, układając własne słowa do, na przykład, *It's AU Right with Me* Cole'a Portera. Potrafiliśmy przy butelce wina przegadać całą noc, aż do chwili gdy pod oknami naszej sypialni zaczynała hałasować śmieciarka, ale nie przejmowaliśmy się zupełnie, że koło południa będziemy w pracy padać na twarz. Tak z ręką na sercu nie potrafię powiedzieć, kiedy to się stało, pewnego dnia jednak cisza pomiędzy nami stała się tak donośna, że aż ogłuszająca, a czas spędzany oddzielnie sprawiał, iż czas spędzany wspólnie był kłopotliwy i nieznośny. Wyjawszy dom, dzieci i rachunki, na których widniały nazwiska nas obojga, staliśmy się z Peterem współlokatorami w najlepszym razie, dwojgiem ludzi zaś zupełnie sobie obcych — w najgorszym.

I dlaczego tak się działo, że ilekroć nie miałam nastroju, by ktokolwiek mnie dotykał, ilekroć chciałam być sama, w Peterze budziła się poządliwość?

— Nie teraz, Peter — powiedziałam. — Muszę pomyśleć. Jeszcze nie skończyłam tego obrazu. Nie teraz.

— Kim jest ten chłopiec na obrazie? — zapytał.

— Kimś, kogo kiedyś znałam.

I wtedy, jak zwykle w ostatnich czasach, postanowił wyjść. Nie zadawał więcej pytań dotyczących chłopca — ani kiedy go namalowałam, ani gdzie, ani dlaczego. W gruncie rzeczy nie chciał wiedzieć, dlaczego nie śpię o trzeciej nad ranem. Wykręcił się na pięcie, wyszedł, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie i zatrzymał się w drzwiach pracowni, wsparty dłonią o futrynę.

— Uważasz mnie za filistra, prawda? — zapytał, wysuwając zaczepnie podbródek. — Za faceta w szarej faneli, który czytuje „Barron's”?

Kiedy zaczęłam protestować, zły i posępny zniknął za drzwiami. Czułam, że zachowałam się lodowato i mściwie. Gdyby jednak pozostał kilka chwil dłużej... Może gdyby zadał jeszcze parę pytań... Gdyby dociekał, dlaczego nie śpię, dlaczego maluję nieznanomych i czy naprawdę są to nieznanomi... Gdyby usiłował mnie trochę ugłaskać... zanucić kawałek piosenki Cole'a Portera...

Z drugiej strony jednak niczego nie musiałyby to zmienić. Może już było za późno.

Odczekałam w pracowni jeszcze jakiś czas, a potem, kiedy doszłam do wniosku, że Peter zasnął, otuliłam się wełnianym pledem i wślizgnęłam do łóżka.

Obudziłam się już o wpół do szóstej. Wstałam i krocząc teatralnie na palcach, żeby nie zaskrzypiały deski podłogi, wyszłam z sypialni. Słońce wciąż jeszcze czaiło się za drzewami rosnącymi przed bocznym oknem kuchni. Jestem ogromnie rada, że ze swojej kuchni mogę oglądać zarówno wschody, jak i zachody słońca. Zaparzyłam kawę w metalowej maszynie, a potem wlałam ją do swojego ulubionego kubka: zdobią go pastelowe tulipany i ma uszko tak grube, że nie obawiam się, iż wypadnie mi z ręki. Bo moje dłonie są obrzmiałe, pokancerowane i żylaste, trwale poplamione farbą olejną i wysuszone przez detergenty i terpentynę. Przy każdej okazji zaciskam je w pięści, zamykając pozostałe palce wokół kciuków. W czasach kiedy jeszcze nieraz ujmował je w swoje, Peter nazywał moje dłonie „spracowanymi”.

Spoj'rzałam na rosnący za oknem krzew magnolii, której małe pączki, przywodzące mi na myśl pączki wiśni, były gotowe rozkwitać. Siedziałam przy kuchennym stole i obserwowałam wschód słońca.

Pamiętam, jak kilka lat temu, właśnie na wiosnę, w porze kwitnienia wiśni, pojechałam z Peterem i dziećmi do Waszyngtonu. Zakończyliśmy dzień przy pomniku Poległych w Wietnamie. Wzdłuż muru w uroczystym korowodzie przesuwały się tłumy. Ludzie zatrzymywali się, przyciskali do muru cienkie kartki, odrysowywali nazwiska poległych, a potem kładli pod nimi wieńce i pojedyncze kwiaty. Niektórzy płakali. Inni, wciąż niepokieszeni mimo upływu tylu lat, padali sobie w ramiona. Z Julie w wózku stałam na uboczu, podczas gdy Peter i chłopcy przemierzali całą długość pomnika. Miałam przyprawiające o mdłości uczucie, że jeśli ujrzę wyryte w kamieniu nazwisko Jimmy'ego, albo zemdleję, albo będę musiała udawać nieporuszoną; wiedziałam, że nie mogę sobie pozwolić na żadne z tych zachowań. A więc nie patrzyłam, Nie byłam gotowa poznać prawdy. Nie chciałam jej poznać.

Do kuchni wszedł Peter i ujął moją zaciśniętą dłoń.

— Masz takie spracowane ręce, Emily — powiedział.
— Ręce prawdziwej wieśniaczki.

Pocałował mnie w tył głowy i wyszedł. Dlaczego zrobił to właśnie teraz? — zadałam sobie pytanie. A ponieważ mnie zaskoczył i może również dlatego, iż za sprawą swych myśli doznałam lekkiego ukłucia wyrzutów sumienia, nie odwróciłam głowy od okna.

Peter jest prostym człowiekiem. Uczciwym, szczerym i praktycznym. Ze mną rzecz się nieco komplikuje. Peter utrzymuje, że jestem buntownicza, chociaż ja tego nie dostrzegam. Ktoś kiedyś stwierdził, że mam po prostu rozgorączkowane serce, którego nie sposób uspokoić. Marzę o kimś, kto uspokoi moje serce, ale usiłowania Petera w tej mierze są z jakiegoś powodu daremne.

Na ulicę wjechał autobus szkolny, dzieci odskoczyły od lady kuchennej, otoczyły mnie wszystkie naraz, zaczęły całować w policzki. Cześć, mamó. Nie zapomnij odnieść

książek do biblioteki. Jack podjął ostatnią próbę wycyganienia ode mnie samochodu. Do zobaczenia. Autobus wydaje taki charakterystyczny odgłos, kiedy hamuje przed naszym podjazdem. Czasem się zastanawiam, co będę czuć słysząc hamujący autobus, jeśli będziemy z Peterem nadal mieszkać w tym domu, kiedy dzieci wyfruną już w świat. Wyobrażam sobie, jak stoję na ganku tego pierwszego września, gdy Julie wyjedzie do college'u. Wyobrażam sobie, jak do sąsiedniego domu wprowadza się młode małżeństwo. Wyobrażam sobie młodą matkę, która stojąc na trawniku w kurtce narzuconej na piżamę macha na pożegnanie do małej dziewczynki ze zbyt dla niej wielkim tornistrem na plecach. I niepokoję się smutkiem, jaki ogarnie mnie na ten widok. Ponieważ Peter wyjedzie wcześniej do pracy, będę musiała samotnie stawić mu czoło. A może zaproszę na kawę młodą sąsiadkę, ona zaś ze współczuciem będzie wysłuchiwać moich wspomnień.

Dom ucichł, kiedy dzieci wyjechały do szkoły. Usiadłam przed komputerem, otworzyłam wyszukiwarkę *Yahoo*, a następnie witrynę reklamującą się, że pomaga odnajdować utraconych kochanków. Wystukałam nazwisko: James Robert Moran. Tylko na wschodnim wybrzeżu Jamesów Robertów Moranów były setki; kolejne — na zachodnim i w centralnej części kraju. Sprawa wyglądała beznadziejnie. Zignorowałam tych z Florydy, uznając z jakiegoś powodu, że Jimmy w żadnym razie nie zamieszka w tym rajach emerytów. Skoncentrowałam się na południu, pamiętając uwagę Chrisa, że chyba obito mu się o uszy, iż Jimmy wylądował gdzieś w Alabamie, Tennessee czy może Kentucky. Z drugiej jednak strony Chris wcale nie był pewien, czy Jimmy w ogóle wrócił, a ja nie byłam pewna, czy dokładnie zapamiętałam słowa Chrisa. To wszystko wydarzyło się tak dawno temu. Zaczęłam od Alabamy, bo alfabet zaczyna się od A.

Uważnie wybierałam numery telefoniczne.

— Nazywam się Emily Hudson—mówiłam. — Szukam Jamesa Roberta Morana, który piątego lipca 1967 wyjechał na Parris Island. Jeśli jesteś właściwą osobą, zadzwoń pod... — i podawałam prywatny numer swojej pracowni. Przez kilka kolejnych dni czasem rozmawiałam z ludźmi, a czasem

mówiłam do maszyn, moje przedsięwzięcie zaś wydawało się coraz bardziej bezcelowe. Wariatka, może Jack miał słuszność. Wariatka, która usiłuje wskrzesić dawny romans. Zastanawiałam się, co poczuje, jeśli nie zdołam odnaleźć Jimmy'ego. Czy będzie to oznaczać, że nie wrócił? I chociaż wzdrygałam się na tę myśl, pojmowałam, iż będzie mi łatwiej, jeśli go nie znajdę, aniżeli wówczas gdy go znajdę, a on nie będzie mnie pamiętał.

Tego popołudnia i przez kilka następnych dni doczekałam się paru odpowiedzi. Dzwonili mężczyźni o głosach zbyt starych jak na czterdziestokilkulatków albo zbyt młodych. Dwie kobiety poinformowały mnie, że James Moran nie żyje. Jestem wdową po nim, mówiła każda z nich. Z kim mam przyjemność? Z dawną znajomą, odpowiadałam, a następnie pytałam, w jakim wieku byłby obecnie ich James Moran. A potem usiłowałam ukryć westchnienie ulgi, kiedy słyszałam, że jeden miałby teraz sześćdziesiąt lat, drugi zaś — osiemdziesiąt; dwa. Przepraszam, mówiłam. To nie ten James Moran. Nieomal dałam za wygraną, zaczęłam się czuć kretyńsko na tej krucjacie. Bo tylko kretyń może sądzić, że da się kogoś odnaleźć po trzydziestu latach. No i co miałyby powiedzieć, gdyby jednak odnalazł? Jak leci?

To stało się tydzień później. Poświęciłam ten dzień na prace domowe, ponieważ uznałam, że skoro pada deszcz, nie ma sensu jechać na plażę. Jeden po drugim doprowadziłam do ładu pokoje dzieci. Poukładałam kompaktki w kasetkach, zebrałam w stosy książki i magazyny, przyzwolicie pościeliłam łóżka, które przed wyjściem wygładziły na odczepnego, pozbierałam poniewierające się na podłogach brudne ciuchy. Potem podzieliłam je na jasne i ciemne, załadowałam pralkę, wyrzucając przedtem dziurawe skarpetki. Koszule Petera (który lubi, gdy oddaję je do francuskiej pralni) spakowałam do plastikowej reklamówki. Potem spisałam listę zakupów z wiszącej tabliczki i pojechałam do supermarketu, zastanawiając się, kiedy nadejdzie dzień, w którym nie będę musiała kupować półhurtowych ilości środków czystości i jedzenia, kiedy Julie przestanie gryźć lepkie dropsy, a Charlie — pić piwo imbirowe do śniadania. Wystarczyło

jednak, bym pomyślała o hamującym autobusie, pocałunkach w policzki i gonitwie do drzwi, a wrzuciłam do wózka dodatkowe pudełko dropsów.

Stałam już przy drzwiach domu, gdy usłyszałam telefon przez otwarte okno pracowni, ale nie miałam szans go odebrać, bo daremnie usiłowałam wetknąć klucz do zamka, a poza tym podtrzymywałam kolaniem pękającą torbę z zakupami. Kiedy wreszcie odłożyłam je w kuchni i poszłam na górę, w aparacie migało światółko automatycznej sekretarki. Wcisnęłam guziczek, zrobiłam kilka kroków, żeby zamknąć otwartą bańkę terpentyny, lecz zaraz stanęłam jak wryta.

— Emily Hudson, mówi James Moran. Tak, jestem tym młodym człowiekiem, który piątego lipca 1967 rozpoczął służbę w piechocie morskiej, i tak, pamiętam cię bardzo dobrze.

6

Emily oddzwoniła nazajutrz rano, kiedy tylko wróciłem po odwiezieniu Clancy do szkoły. W normalnych okolicznościach byłbym wtedy u Longa, ale Mikę zadzwonił o świcie i poprosił, żebym przyszedł na drugą zmianę. Kiedy odezwał się telefon, byłem pewien, że to Emily.

— Jimmy? — zapytała. — Czy to naprawdę ty? Pamiętasz mnie?

O tak, pamiętałem i z każdym wypowiedzianym przez nią słowem wracało do mnie coraz więcej wspomnień. Ale mimo zapewnień, że to naprawdę ja, uwierzyła mi dopiero wtedy, kiedy podałem kilka szczegółów: drugie imię mojego ojca, imię siostry, nasz adres w Greenwich Village, nazwę szkoły, do której chodziłem. A potem opowiedziałem, jak leżeliśmy pod stołem do ping-ponga, ja zaś odbijałem piłeczkę, aby jej matka nie wyniuchała, że się całujemy. Dopiero wtedy Emily mi uwierzyła. Opowiadając jej o stole do ping-ponga, wyobraziłem sobie całą scenę tak wyraziście, że doznałem niemal wyrzutów sumienia, iż rozmawiam o podobnych sprawach z kimś innym niż Mary. Z drugiej jednak strony jakie to miało znaczenie, skoro o podobnych sprawach nie rozmawialiśmy z Mary od lat? Skoro oglądając filmy, w których ludzie się kochają, siedzimy obok siebie sztywno jak kołki? Kiedy więc opowiadałem Emily o tym, jak całowaliśmy się pod stołem do ping-ponga... cóż, może to tylko moja wyobraźnia, ale usłysza-

łem, jak cicho wciąga w płuca powietrze, a potem głęboko wzdycha.

— Tak, ty pamiętasz. Chyba naprawdę pamiętasz — powiedziała, a po dłuższej chwili milczenia i jeszcze jednym westchnieniu dodała: — Ja też pamiętam.

I zaczęła mówić, bez przerwy, bez tchu, przywołując mi na myśl naszą szesnastoletnią sąsiadkę Molly, która czasem opiekuje się Clancy, niekiedy jednak wpada wieczorami na pogawędkę, a właściwie niekończące się monologi: o tym i owym, i jak nauczycielka wysłała ją do dyrektora, i jak za zbyt późny powrót przedwczoraj do domu mama zabroniła jej korzystać z telefonu. Chwilami Molly mówi tak szybko i tak dużo, że człowiek ma wrażenie, iż brak jej czasu na oddychanie. Otóż tak właśnie mówiła Emily — jak młoda podekscytowana dziewczyna.

Opowiedziała mi o lecie w Old Greenwich, kiedy wyjechałem już do obozu szkoleniowego. O tym, jak budziła się każdego ranka i wyczekiwała niecierpliwie przyjazdu karetki pocztowej. Jak po kamiennej ścieżce szły z Jennie do skrzynki pocztowej, czekały na listonosza, a potem wielokrotnie odczytywały moje listy. Jennie. Szczerze mówiąc, nie pamiętałem jej nazwiska. Ledwie potrafiłem sobie przypomnieć, jak wyglądała. Emily oświadczyła, że straciła wszystkie moje listy, ale też wszystkie zna praktycznie na pamięć, w szczególności ten, który napisałem z poligonu. Nagle przypomniałem sobie, jak siedząc przed namiotem pisałem ten list przy blasku księżyca, bo nie chciałem, by Emily zaniepokoiła się jednodniową przerwą w korespondencji.

— Gryzmoliłeś jak kura pazurem — stwierdziła ze śmiechem.

— Nadal gryzmołę — odparłem.

Gdy zagadnąłem, o czym pisałem w tych listach, spytała, dlaczego chcę to wiedzieć.

— Pisałem, że cię kocham, prawda? — zapytałem i chyba poczuła się zakłopotana.

Potem przyznała, że wyrzuciła moje listy i że postępuje tak z wieloma rzeczami mającymi związek z czymś, co się kończy.

— Bałam się powiedzieć ci, że je wyrzuciłam — dodała.
— Teraz żałuję, że ich nie zachowałam. Wciąż jednak mam twój pierścionek.

Pamiętam ten pierścionek. Siedzieliśmy wysoko na skałach plaży, kiedy go dałem Emily. W dali widzieliśmy latarnię morską. Księżyc nad wodą miał kształt sierpa.

Weź, powiedziałem i położyłem jej pierścionek na dłoni.

Wsunęła go na palec, przekreślił się oczkiem do dołu.

Muszę podkleić go od spodu kawałkiem plastra, stwierdziła. Nie chcę, żeby się zgubił.

Wymieniła nazwę kapeli, w której występowałem. Sidhartha. Chryste, jakim cudem to zapamiętała?

— Byłeś głównym wokalistą — wyjaśniła.

— Jedynym — odparłem ze śmiechem.

Zwykłem wysoko unosić mikrofon jedną ręką, a kabel przytrzymywać drugą. Miałem się za Micka Jaggera. Grywalismy na potańcówkach, a raz nawet na przyjęciu u syna kongresmana, który chodził do mojej szkoły; pamiętam, że Emily stała w pierwszym rzędzie i patrzyła na mnie rozanielonym wzrokiem.

— Śpiewałeś *Under My Thumb* — rzekła. — Zawsze wierzyłam, że śpiewasz dla mnie. I *My Girl*.

Stwierdziłem na to, że *Under My Thumb* to nader szowinistyczna piosenka, jeśli się nad tym zastanowić, Emily jednak odparła, że wtedy nigdy nie myślała o niej w takich kategoriach.

— *Dziewczyna jak syjamski kof!* — powiedziałem, a Emily wybuchła śmiechem.

Po moich pierwszych słowach Emily dostrzegła u mnie ślad południowego akcentu, ale chwilę później uznała, że wracam do swojej dawnej nowojorskiej wymowy. Ja sam słyszałem swój głos jak coś, co dochodzi do mnie z przeszłości. Emily nazywała mnie Jimmym. Mary jest jedyną osobą, która tak się do mnie zwraca, w jej ustach jednak to imię brzmi jakoś inaczej. Wiem, że w tej chwili nie jestem wobec Mary fair, bo były czasy, kiedy uwielbiałem, jak wymawiała moje imię ze swoim południowym akcentem.

Emily znała dokładną datę mego wyjazdu do obozu (nie była wprawdzie pewna, którego dnia to nastąpiło, przypuszczała jednak, że gdzieś w środku tygodnia), pamiętała mój adres w Greenwich Village (myląc tylko numer budynku), no i... cóż, po prostu mnie pamiętała. Nie sądziłem, by ktokolwiek, niechby i Emily, mógł mnie zapamiętać. W krótkiej migawce przebiegły mi przez głowę te wszystkie rozmowy telefoniczne po moim powrocie z Wietnamu: „Kto? Jaki Jim? Przepraszam, nazwisko brzmi znajomo, ale w gruncie rzeczy nie przypominam sobie pana”.

Ileż innych myśli przewinęło się przez mą głowę podczas tej rozmowy z Emily. Zacząłem się niepokoić, że być może Emily jest w depresji i wydzwania do starych znajomych, szukając czegoś, co w psychologii nazywa się zamknięciem. Wiele przyczyn wpływa na ludzkie postępowanie, myślałem więc ze smutkiem, że może coś u niej nie gra. Gdy ją jednak zapytałem wprost (Ale chyba nie jesteś w depresji, Emily, co? Nie usiłujesz uporządkować swoich spraw, prawda?), roześmiała się i odparła, że wprawdzie domyśla się powodów mojego niepokoju, lecz nie, wcale nie jest w depresji. Zawstydziłem się swej dociekliwości. Ton jej głosu przekonał mnie, że moje obawy były bezpodstawne.

— Ale nigdy nie doszło do żadnego zamknięcia, Jimmy — powiedziała.

Miałem nadzieję, że nie chce go teraz. Zamknięcie jest zbyt ostateczne.

Opowiedziałem Emily o Mary i Clancy, o śmierci mojego ojca. O tym, jak chcąc rozrzucić jego prochy w miejscu, które by mu się spodobało, pojechałem do Harbor i jak ubolewałem, że nie ma już tam Tubby'ego ani Melodramatu. O tym, jakie miałem poczucie szczęścia i intymności, kiedy rozsypywałem prochy nad morzem.

— Po raz pierwszy czułem, że jestem z ojcem naprawdę blisko — wyznałem. — Chociaż był w tym momencie ledwie pyłem przesypany, siedząc między moimi palcami.

Słowa wypływały z moich ust bez żadnych zahamowań. Jak wtedy na plaży, gdy czułem, że Emily jest jedyną istotą

. na świecie, która mnie zna i której ta wiedza na mój temat nie przeszkadza.

Nie miałem ochoty odkładać słuchawki nawet wtedy, gdy zapytała, co robię i gdzie pracuję. Bo po prostu pytała. Ledwie zdążyłem udzielić jednej odpowiedzi, zadawała następne pytanie. Chyba nigdy na nikim nie wywarłem szczególnego wrażenia, tak więc fakt, iż Emily Hudson mnie zapamiętała i stanęła na głowie, żeby odnaleźć, podniósł mnie na duchu bardziej niż cokolwiek od tamtej chwili, gdy umieszczono Clancy w mych ramionach. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna nie czułem się jak jeszcze jeden weteran z Wietnamu, który ma spieprzone życie. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna. Pewnie od czasów gdyśmy siadywali we dwoje na plaży w Connecticut, nie czułem się jak śmieć. Bo często — pomijając Clancy — miałem wrażenie, że zmarnowałem życie. Rozmowa z Emily sprawiała, że pragnąłem cofnąć się w czasie i zacząć wszystko od nowa. Cofnąć się do dni, gdy siadywała obok mnie, z głową wspartą na mym ramieniu, i patrzyliśmy na horyzont. Ale nie opowiadałem jej o Wietnamie, ograniczając się do stwierdzenia, że tak, byłem tam. Nikomu nie opowiadałem o Wietnamie, nazbyt przerażony tym, co sam mógłbym sobie przypomnieć.

Podczas tej pierwszej rozmowy opowiedziałem Emily o rzeczach, w jakie nie wtajemniczyłem nawet psychoterapeutów, z którymi przez wszystkie te lata — chociaż nie ostatnio — konsultowałem się, skłoniony przez Mary. Bo Mary powtarzała, że sprawiam wrażenie człowieka w depresji, no i czy to normalne, że facet mantyczy przez pół nocy. Opowiedziałem Emily o wszystkich kobietach, które poznałem i z którymi bałem się związać po naszym rozstaniu. O tym, jak po powrocie z Wietnamu kupowałem na rogach Manhattanu działki trawy, szedłem do mieszkania rodziców, kładłem się na łóżku w swoim pokoju i paliłem, żeby obronić się przed samotnością. Opowiedziałem o tych wszystkich rozmowach ze szkolnymi kumplami, którzy albo mnie zapomnieli, albo udawali, że nie znają. Po raz pierwszy przyznałem przed kimkolwiek, włącznie z samym sobą, jak bardzo to było bolesne.

— Dlaczego nie zadzwoniłeś do mnie po powrocie z Wietnamu? — zapytała Emily w sposób tak naturalny, jakby podobne postępowanie było stuprocentowo logiczne. Ale oboje wiedzieliśmy dlaczego, chociaż czuliśmy, że nie jesteśmy gotowi, by o tym rozmawiać. Jeszcze nie. Celowo unikaliśmy wspomnienia tego październikowego dnia po obozie szkoleniowym.

— Sytuacja po obozie nie rozwinęła się zbyt dobrze — przypomniałem ostrożnie.

Prawdopodobnie odgradziłem się wtedy od Emily murem, po prostu nie byłem w stanie do niej zadzwonić. Bo gdyby udało, że mnie nie zna, gdyby nie chciała pamiętać, byłbym skończony, samotny jeszcze bardziej niż dotąd. Pragnąłem jej powiedzieć, że tego październikowego wieczoru moja dłoń milion razy wyciągała się w stronę telefonu, ale bałem się, że zostanę odepchnięty. Byłem bezbronny jak dziecko. Wspomnienia tego październikowego dnia znów przywiódły mi na myśl chwile, gdy nie poznawali mnie starzy kumple. Oddaliły od Clancy i jeszcze bardziej od Mary, każąc mi się zastanawiać, czy one dwie nie przejrzały mnie na wylot.

Potem okłamałem Emily. Opowiedziałem jej o Mike'u Longu i sklepie z winami, ale nie całą prawdę. Słowem nie wspominałem, że sklep Longa to właściwie dział w czymś na kształt starego targowiska rolnego, tanich sukienic, gdzie pod jednym dachem sprzedaje się opony, pieczone kurczaki i żywe homary. Przemilczałem to, że w pracy muszę nosić czerwoną koszulkę z wielkim białym napisem LONG z przodu i z tyłu, a ponadto plastikowy identyfikator, na którym się przedstawiam — „Cześć, jestem Jim” — i życzę „miłego dnia”. Nie wyjawiałem też Emily, że głównie zdejmuję z ciężarówek drewniane skrzynki z winem i rozrywam kartony, przez co moje dłonie są wyschnięte i spękane, że potem ustawiam część butelek na półkach w magazynie, część zaś znoszę do hali targowej ani że pod koniec dnia tak mnie na ogół bołą plecy, iż prostuję się z najwyższym trudem. Zresztą od Wietnamu i tak łykam aspirynę jak cukierki. Doszedłem do wniosku, że Emily wyobraża sobie, iż pracuję

w czymś, co przypomina sklep Sherry'ego-Lehmana przy Madison Avenue.

Kilka razy byłem w nim z ojcem. Subiekci nosili białe koszule i krawaty, butelki leżały na kutyh stelażach, ceny były wypisane złotym atramentem. Subiekci mówili: „W czym moglibyśmy pomóc, panie Moran? Ach, to jeden z naszych najwyborniejszych burgundów”.

U Longa ceny gryzmoli się czarnym pisakiem, a większość klientów kupuje butelki z nakrętkami. Próbuje wprawdzie skłonić Mike'a, żeby podniósł klasę swojej firmy, i wiem, że Asti Spumante to nie jest prawdziwy szampan, ale i mnie, i pozostałych pracowników Mike uważa po prostu za gromadę buraków.

Pragnąłem, by Clancy myślała, że jej tata jest naprawdę kimś, nie zaś facetem, który nosi w pracy czerwony trykot i identyfikator. Dlatego wychodząc rano do pracy, zawsze nakładam elegancką białą koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami, a czerwony T-shirt z nazwą sklepu trzymam w bagażniku. Toteż Clancy uważa, że jestem właścicielem tego sklepu. Mary zna całą prawdę, ale też Mary oczekuje ode mnie tylko czeków z wypłatą.

Jakąś częśćką duszy chciałem i Emily, i wszystko, co się z nią wiąże, pozostawić w sferze wspomnień. Czasem uciekam od ludzi, zanim zdążą mnie poznać. Emily jednak sprawiała, że czułem się wspaniale — jak w dniach kiedy chłopaki nazywali ją dziewczyną Jimmy'ego. Kiedy będąc z nią, czułem się tak, jakbym przebywał w jakimś tajemniczym miejscu, gdzie mogłem być sobą i gdzie mogłem być kochany za to, kim naprawdę jestem i kim nie jestem. Dzisiejsza rozmowa była czymś dobrze znanym i niosącym ukojenie. Wszystko do mnie wracało. Dotąd potrafiłem tylko wywołać z pamięci ten dzień, gdy rozstawiliśmy się na dworcu, teraz przypominałem sobie całe poprzedzające go cztery miesiące. Nagle poczułem się jak małolat kroczący ze swą dziewczyną ulicami Manhattanu. Na całym świecie nie było nikogo prócz nas.

Tonem przypomnienia powiedziała, jak mocno mnie wtedy kochała. Jak gdybym zapomniał. Potem chyba ogarnęło ją zakłopotanie.

— Pewnie tego lata, na obozie szkoleniowym, nieźle balowałeś podczas weekendów, prawda? Zaliczałeś mnóstwo dziewczyn — zapytała w kumpłowski sposób.

— Na obozie szkoleniowym nie było żadnych szaleństw, Emmie — odparłem, trochę stropiony zuchwałością, która pozwoliła mi nazwać ją „Emmie”. — To był Korpus Piechoty Morskiej, a piechota morska różni się od reszty armii. Tam nie ma żadnego luzu, tam nic nie jest łatwe.

Przez moment odczuwałem dumę.

— Pewnie sporo mógłbyś mi opowiedzieć — stwierdziła.

— Ale tylko wtedy, Emily — odparłem, kładąc akcent na jej imię — kiedy będę miał cię przed oczyma.

Na przykład, pomyślałem, o tym październikowym dniu.

Chciałem opowiedzieć jej wszystko, nie miałem jeszcze ochoty odrywać się od telefonu, przy którym oboje tkwiliśmy już kilka godzin. Wspomniałem nawet, że gdy nasze drogi się rozeszły, zacząłem pisywać listy do swojej babki. Nigdy nikomu o tym nie mówiłem. Chłopcy w Wietnamie sądzili, że piszę do dziewczyny, tej laseczki w żółtym bikini, której zdjęcie wisiało na ścianie. Ale nie powiedziałem Emily, że wciąż mam to zdjęcie. I nie powiedziałem o wystawce laseczek.

Zabawne, zadała mi setki pytań, opowiedziałem jej o Mary i Clancy, ale nie zainteresowałem się, czy jest mężatką, w pewnym momencie jednak — i takim tonem, jakby właśnie odpowiadała na pytanie — oznajmiła, że ma męża o imieniu Peter i czworo dzieci. Czworo. Emily Hudson miała czwórkę dzieciaków i męża.

— Zawsze marzyłem, żeby zostać ojcem — stwierdziłem na to — i strasznie się zamartwiałem, że Mary nie zachodzi w ciążę. Ale wiesz, chyba żadna kobieta nie zaszła ze mną w ciążę. Teraz jednak zostałem ojcem, w taki sam sposób jak mój staruszek, kiedy mnie adoptował. Tylko lepszym niż on.

Brzmiało to wszystko tak, jakbym się bronił.

A gdy Emily dodała, że jej dzieci przychodziły na świat praktycznie rok po roku, zauważyłem:

— Chyba zachodzisz w ciążę nawet wtedy, kiedy facet cię obślini.

I natychmiast ugryzłem się w język, bo to było chamskie i zbyt osobiste, chociaż w głębi duszy zastanawiałem się tylko, jak bym się czuł, będąc z Emily i mając czwórkę pociech: to by na pewno były śliczne dzieciaki, a ja płakałbym ze szczęścia po narodzinach każdego z nich.

To nie Mary miała problemy z płodnością, tylko ja. Najprawdopodobniej czynnik pomarańczowy, uznali lekarze. Albo jakaś inna toksyna. Nie mieli pewności. Przypuszczalnie ten sam środek chemiczny, który pozbawił mnie owłosienianapiersi i odpowiadała ogniste wykwity na mych ramionach. Ale Mary nie odwróciła się ode mnie, poddała się setkom testów, które wreszcie doprowadziły do ustalenia, że przyczyna nie leży po jej, lecz po mojej stronie. Skutki oddziaływania broni chemicznej, domyślili się lekarze. Znam pewnego weterana, który spłodził beznogie dziecko. Pcha je w wózek inwalidzkim na mecze koszykówki, wnosi na rękach do samochodu i tak samo wyjmuje. Kiedy patrzę na Clancy, myślę sobie, że jesteśmy z Mary wielkimi szczęściarzami.

Kiedy Emily wspomniała, że planuje nowy cykl obrazów, poczułem się przez moment, jakby wyprowadziła mnie w pole. Oznajmiła, że namalowała mnie z pamięci i że na jej obrazie jestem siedemnastolatkiem spoglądającym z Cypla Toda w stronę horyzontu. Nie miałem serca wyznać jej, że zapomniałem, jak nazywała się tamta plaża, nie miałem serca powiedzieć, że nie potrafię sobie przypomnieć, jak wyglądał jej dom. No, z wyjątkiem spodu stołu do ping-ponga. Zresztą sama Emily przyznała, iż nawet nie próbuje sobie wyobrazić jego dzisiejszego wyglądu.

— Więc chcę cię sportretować — powiedziała.
— W mundurze. I z ojcem. Masz jakieś zdjęcia? I takim, jaki jesteś obecnie.

Odparłem, że musiałbym pogrzebać w swoich manelach, bo to wszystko prehistoria. Oświadczyła, że chce do obrazów dopisać wyjaśnienia, a potem pokazywać te obrazy w galeriach. Jej prace wystawiano już wcześniej.

— Jestem bardzo lokalną sławą — podkreśliła ze śmiechem.

— Usiłujesz mnie namówić? — zapytałem.

— Tak — odparła znów cicho. — Chcę się z tobą zobaczyć.

Gdybyż to było takie proste. Też chciałem ją zobaczyć, ale jak wytłumaczyć się przed Mary? Ta cała historia — spotkanie z dziewczyną, teraz kobietą, którą znało się przed trzydziestu laty — miała w sobie jakiś dramatyzm rodem z kiepskiego filmu. Ale przyznałem, że również byłbym szczęśliwy, gdybyśmy mogli się spotkać. Usiłowałem być uprzejmy i powściągliwy, nawet nonszalancki, zapewne jednak wypadłem oficjalnie i sztywno. Nie miałem pojęcia, czy jej stwierdzenie, że byłoby „cudownie” znów się zobaczyć, zostało podyktowane uprzejmością czy też śmiałością. Zastanawiałem się, jak daleko sięga tolerancja jej męża, bo sam nawet nie potrafiłem sobie wyobrazić tych wszystkich grepsów, których będę musiał użyć, żeby uzyskać błogosławieństwo Mary. Ale w gruncie rzeczy pragnąłem powiedzieć tylko jedno: że nie mogę doczekać się spotkania i że tylko z nią chciałbym przejść wzdłuż pomnika Poległych w Wietnamie. Pragnąłem wyznać, jak dobrze pamiętam te piątkowe potańcówki, podczas których trwaliśmy wtuleni w siebie nawet wtedy, gdy przestawała grać muzyka. W kościele Świętego Bartłomieja urządzano wieczorki taneczne, żeby młodzież nie pałętała się po ulicach, choć z reguły kończyło się na tym, że zamiast palić trawę w bramach, dzieciaki paliły ją w szatni. Przyzwoitki, nie umiając zidentyfikować zapachu, podejrzliwie pociągały nosami i palcami zatykały sobie uszy, żeby nie ogłuchnąć od rock and rolla. Chciałem powiedzieć, jak dobrze pamiętam ten letni wieczór w przeddzień mojego wyjazdu, gdyśmy pożyczyli sobie mustanga cabri jej ojca i krążyliśmy z opuszczoną budą po ulicach Old Greenwich niczym jakieś gwiazdy filmowe, słuchając płynących z radia piosenek miłosnych. Nie zdobyłem się też na wyznanie, że pragnę ją wziąć w ramiona, jakbym właśnie w tej chwili wrócił z wojny. Trudno nam było zakończyć rozmowę, ale wzajemne przyrzeczenie, że wznowimy ją jutro, trochę ułatwiło sprawę.

Mary nie była wniebowzięta, gdy powiedziałem jej o telefonie Emily. Zrobiłem to zresztą dopiero nazajutrz wieczorem, zakładając, że do tego czasu nie będę już sprawiał wrażenia tak szczęśliwego. Przez wszystkie lata mojego związku z Mary imię Emily — wyjąwszy może jedną, marginalną sytuację — nie wypłynęło ani razu. Bo nie byłaby to jedna z tych pogawędek z żoną, kiedy człowiek wspomina swoją pierwszą miłość. Mary nie należy do zazdrosnych kobiet, ale świadoma po tych wszystkich latach, jak niewielu mam dawnych i nowych przyjaciół... cóż, myślę, że jest dostatecznie inteligentna, by zorientować się, co znaczy dla mnie ktoś taki jak Emily.

— Kim ona była? — spytała Mary, a ja uznałem za osobliwe, że użyła czasu przeszłego, za jeszcze dziwniejsze zaś — że jej odpowiedziałem. Ale chciałem, żeby to wyglądało na pozbawione znaczenia. Jakbym nie miał nic do ukrycia.

Ledwie przystąpiłem do wyjaśnień dotyczących pojawienia się Emily, w drzwiach kuchni, idealnie wybierając po temu moment, stanęła Molly. Zacząłem mówić, że Emily jest po prostu dziewczyną, którą znałem w czasach ogólniaka, absolwentką jednej z tych prywatnych szkół żeńskich. No wiesz, urządzano nam wieczorki zapoznawcze, rzuciłem nonszalancko. Użyłem nazwiska Emily, żeby nie wyglądało, że byliśmy ze sobą w jakiejś szczególnej komitywie, starałem się nie wyglądać jak facet, który nagle poczuł, że ma znowu siedemnaście lat.

Robiłem więc wszystko, aby zbagatelizować ten cały problem z Emily, Mary jednak dociekała, dlaczego Emily zadzwoniła do mnie tak niespodziewanie. Odparłem, że natknęła się przypadkiem na naszego wspólnego znajomego, Chrisa, który jakimś cudem zachował mój numer telefonu.

— Ale ten numer zmienił się z dziesięć razy — zauważyła Mary.

— Pewnie prześledziła te wszystkie zmiany — odrzekłem, usiłując nie okazywać zniecierpliwienia czy irytacji.

Jest malarką, wyjaśniłem. Pracuje nad cyklem obrazów o tematyce wietnamskiej. Mary na to przekrzywiła głowę i zapytała, dlaczego zwróciła się akurat do mnie, a ja, nie

chcąc jej prowokować, tylko wzruszyłem ramionami. Mary znała imię Chrisa, a ja nie uściśliłem, że Emily natknęła się nań szesnaście lat temu. Mary uznała całą sprawę za zastanawiającą — użyła wręcz słowa „podejrzana” — ale zrezygnowała z dalszych pytań. Była świadoma, że oddaliłem się od niej przez ostatnie lata; Clancy scementowała nas jako rodzinę, wielka miłość jednak była dawno przebrzmiałą piosenką. Tylko dlaczego Mary powiedziała „akurat do ciebie”?

Lecz z Emily to była wielka miłość, choć wynikały z niej tylko pocałunki i wsuwanie dłoni pod bluzkę. Ale przecież nie wszystko sprowadza się do seksu: Emily była moją dziewczyną, to ona tuliła się do mnie i rozmawiała przy księżycu w przeddzień mojego wyjazdu do wojska. Wciąż pamiętałem jej załzawione oczy, gdyśmy rozstawali się na dworcu. Przez cały czas, gdy rozmawiałem z Mary, stała obok nas Molly, a ja uświadamiałem sobie, że jest dokładnie w wieku tej Emily, którą tak bardzo kochałem.

— Gapi się pan na mnie, panie Moran — powiedziała Molly. Istotnie, gapiłem się, ale widziałem kogoś zupełnie innego.

Kilka dni później dostałem pocztą cały plik pocztówek z reprodukcjami obrazów Emily i wypisanymi na marginesach historyjkami. Był również podługowaty kawałek kartonu złożony na troje — coś takiego nazywa się tryptykiem — ale ledwie na niego spojrzałem. Jakiś malunek dotyczący holocaustu. Przejrzałem pocztówki i zostawiłem je na stole w kuchni: Mary, pozornie bez zainteresowania, przełożyła je na ladę, kiedy siadaliśmy do kolacji, a potem — z powrotem na stół.

— Chcesz zatrzymać tę makulaturę, Jimmy? — zapytała mnie jakiś czas później, przeglądając pocztówki Emily w taki sam sposób jak reklamowe śmiecie, które odruchowo wyrzuca się do kosza. Wyjąłem jej pocztówki z ręki, włożyłem do koperty, a potem wsunąłem na dno szuflady biurka, w której trzymam koszule.

Nazajutrz rano zadzwoniłem do Emily.

— Więc chcesz, żebym był twoim królikiem doświadczalnym, tak? — zapytałem ze złością. — Potrzebujesz szczypty starej miłości jako natchnienia dla obrazów i wierszy?

— Chcę usłyszeć wszystko o trzydziestu minionych latach — odparła. — O twojej rodzinie, o tym, gdzie się podziewałeś, co przytrafiło ci się w Wietnamie. W najdrobniejszych szczegółach. Nie potrzebuję natchnienia.

W jej głosie brzmiała irytacja, sprawiedliwy gniew, jak zwykł mawiać mój tata, a słowo „natchnienie” wręcz wycodziła, jakby było niecenzuralne.

— Mogłabym postarać się o innego królika, gdybym naprawdę go potrzebowała, Jimmy Moranie. Nawet nie zerknąłeś na moje pocztówki, prawda?

Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

Skąd wiedziała, że nie zerknąłem na jej pocztówki? A nie zerknąłem, bo brakło mi cierpliwości.

Potem złagodniała.

— W ostateczności byłoby miło znowu cię zobaczyć — powiedziała. — Chyba że nie chcesz żadnych wspomnień.

Zachodziłem daremnie w głowę, dlaczego ktokolwiek, a w szczególności ktoś taki jak Emily Hudson — utalentowany, wykształcony, z wielkim domem w Connecticut i mężem na stanowisku — miałyby okazać zainteresowanie moją osobą. Jak to ujęła Mary, „akurat mna”.

— Moglibyśmy się spotkać w Waszyngtonie — ciągnęła Emily tonem namowy. — I zacząć od pomnika Poległych. To już by było coś.

Odrzekłem, że nigdy nie dotarłem pod ów pomnik. W zeszłym roku podjąłem wprawdzie próbę, ale zabrakło mi odwagi, wskutek czego tylko Mary i Clancy przeszły wzdłuż muru, podczas gdy ja czekałem na wzgórzu. Ale Emily miała już wszystko zaplanowane.

— Wybierz termin — powiedziała — a ja odbiorę cię z lotniska krajowego.

Gdy odłożyłem słuchawkę, zacząłem wyjmować skarpetki z szuflady i dziurawe ciskać do kosza. Stojąc bokiem, przejrzałem się w dużym lustrze. Bandzioch. Miałem ban-

dzioch. Koniec z chudym młokosem. Koniec z marinę. Został rozlazły chłopak z Południa. Zerknie na mnie raz i da sobie spokój, uznałem. Nie była przecież czyjaś tam dawna dziewczyną. Była Emily Hudson. Dziewczyną Jimmy'ego.

— Nie startujcie do dziewczyny Jimmy'ego — mawiali moi kumple.

Wyłącznie świadomość, że mam ją zobaczyć, przepełniała mnie życiem, a zarazem śmiertelnym przerażeniem. Pogodziłem się z Południem, zostawiłem daleko za sobą Nowy Jork, jaskrawe światła i niezłe gadane. Miałem ciemnoczerwone el camino, dzieciaka i dom nad strumieniem. I żonę. Z całą resztą rozstałem się już dawno i aż do telefonu Emily usiłowałem o niej nie myśleć.

7

Z jakiegoś nie do końca dla mnie oczywistego powodu już w którymś momencie naszej pierwszej rozmowy zaczęłam go nazywać „Jimem” zamiast „Jimmym”. Może wtedy, kiedy on ten jeden raz nazwał mnie „Emmie”, by zaraz potem przejść na „Emily”, doszedłszy zapewne do wniosku, że mężczyźni żonatemu i dzieciatemu nie wypada spoufalać się aż tak z inną kobietą albo też zachowywać w sposób tracący arogancją. Mnie zaś zdrobnienie „Jimmy” wydało się po prostu przesadne wobec mężczyzny, wedle jego własnych słów, szpakowatego. „Jimmy” to było imię, jakim można zwracać się do chłopca. Tę zmianę, podkreślającą przecież upływ czasu, z początku trudno mi było zaakceptować.

Przez kilka pierwszych dni rozmawiałam z Jimem co najmniej pięć czy sześć razy. Kiedy tylko dzieci wskakiwały do autobusu szkolnego, zabierałam się do obowiązków domowych, podejmując gorączkowe starania, by się z nich jak najszybciej wywiązać, znaleźć się poza wszelkimi podejrzeniami, jakie mogłoby wzbudzić ich niedopełnienie. Potem przez chwilę malowałam w pracowni, a następnie dzwoniłam do niego, bezsilna wobec pokusy, lecz jednocześnie wystraszona, że budzi się we mnie skłonność do zachowań infantylnych, do warowania przy telefonie w oczekiwaniu, że „On” zadzwoni albo „On” odbierze. Miałam wrażenie, iż nie byłam na plaży od kilku tygodni.

Przez pierwsze dni Jim wychodził z pracy już o drugiej, uzasadniając to potrzebą załatwienia ważnych spraw osobistych. Czasem dzwonił do mnie od razu, a czasem kazał czekać z niepokojem i niekiedy również z irytacją na swój telefon. Raz (okazało się później, że musiał pracować wtedy po godzinach) nie zadzwonił w ogóle. Byłam na siebie zła, że zamiast daremnie czekać, nie złapałam sama za słuchawkę, ale wygląda na to, że ledwie w powietrzu zaczyna pachnieć romansem, zatracą się gdzieś spontaniczność, a mężczyźni i kobiety przystępują do gier, toczonych z premedytacją lub instynktownie. Kto jest górą? Kto przegrywa? Kto ma ostatnie słowo?

Czasem po kilku minutach rozmowy Jim prosił, żebym to ja zadzwoniła do niego. Z niepokojem w głosie. „Posłuchaj, bądź tak dobra i zadzwoń zaraz do mnie”. Nigdy mu nie odmawiałam. Najpierw przyszło mi do głowy, że chodzi mu o koszty połączeń, potem — że o zmylenie żony. Ani jeden, ani drugi powód nie miał dla mnie znaczenia.

Rozmowy z Jimem Moranem sprawiły, że przywołałam nie tylko wspomnienia naszych czterech miesięcy, lecz również geografię mojego życia z ostatnich trzydziestu lat. Bo były dotyczące mnie sprawy, o których zapomniałam. Były miejsca, w które przestałam się zapuszczać, które wyrzuciłam z pamięci albo też uznałam za nieistniejące. Wiele wspomnień owinęłam w jakąś bawełnopodobną tkaninę i pochowałam do wymaginowanych szuflad — część z nich czekała, aż wydobędę je na światło dzienne i docenię.

Zdejmowałam z półek książki; na ich kartach tytułowych widniały moje podpisy ozdobione girlandami z serc i kwiatów. W *Listen to the Warm* Roda McKuena zobaczyłam swoją sygnaturę pod przekreślonym nazwiskiem Jennie. Sięgając po szkolną kronikę z roku 1967, pomyślałam z żalem, że nie zachowałam choćby jednej fotografii Jimmy'ego. Starannie, choć ołówkiem wykaligrafowany wpis Jennie do kroniki (obok zdjęcia przedstawiającego naszą jedenastą klasę) zawierał cytat z piosenki Doorsów *The End*, radę: „Jedź szosą na zachód. Nie ma to jak zachód”, a pod spodem stwierdzenie: „Jimmy cię kocha”.

Kartki książki Roda McKuena były kruche i pożółkłe ze starości, niektóre łamały się w mych palcach jak płaty wyschniętej farby; przerzucałam je z wielką ostrożnością, mając nadzieję, że nie tylko pozostaną całe, lecz dostarczą takich samych wzruszeń jak kiedyś. Dostarczały jednak nieco innych. Ale natrafiłam na podkreślony fragment wiersza numer 15:

*Widziałem marsz ptaków morskich i kochałem cię
Oddałem się letniemu słońcu i kochałem cię
Ina widok nagich drzew
i podnosząc kołnierz w wietrzny dzień
I licząc chwile pozostałe do tej wyznaczonej
Kochałem cię.*

Obok zaś widniało napisane bez wątpienia ręką Jimmy'ego słowo „My” z wykrzyknikiem. To odkrycie przepełniło mnie uczuciem ulgi i podniecenia, bo przecież nie miałam już żadnych listów Jimmy'ego.

Na stronach podręczników znalazłam wiele podkreśleń, na marginesach zaś — wiele uwag. W związku z dylematem Jane Eyre napisałam: „Przyjmować miłość bez ograniczeń i żądań”. To były przemyślenia młodej dziewczyny — bezwstydnego, śmiało rzucone na papier czerwonym atramentem, dogmatycznie rozwikłujące znaczenia prozy i poezji, czerpiące z mądrości, której nie sterało jeszcze doświadczenie i nie zrujnowała rzeczywistość.

Z zeszytu na wycinki wyjęłam karty uczestnictwa w kursie tańca — z wystrzępionymi krawędziami i odfajkowanymi datami zajęć, w których uczestniczyłam. Zapomniałam już, jak bardzo lubiłam tańczyć. W czasie gdy poznałam Petera, co wieczór chodziłam na zajęcia do sali ćwiczeń w Carnegie Hall. Uprawiałam taniec jazzowy, bo ku rozczarowaniu matki nigdy nie fascynowałam się baletem, czułam, że muzyka klasyczna niewoli mnie w pewien sposób. Pragnęłam poruszać biodrami, wczuwać się w rytm. Co wieczór więc, po pracy, jeździłam metrem do Carnegie Hall, gdzie całe

pierwsze piętro zajmowały sale ćwiczeń. Teraz są tam biura, ale wtedy były wielkie pomieszczenia o wywoskowanych na mat dębowych podłogach, lustrzanych ścianach, z poręczami. Po drodze robiłam przystanek w kafejce przy Pięćdziesiątej Siódmej, siedząc samotnie przy stoliku czytałam książki w broszurowych wydaniach (to tam właśnie przeczytałam *The Harrad Experiment* i *Grupe*), piłam mrożoną kawę i jadłam hamburgery, a jednocześnie bez przerwy macałam wolną ręką swoją torbę z baletkami i trykotami. Potem przechodziłam przez ulicę, przed wejściem do sal ćwiczeń podawałam swoją kartę oddelegowanej do pracy recepcjonistki podstarzałej balerinie, ta zaś stemplowała ją w odpowiedniej rubryce, trzymając pieczętkę w artretycznych, poskręcanych palcach. Miała na imię Melinda, nosiła różowy trykot i długą krynolinę. Primadonna zawieszona w czasie. W garderobie, oddzielonej od sali tylko purpurową aksamitną kotarą, zdejmowałam służbowy kostium, nakładając w jego miejsce obcisłe legginsy i trykotową bluzkę bez ramion.

Inne młode kobiety uczęszczające na kurs były zawodowymi tancerkami i nie wiedziały, że pracuję w dziale sztuki wydawnictwa. Miałam ciało równie sprężyste i rzeźbione jak one wszystkie. Gdyśmy czekały na zakończenie poprzednich zajęć — z grubymi podkolanówkami opuszczonymi do kostek, kończąc upinanie włosów w koki na czubkach głów — paplałyśmy bez opamiętania: Która wyperfumowała się piżmem? Niech mi któraś pożyczy lakier do włosów. Która wczoraj wieczorem po zajęciach rozmawiała z tym facetem podającym się za reżysera? Mężczyźni, przeważnie nieszkodliwi dla nas geje, stali w osobnych grupkach: wyprostowani, upozowani, z oczyma dziwacznie podkreślonymi ciemnym tuszem. Zadawali pytania w rodzaju: Gdzie zdobyłeś ten sweter? i wygłaszali komentarze w stylu: Jest boski. Wyglądasz oszałamiająco. W głębi sali grali dwaj perkusiści (zazwyczaj *Swing Time* albo *In the Mood*), a ja przez dziewięćdziesiąt minut miałam wrażenie, że jestem na scenie. Pierwszy rząd, środek. Liczyłam sobie dwadzieścia jeden lat.

Z zajęć zazwyczaj odbierał mnie Peter. Czasem stał przed salą i widziałam kątem oka, jak przypatruje się ćwiczeniom. Na powitanie zawsze mnie całował: wychodząc z sali, byłam spocona i zaczerwieniona na twarzy, ale on zachowywał się tak, jakby nigdy w życiu nie widział nic piękniejszego. Brałam prysznic, przebierałam się, a potem szliśmy do mieszkania, które w przyszłości miało się stać naszym wspólnym, ale wtedy należało tylko do niego. To, czy wieczór był mroźny czy upalny, nic nie znaczyło — szliśmy powoli, objęci w pasie, ubolewając, że nie możemy przytulić się mocniej. Wiedliśmy niekończące się rozmowy, przystawali na rogach ulic i wymieniali długie, gorące pocałunki. Chyba tego mi teraz najbardziej brak — uczucia, że nic nas nie ogranicza, że świat musi nas tolerować takimi, jacy jesteśmy. Tego mi właśnie brak w moim związku z Peterem. I kiedy myślę o Jimie.

Kilka lat później wzięliśmy ślub, postanowiliśmy przeprowadzić się do Connecticut i powiększyć rodzinę. To wtedy skończyły się kursy tańca i wiele innych rzeczy. Przestaliśmy chodzić na długie spacery i przestaliśmy rozmawiać. Jedno po drugim zaczęły przychodzić na świat dzieci i nagle kombajn hi-fi w naszej sypialni ustąpił miejsca aparaturze do monitorowania niemowląt, a ciszy nocy nie przerywały już nasze okrzyki, lecz płacz maluchów. Miałam wrażenie, że ta zmiana nastąpiła z dnia na dzień.

Peter wychodził z domu jeszcze przed wschodem słońca, zanim się obudziłam, wracał zaś późnym wieczorem. Był wyczerpany, ja zresztą też. Tuż po przeprowadzce do Connecticut znalazłam małe studio tańca, które tak właśnie się nazywało: Studio Tańca. Na zajęcia zabierałam ze sobą wszystkie dzieci — Sama i Charliego w jednym wózku, Julie w drugim, Jacka zaś prowadziłam za rękę. Potem starsze pozostawiałam w pokoju zabaw, Julie natomiast — którą wciąż karmiłam piersią — sadzałam na sali ćwiczeń w foteliku samochodowym. Zwykle przekrzywiała główkę, opierając ją o różową poduszczkę z samodziału.

To nie były w gruncie rzeczy zajęcia taneczne, ot, aerobik z elementami tańca, sale zaś wypełniały kobiety o niezupełnie

rzeźbionych ciałach, znacznie natomiast wskutek cięż po-grubionych taliach. Zamiast trykotów nosiły dresy, żeby je ukryć, dzwigały torby pełne słoików z zupkami i sokami. Po zajęciach szły na spotkania swoich grup macierzyńskich, gdzie przez następną godzinę użalały się na swoje życie i mężów.

Poszłam raz na takie spotkanie: kobiety przerzucały się historyjkami o mężach, traktowanych jak przedstawiciele obcego gatunku. Każda z tych kobiet czuła się kiedyś jak królowa balu, a teraz miała wrażenie, że jest kulą u nogi. Wszystkie zapomniały, że mężowie byli dawniej ich kochan-kami. A może to mężowie zapomnieli. Kto wie? Kto to sobie potrafi przypomnieć?

Wiesz, co m ó j dzisiaj zrobił?—pytały, siedząc w kręgu. Wymieniały spostrzeżenia, jakby wszystkie były poślubione jednemu facetowi, jednej księżeczce czekowej, jednej namia-stce męża. Wiodły życie pogrążone w niemej rozpacz. To była pierwsza i ostatnia grupa, w której spotkaniu wzięłam udział.

Nie mogę powiedzieć, że to z winy Petera zagubiliśmy się gdzieś po drodze, a już z pewnością ja się zagubiłam. Nigdy nie nalegał, żebym zrezygnowała z kariery zawodowej i tań-ca, ale też nigdy nie przyjął do wiadomości, że gdyby spędzał w domu więcej czasu albo też usiłował zrozumieć, czego mi brak, sprawy pobiegłyby innym torem. Zamiast tego otoczył się murem, a ja zaczęłam być drażliwa. Deklarował, że to on grzęźnie wmanhattańskich korkach, by zapewnić mi poziom życia, do którego tak szybko przywykłam, ja natomiast, czując się bezgranicznie samotna, ripostowałam, że gra nie jest warta świeczki. Wydawało się, że im bardziej sarkałam, im bardziej błagałam o rozmowę, upierając się, że wolę mieć w domu jego niż kolejną przybudówkę, tym dalej przede mną uciekał. Do późnej nocy przesiadywał w biurze, miał jakieś spotkania za miastem, służbowe kolacje, podczas których nie mogłam mu towarzyszyć, ponieważ albo odbywały się zbyt wcześnie, bym mogła pozostawić dzieci pod opieką niani, albo też zbyt późno, by dało się znaleźć na ten czas jakąś odpowiednią niankę.

Pewnego wieczoru, wkrótce po mojej pierwszej rozmowie z Jimem, Julie zawołała mnie do swojego pokoju. Julie tak samo jak Jack potrafi rozgryźć wyraz mojej twarzy, w przeciwieństwie do Jacka jednak ma dość odwagi, by zapytać, dlaczego wyglądam, jak wyglądam. Jack w takich razach woli mnie rozśmieszyć albo przytulić. Pod wieloma względami przypomina Petera: miast zapuszczać się coraz dalej na wzburzone wody, rzuca kotwicę i wmawia sobie, że sztorm nie spowoduje żadnych szkód. Zdobywa się na chwilę aktywności, a potem udaje, że nic się nie stało. Zresztą Peter w tej chwili po prostu rejteruje i już nie próbuje mnie przytulać. Natomiast Julie wzywa mnie na dywanik. Usiądź na łóżku, mam, musimy porozmawiać, oświadczyła teraz. Z determinacją zaczerpnęła powietrza i zapytała, dlaczego — jak się zdaje — ja i ojciec mamy sobie tak niewiele do powiedzenia. Dlaczego wyglądam czasem na tak pogrążoną w myślach. Mając dwanaście lat, odparłam, nie możesz się doczekać, aż dorośniesz, w istocie jednak dorastanie jest ułudą, ponieważ jeśli człowiekowi dopisze szczęście, dojrzewa nawet w wieku czterdziestu sześciu lat. Potem zapuściliśmy się na niebezpieczne wody, Julie bowiem spytała, czy ja i tatuś nadal dojrzewamy. Miała przerażenie na twarzy, potrzebowała całej swojej odwagi, aby zadać to pytanie. Głośno przełykała ślinę i przygryzała dolną wargę. Bo pytała w gruncie rzeczy, czy ja i Peter oddaliśmy się od siebie.

Cóż można odpowiedzieć dwunastolatce? Człowiek budzi w sobie całą siłę macierzyństwa i unika zarówno prawdy, jak i kłamstwa. Mówi, że ludzie zmieniają się, ulegają nastrojom i przechodzą przez rozmaite fazy tylko po to, żeby ponownie odnaleźć do siebie drogę. Przez moment dziękuje Bogu za wszechmoc macierzyństwa, która rozprasza dziecięce lęki kojącym tonem głosu i dłonią dla otuchy położoną na ramieniu. I wie, że kiedy straci ten atut, dni będą policzone.

A zarazem pragnie uwierzyć we własne słowa równie mocno, jak wierzy w nie dziecko. Mając dwanaście lat, chce się wierzyć zawsze.

8

Rzeczywistość obozu szkoleniowego spadła na nas jak grom z jasnego nieba. W autobusie było bratanie się i luz — aż do drugiej nad ranem, gdyśmy dotarli do Parris Island i wziął nas w obroty instruktor. Rzeczywistość nie skrzeczy, tylko ryczy. Nagle staje się jasne, gdzie jesteś, i pojmujesz, że właśnie wyrzekłeś się wszystkich swobód, z których dotąd korzystałeś. Nie ma powrotu, stałeś się własnością sierżanta. Jest dobrze wyszkolony, doświadczony i wie, jak się do ciebie dobrąć.

Pierwszego ranka poprosiłem w stołówce o herbatę: piłem ją od dzieciństwa, ilekroć czułem się marnie, podawała mi ją babka, kiedy ją odwiedzałem. No więc sierżant za łeb wyciągnął mnie ze stołówki do sąsiedniego pomieszczenia i wdeptał w błoto. Odtąd piję kawę, i to wyłącznie czarną. Herbatę biorę do ust tylko wtedy, gdy mam chore gardło.

Na Parris Island nauczyli mnie pucować buty śliną, zresztą tylko podczas tej czynności miałem kilka chwil dla siebie. Brałem te ciężkie kazonne buciory, siadałem na skraju pryczy i rozmyślałem — głównie o Emily. Mocno zamykałem oczy i wyobrażałem sobie, że siedzi obok. Może gdyby naprawdę siedziała, opierałaby głowę na moim ramieniu tak samo jak na plaży. Może opierając głowę, kładłaby również dłoń na moim udzie. Czasem rozmyślałem o chłopakach ze szkoły i zastanawiałem się, czy dokooptowali do kapeli nowego wokalistę. Czasem zaś kładłem się na kilka

sekund i wyobrażałem sobie, że jestem w Greenwich Village, w domu rodziców.

Moja matka zawsze hodowała w skrzynkach za oknami różowe i białe geranium, zimą zaś sadziła bluszcz i przyczepiała do framug sznury białych lampek. Lubiłem naszą ulicę, na której jednym końcu był teatr eksperymentalny, na drugim zaś niechlujny bar hamburgerowy. Kilka lat temu, kiedy zajmowałem się prochami ojca, zaszedłem do tego baru: zmienił się w knajpę dla gejów. Powiedziałem właścicielowi, że w dawnych czasach bywałem tu z ojcem (co nie było zupełną prawdą, bo towarzyszyłem tacie najwyżej parę razy), właściciel zaś najpierw spojrział na mnie, a potem szerokim gestem ręki powiódł po sali i pokazał grupkę ogolonych na łyso facetów w skórach i ze złotymi kolczykami w uszach, którzy obejmując się czule, popijali przy barze piwo.

Nic nie trwa wiecznie, brachu, powiedział właściciel.

Wyszedłem szybciej, niż wszedłem, a jego słowa dudniły mi w głowie przez cały dzień: Nic nie trwa wiecznie, brachu.

Sierżant nie mówił nic, kiedy siedziałem na krawędzi pryczy, metodycznie polerując buty irchową szmatką. Robiłem w końcu swoje — plułem i pucowałem tak długo, aż mogłem się przejrzeć w lśniącej skórze. Sierżant widział pewnie setki podobnych do mnie chudych małolatów, którzy tak tęsknili za domem, że wyglądali jak sarny pojmane w długie światła samochodu. Bo pragnałem tylko wrócić do domu. W tym czasie nawet ojciec zapity w swoim fotelu budził moją tęsknotę. Jakże chciałem wskoczyć znowu w te szare flanelowe spodnie i granatowy blezer. Żałowałem, że zamiast przykładać się do nauki, traciłem czas na balowanie, żałowałem, że jak Chris i Steve nie skończą za rok szkoły i nie pójdę do jednego z tych nowoangielskich college'ów gdzie kamienne budynki porasta bluszcz, gdzie grywa się w piłkę na dziedzińcu i gdzie w kampusowym barku pija się kufłowe. Nie mogłem uwierzyć, że jako siedemnastolatek wyładowałem na Parris Island. Czułem, że miałem wszystko i to wszystko przeciekło mi pomiędzy palcami. Jak prochy ojca w porcie.

Po obozie szkoleniowym przewieźli nas autobusami do Camp LeJeune, gdzie mniej więcej przez miesiąc mieliśmy jakoby opanowywać regulaminy piechoty, a w gruncie rzeczy głównie strzelaliśmy, rzucali granatami, no i w ogóle oswajali się z bronią wszelkiego rodzaju. Na wszystkich testach teoretycznych w piechocie morskiej dobrze dawałem sobie radę, co jest dosyć zabawne, bo w tym samym czasie pewnie bym wyleciał ze szkoły, gdybym pozostał w domu. Może szło mi dobrze, bo w końcu dostałem te okulary. Byłem pewien — i właściwie potwierdził to w pewnym momencie dowódca bazy — że wyląduję za biurkiem i nie zostaną wysłany do Wietnamu. Potem jak zawsze schrzaniłem sprawę.

Po LeJeune dostaliśmy trzydziestodniowe urlopy; później czekało nas pół roku w Memphis, a jeszcze później Camp Pendleton, który był ostatnim przystankiem przed Wietnamem. To podczas tego trzydziestodniowego urlopu pojechałem do domu, żeby zobaczyć się z Emilią. Z lotniska Kennedy'ego odebrała mnie matka: ponieważ nie mieliśmy samochodu, przyjechała wynajętym lincolnem continentalem z wymownym „Z” na tablicy rejestracyjnej. Ucieszyłem się na jej widok, ale byłem rozczarowany nieobecnością ojca.

— Gdzie jest tata? — zapytałem.

Nie patrząc mi w oczy, odpowiedziała, że jest zajęty, co jak oboje zdawaliśmy sobie sprawę, było kłamstwem. O tak późnej porze z pewnością siedział nawalony jak stodoła w swoim fotelu i po prostu nie mogła go ruszyć.

— A gdzie Daphne? — zapytałem o siostrę.

— Oczywiście śpi — odparła matka, a ja zadałem sobie pytanie, dlaczego ten jeden raz Daphne nie mogła położyć się nieco później. Daphne nie była adoptowanym dzieckiem; typowa historia — matka zaszła w ciążę, kiedy miałem nieco ponad rok. Wysoka, rudowłosa, jest bardzo podobna do matki, co jednak ciekawsze, i ona, i moja matka są podobne do Clancy czy raczej Clancy jest podobna do nich.

Czasem usiłuję sobie przypomnieć, co mówiła do mnie matka, gdy tego wieczoru jechaliśmy do domu. Daremnie. Pozwoliła mi prowadzić.

Długo milczeliśmy, a w pewnym momencie matka powiedziała:

— Pościeliłam ci łóżko, Jim. Dałam te dużą kołdrę, którą tak lubiłeś.

Dlaczego mi się zdaje, że używała czasu przeszłego?

Położyła dłoń na moim kolanie, a potem ją cofnęła. Odwróciła głowę i przez resztę drogi do domu wyglądała przez okno.

Nie mogłem się doczekać spotkania z Emily. Uznałem, że tego dnia jest zapóźno, by do niej dzwonić, i że nazajutrz nie powinienem tego robić zbyt wcześnie. Zresztą i tak spałem prawie do południa; pamiętam, jak dziwnie się czułem, biorąc prysznic w łazience, której drzwi były zamknięte i w której nie tłoczyło się sześciu innych nagich facetów.

Nie mogłem znaleźć butów ani dzinsów, do których skądinąd i tak bym się nie wcisnął, bo miałem teraz uda nabite mięśniami. Matka wyjęła z szafy wszystkie moje ciuchy, umieszczając w ich miejscu swoje wełny i kulki przeciwmolowe. Moje rzeczy zniosła do piwnicy, ale że nie miałem ochoty tam złazić, zacząłem myszkować po pudłach. Nie mam bladego pojęcia, dlaczego do cholery matka przeprowadziła tę całą akcję. Pewnie uznała, że nie wrócę do domu, a jeśli wrócę — to nie na długo. Wziąłem czarne półbuty ojca i wyczyściłem je śliną; ojciec nosi większy numer niż ja, więc czułem się w nich jak klaun. W sklepie z demobillem o przecznicę dalej kupiłem zielonkawę spodnie (nazywali je drelichami polowymi, a ja pomyślałem, że świat stanął na głowie, skoro kupuję wojskowe łachy), potem poszedłem do normalnego sklepu z męską odzieżą i uzupełniłem swoją garderobę o granatową koszulę. Ostrzyżony na zapałkę, nie czułem się teraz dobrze w dzinsowych dzwonach. Nie miałem zresztą pojęcia, czy mam jeszcze szanse czuć się dobrze w czymkolwiek i w związku z czymkolwiek.

Z Astor Place pojechałem metrem na Sześćdziesiątą Ósmą Ulicę, przeciąłem Lexington i dotarłem do Piątej Alei. Dokładnie wiedziałem, kiedy Emily będzie wracać ze szkoły, odprowadzałem ją do domu dostatecznie wiele razy. Więc czekałem już, kiedy ukazała się zza rogu swojego domu.

Miałem pochyloną głowę i usiłowałem dostrzec odbicie swojej twarzy w czubkach butów, rozmyślając o wszystkich tych dniach, kiedy zajęty pucowaniem wciąż miałem Emily przed oczyma. Bo muszę przyznać, naprawdę lubiłem Emily. Uważałem, że jest ładna i ma fantastyczną figurę, ale przede wszystkim lubiłem ją w takim samym stopniu, jak kochałem. Wiele razy wychodziłem wieczorem na przepustki, żeby obudzić się nazajutrz rano obok kogoś, kogo prawie nie znałem i nie chciałem znać. I wtedy cierpiałem, bo pragnąłem się budzić tylko obok Emily.

Rozpoznałem jej kroki i przysięgam, poczułem zapach cytrynowej wody toaletowej. Zapuściła włosy i bez przerwy odgarniała do tyłu jeden kosmyk, zonglując jednocześnie swoimi podręcznikami. Nie spostrzegła mnie od razu — patrzyła wprawdzie w moją stronę, ale chyba mnie nie poznawała. Stałem sztywno jak słup, bałem się na nią spojrzeć. A może jeszcze bardziej bałem się tego, że mnie zobaczy. Przeciągnąłem dłonią po szczecinie porastającej mój czerep, pociełem się jak mysz, chociaż był październik, a chłodny wiatr gnał po chodnikach liście i śmieci.

Na mój widok Emily zatrzymała się jak wryta. Podeszedłem do niej. Objąłem ją i zacząłem całować, powoli, naprawdę powoli, w taki sposób, jaki marzył mi się przez całe lato, ale gdy tylko poczułem jej ciało przy swoim, zorientowałem się, że coś pomiędzy nami uległo zmianie. Odebrałem jej książkę, położyłem na chodniku, wziąłem ją za rękę.

— Boże, Jimmy, jakże się zmieniłeś — powiedziała z innym uśmiechem, niż się spodziewałem. Sprawiała wrażenie stropionej, patrzyła na moją twarz tak, jakby oczekiwała, że zaraz zdejmę maskę i powiem „a kuku”.

— To jednak ja, Emily, to ja — odrzekłem potrząsając jej dłońmi. Mogło się wydawać, że chcę ją obudzić. I w tym momencie mogłem właściwie odejść, bo Emily patrzyła na mnie jak na kogoś obcego, jak na ducha, a później tonem kogoś, kto szuka odpowiednich słów, nie ma nic do powiedzenia albo też cię nie poznaje, zapytała, od jak dawna jestem w mieście. Odparłem, że przyjechałem wczoraj późnym wieczorem, dodając jeszcze: — Od jak dawna w mieście?

Chryste, Emily, za kogo mnie uważasz? Za przejezdnego turystę?

Poczułem, że narastają we mnie niepokój i frustracja, więc podałem tyły i opowiedziałem dokładnie, że przyleciałem wczoraj koło północy, że z lotniska odebrała mnie mama i że z nią, Emily, chciałem zobaczyć się jak najszybciej. Wtedy zapytała, jak długo będę „w mieście” — tak, użyła tego samego określenia — i w tym momencie wiedziałem już na pewno, że coś tu nie gra. Wyglądało na to, że nie wiedząc, co powiedzieć, powtarza to samo kulawe określenie z uporem zdartej płyty. To było nasze miasto, a ona zachowywała się tak, jakby nagle przestało być moim. Rany boskie, przecież wróciłem do domu! Nic nie szło tak, jak planowałem. Nic nie układało się tak, jak marzyłem przez całe lato.

Patrzyłem na nią i rozmyślałem o wszystkich tych wieczorach, kiedy pisałem do niej listy. Emily zawsze we mnie wierzyła, chociaż w tym, co mówiły na mój temat jej koleżanki z klasy, było sporo prawdy. Było więc prawdą, że odprowadziwszy wieczorem Emily do domu, kotwiczyłem na dłużej w Pubie Finna i brałem kwas w męskim kiblu. Że paliłem trawkę, kiedy Emily nie mogła tego widzieć. To wszystko prawda, ale też nic z tych rzeczy nie robiłem w obecności Emily. No i dlaczego o Stevie i Chrisie, którzy też nie stronili od towarku, nie krążyły podobne opowieści? Może dlatego, że dawali sobie radę w szkole, może dlatego, że ich starzy nie tonęli w galonach dżinu. Z Emily mogłem być sobą; przed innymi bałem się obnażać, więc rausz był najłatwiejszym rozwiązaniem. Tylko Emily wiedziała, jak się wstydzę swoich problemów z nauką, a kumple mi wierzyli, gdy kwitowałem je śmiechem. Było tak, jakby Emily zdzierała pokrywający mnie fornir i kochała to, co się pod nim kryło — nagie drewno. Pamiętam, co mi powiedziała, gdy w rozmowie z Chrisem robiłem sobie jaja z moich coraz gorszych stopni.

— Kocham cię takim, jaki jesteś i jakim nie jesteś — oświadczyła. — Przestań odgrywać cwaniaka, bo nie jesteś ani cwaniakiem, ani nieudacznikiem.

Tego październikowego dnia, gdy widziałem ją po raz — jak długo sądziłem — ostatni, miała w uszach cienkie kolczyki z pacyfami, umalowane oczy i jakieś lepkie białe mazidło na wargach. Twierdziła wprawdzie, że różowe, ale na pewno było białe. Pamiętałem, że jej usta zawsze były pełne, czerwone i lśniące, a teraz sprawiały wrażenie trupio bladych. Do tego te umalowane oczy.

— Dlaczego wymazałaś oczy tym świństwem? — zapytałem, a kiedy usiłowałem zetrzeć makijaż, odepchnęła moją dłoń. Oświadczyła, że to nie żadne świństwo i za kogo właściwie się mam, żeby wyrokować w takich sprawach. Potem nagle ogarnęło ją takie zakłopotanie, a może wręcz niepokój, że przez moment nawet jej współczułem.

— Przespacerujmy się — zaproponowałem. Tak samo jak tego marcowego dnia przy fontannie w Central Parku, dnia, kiedy ją poznałem i zapytałem: — Czy chcesz się ze mną przespacerować, Emily Hudson?

Podniosłem z chodnika jej książki i wziąłem je pod pachę. Wolną rękę zarzuciłem Emily na ramię. Szczupła była ta Emily, nigdy dotąd nie wydawała mi się tak delikatna. Pewnie dlatego, że szedłem do wojska jako chudy młokos, a od tamtego czasu przybyło mi dziesięć kilo samych mięśni. Usiedliśmy na ławce przy Piątej Alei, tuż obok Central Parku, Emily patrzyła prosto przed siebie. Zapytała, czy dostawałem jej listy, ja zapytałem, czy dostawała moje (idiotyczne pytania, gdy się nad tym zastanowić, bo przecież korespondowaliśmy całe lato), a potem oznajmiłem, że wyjeżdżam pod koniec tygodnia. Jeśli nie liczyć tej historyjki z czirokeską krwią, było to pierwsze kłamstwo, jakie jej powiedziałem. Wyjeżdżałem za miesiąc, ale nie sądziłem w tamtej chwili, że Emily da mi jeszcze miesiąc. Powiedziałem, że mają mnie przenieść do Memphis, stamtąd do Kalifornii, a wreszcie — choć tego nie byłem pewien — przerzucić do Wietnamu.

Mówiąc to, dotykałem palcami jej kolczyków, ona zaś najpierw długo patrzyła na mą twarz, jakby usiłowała wyczytać z niej coś znaczącego, a potem zapytała, dlaczego muszę znowu wyjechać. Powinienem, stwierdziła, poprosić

ojca, żeby do kogoś napisał i wyjaśnił, iż cała sprawa była wielkim nieporozumieniem. Twój ojciec na pewno zna wiele wpływowych osób, powiedziała. Ma dojścia. Jej zdaniem mógłbym wrócić do szkoły i wtedy, ponieważ była o klasę niżej, skończylibyśmy ją razem i może poszli do jednego college'u. Potem położyła mi dłoń na karku, opuściła głowę i zaczęła płakać. Powiedziała, że nie mieli prawa obcinać mi włosów, no i właściwie dlaczego mam teraz tak szorstką i czerwoną skórę.

Wtedy ja wyznałem jej miłość: jak w każdym liście, który napisałem do niej tego lata. Ale zataiłem, że jej zdjęcie wisi na świńskiej wystawce. I nie wyznałem, że robię w portki ze strachu na myśl o wyjeździe do Kalifornii i tym wszystkim, co może nastąpić później. Powiedziałem natomiast, że pragnę ją mieć przed swoim wyjazdem. Przynajmniej pozwól mi walnąć pożegnalną salwę, Emily, powiedziałem i nie były to najmądrzej dobrane słowa czy też słowa, których użyłbym teraz. Ale, kurna, byłem wtedy niezłe porąbany, naprawdę niezłe. Walnąć pożegnalną salwę? Nie mam pojęcia, skąd się to wzięło, może się po prostu wstydziałem i nie wiedziałem, co mam mówić. A Emily wstała i zapytała, dlaczego nie jestem już tak delikatny i czuły jak kiedyś.

Sądzę, że to właśnie określenie "Jak kiedyś" coś we mnie obruszyło i zrozumiałem, że już nigdy nie będę taki jak na początku tego lata. Próbowałem naprawdę mocno przytulić Emily, ale się wyrwała. Powiedziałem, że powinna mi zaufać, pójść ze mną do domu, pozwolić się kochać (tak, od razu użyłem innego określenia, nie dlatego żeby ją ugłaskać, lecz dlatego że tak o tym myślałem). Ale nie odwzajemniała moich uścisków, powtarzała, że nie może pójść ze mną do łóżka, a ja tylko dociekałem dlaczego i dlaczego, nie przyjmując do wiadomości, że jest właściwie dzieckiem, szesnastoletnim dzieckiem. No więc zamiast dać jej spokój, oświadczyłem, że jest dziwką. Tylko pomyśleć, nazwałem Emily Hudson dziwką i w dodatku dręczykuśką, a kiedy to mówiłem — mając zresztą wrażenie, że to nie mówię ja, lecz ktoś zupełnie inny — czułem, jak wszystko wymyka się spod kontroli, świat faluje wokół mnie, a ja

istnieje i nie istnieje zarazem w jego środku. Nigdy dotąd nie użyłbym w jej obecności takich słów, a jeśli użyłby ich ktoś inny, to albobym mu wygarnął, albo dołożył. Dotąd Emily pozwalała, bym jej bronił, i oto ja zachowywałem się jak... cóż... jak żołdak. Naprawdę wszystko wymykało się spod kontroli.

Emily wstała i odstaąpiła ode mnie o krok. Spojrzała mi w oczy. Jest ktoś inny, powiedziała. Nie poda mi nazwiska, ale to ktoś z mojej dawnej szkoły. D a w n e j szkoły. Chodzą ze sobą i pod koniec lata straciła z nim cnotę. Po prostu nie zdążyłem wrócić na czas.

A ja zastanawiałem się, jak mogła pisać do mnie te wszystkie listy.

Wiedziałem, że jeśli zostanę choć chwilę dłużej, to albo dam jej w twarz, albo wybuchnę płaczem, a ponieważ nie chciałem ani jednego, ani drugiego, po prostu wstałem i odszedłem. Wydawało mi się, że wykrzyknęła moje imię, ale nie obejrzałem się, tylko szedłem dalej. Wisiały mi Kalifornia i Wietnam. Wisiało mi, gdzie mnie wysła, wisiało, czy będę żyć czy zdechnę.

Skreśliłem za róg, ale nie od razu skierowałem się w stronę domu: przeszedłem przez Osiemdziesiątą Szóstą, od jakiegoś typka przed wejściem do metra kupiłem skręta, wsunąłem do kieszeni, a później wypaliłem na schodkach przed naszym domem. Tej nocy zagapiony w sufit leżałem na łóżku, a moja ręka co chwila sięgała po telefon. Chciałem, żeby Emily podała mi nazwisko tego chłopaka, bo wtedy mógłbym ją przekonać, że dokonała niewłaściwego wyboru. Pewnie go znałem, pewnie był jakimś durnym lalusiem, i rzygać mi się chciało na myśl, że ktoś taki wchodzi na Emily Hudson. Ale nie zadzwoniłem do niej, chociaż cholernie tego chciałem. Chciałem wskoczyć do metra, pojechać do Emily, zetrzeć ten syf z jej oczu i powiedzieć, że jest moja. Ale nie zadzwoniłem. I pewnie dobrze się stało, bo ona też nie zadzwoniła, choć wtedy głowę dałbym sobie uciąć, że to robi.

Od tego czasu było coraz gorzej. Przez trzy następne tygodnie albo leżałem na łóżku, albo kupowałem-towar przy St. Mark's Place. Paliłem trawkę, łykałem barbiturany,

brałem kwas. Byłem wrakiem, ale rodzice tego nie zauważali. Kiedy przyszedł moment wyjazdu do Memphis, nie miałem pojęcia, na jakim świecie żyję. Co gorsza, zupełnie się tym nie przejmowałem. Rozkazy dostałem pocztą. A nie przejmowałem się, bo Emily odeszła, poza tym człowiek popada w otępienie wobec wyjazdu, a nawet wobec możliwości wyjazdu do Wietnamu. Tylko w ten sposób można się z tym uporać. Emily była moją ostatnią nadzieją. Kiedyś wierzyłem, że kocha mnie za to, kim jestem i kim nie jestem. Teraz po prostu nie wiedziałem, kim jestem. Może ona też nie wiedziała. Może jest zbyt trudno kochać ducha.

9

Gdyśmy tego lata 1967 razem z Jennie pakowały w Connecticut nasze rzeczy, włożyłam listy Jimmy'ego do pudełka po butach, które następnie zawinęłam w papier. Jennie poukładała płyty w dwóch dużych kartonach (jeden był podpisany jej inicjałami, drugi — moimi), następnie zaś z pietyzmem i teatralnym zacięciem umieściła *Proroka* Kahlila Gibrana pomiędzy swoimi ciuchami wypełniającymi sportową torbę. Wsiadłyśmy na tylne siedzenia oldsmobila mojej matki ubrane w obfite papierowe poncza zdobione ręcznie malowanymi słonecznikami (miejscowy malarz liczył, że chwyci jego pomysł jednorazowych ubrań), a z naszych uszu zwiślały kupione podczas sobotniego wypadu na pchli targ kolczyki z pacyfami. Ostatnią rzeczą, na jaką zwróciłam uwagę, gdy skręcałyśmy w smaganą wiatrem drogę wzdłuż plaży, była skrzynka pocztowa. Z opuszczoną chorągiewką. Okiennice były pozamykane, a podjazd przegradzał rozciągnięty przez ojca gruby łańcuch. Wszystkie znaki na ziemi i niebie wskazywały, że lato dobiegło końca.

Jennie rozstała się z nami u drzwi swojej kamienicy przy Beekman Place. Odźwierny w obszytej galonem granatowej marynarce i kapitańskiej czapce podał jej ramię, jakby była księżniczką, pomógł wysiąść, a potem wystawił na chodnik sportową torbę Jennie i jej opatrzone inicjałami JB (Jennifer Braddock) karton z płytami. Jennie, z opadającymi na czubek nosa okularami babuni o purpurowych szkłach,

powiedziała, że zadzwoni do mnie później, uniosła dłoń z dwoma palcami ułożonymi w znak zwycięstwa i znikła w budynku. Odźwierny podążył za nią, dźwigając karton płyt. Sportową torbę miał najwyraźniej zabrać za drugim kursem.

Powrót do mojego pokoju wytrącił mnie z równowagi. Nasze mieszkanie znajduje się na piętnastym piętrze przedwojennego budynku przy Piątej Alei, a przez swoje okno z ołowianymi szprosami widzę boczną uliczkę i zajmujący obszar całej przecznicy stary majestatyczny kościół. Pod oknem jest kaloryfer w perforowanej blaszanej obudowie, której wierzch trwale poplamiły krople barwnej stearyny, gdyśmy zeszłej zimy postawiły tam z Jennie świece, a one stopiły się od gorąca. Wieczorem wzięłam poduszkę z łóżka i położyłam ją płasko na grzejniku, co było marną wprawdzie, ale jednak było namiastką siedziska, jakie miałam do dyspozycji w okiennym wykuszu naszego letniego domu. Pokój, pozostawiony samemu sobie przez całe lato, pachniał stęchłą, kredowobiały pył pokrywał wszystkie meble, na parapecie zaś osiadła warstwa sadzy. Nie rozpakowywałam walizki ani kartonu z płytami. Spojrzałam w dół na witrażowe okna kościoła i pomyślałam tęsknie o szeleście listowia, którego mogłam słuchać w Greenwich. Plaża wydawała się tak bezgranicznie daleka. Usiłowałam wyobrazić sobie twarz Jimmy'ego: wyjęłam z portfela naszą zrobioną na plaży fotografię w plastikowej oprawce. Tęskniłam za nim. Tęskniłam za Jennie. Tęsknota za Jimmym była łatwiejsza do zniesienia, gdy miałam w pobliżu Jennie. Nie wiedziałam, czy Jimmy jest jeszcze w obozie szkoleniowym — od kilku dni nie dostawałam żadnych listów, ostatni przyszedł trzy dni przed naszym wyjazdem z Old Greenwich.

Następnego tygodnia wróciliśmy z Jennie do szkoły. W swoich odebranych z czyszczenia wyprasowanych mundurkach niczym — przynajmniej z pewnej odległości — nie odróżnialiśmy się od innych uczennic, stojących namanhattańskim przystanku autobusowym: nowe bilety miesięczne w kieszeniach, podręczniki związane elastycznymi opas-

kami, włosy (w naszym przypadku dłuższe i spłowiałe od słońca) związane z tyłu białymi wstążkami, podkolanówki sięgające tej samej wysokości na obu nogach, a na samym dole granatowe półbuty z granatowo-białymi splatanymi sznurowadłami. Gdyby jednak ktoś przyjrzał się z bliska nam dwóm, dostrzegłby cieniuteńki retusz wokół oczu i warstewkę jasnej, niemal białej szminki na wargach. Wstążki rozwiązywałyśmy natychmiast po lekcjach, a potem wściekle rzucałyśmy głowami, żeby wprawić nasze włosy w artystyczny nieład. Mogłyśmy go szybko utrwalić lakierem Yardleya, który nosiłyśmy w kieszeniach razem z plakietkami „Make Love, Not War” i pudełkami zapalek.

Rankami, przed szkołą, zaczęłyśmy się z Jennie spotykać w The Pilgrim Cafe przy Madison Avenue, bo przez lato pracowicie rozwijałyśmy w sobie zamiłowanie do czarnej kawy, którą słodziłyśmy czterema łyżeczkami cukru. We wrześniu kupiłyśmy naszą pierwszą paczkę papierosów, a właściwie w automacie stojącym przy męskim WC w Pilgrim Cafe kupiła ją Jennie. Tareytony. Powiedziała, że się jej spodobały, bo facet z reklamy tej marki ma podbite oko. Miały również, jak stwierdziła, filtr węglowy; w ogóle zachowywała się tak, jakby była wielką ekspertką od palenia. Nasze pierwsze fajki zapaliłyśmy —posługując się zapalniczką Zippo, którą Jennie zwinęła z biurka ojca — w kruchcie kościoła oddalonego o parę kroków od naszej kafejki. Krztusiłyśmy się, spluwały i chichotały, a potem rzuciłyśmy się do ucieczki na widok czerstwoliciego księdza w powiewającej sutannie, który grożąc nam palcem pokrzykiwał, że to hańba palić w przybytku Bożym.

Pewnego piątku, mniej więcej miesiąc po rozpoczęciu roku szkolnego, wróciłam do domu i na chippendale'owskim biurku w naszym holu znalazłam list od Jimmy'ego. Leżał pod kwiecistą lampą Tiffany'ego, obok korespondencji ojca, którą matka otwarła już nożykiem o jaspisowej rękojeści. Listy ojca tworzyły idealnie równy stosik, list od Jimmy'ego leżał ukośnie i z boku, jakby odrzucony lekceważącym gestem. Otwierałam go właśnie, gdy usłyszałam stuk butów matki na marmurowej posadzce.

— Czy ten chłopiec wciąż do ciebie pisuje? Sądzę, że nie powinnaś zadawać się z żołnierzem, Emily. Rozumiesz, jest już mężczyzną — powiedziała kiwając głową. — Najlepiej będzie, jeśli zostawisz to wszystko za sobą.

Moja matka. Stała przy mnie ze swymi ciemnymi włosami upiętymi w surowy kok. Z makijażem tak doskonałym i dyskretnym, że wydawało się, iż nie ma żadnego makijażu. Z nienagannie wymanikiurowanymi dłońmi i półmatowym lakierem Revlon na paznokciach. Z ręcznie robioną jasnobrązową torebką pod pachą i takimiż pantofelkami na nogach. Zignorowałam ją i czytałam dalej, ale zaczęłam uciekać z listem w bok, żeby znalazł się poza zasięgiem spoglądających znad mego ramienia wścibskich oczu. Cóż mogła wiedzieć o miłości? Cóż mogła wiedzieć o mężczyznach? Ona i ojciec sypiali w osobnych pokojach.

Jimmy informował w liście, że ukończył szkolenie. Dołączył swoje zdjęcie pocztówkowego formatu. Jego ostrzyżone tuż przy skórze włosy przywiodły mi na myśl plastikową czuprynę mojego starego Kena. Jego oczy sprawiały wrażenie gniewnych i osadzonych zbyt blisko siebie. Jego wojskowa bluza była zapięta pod samą szyję. W prawym dolnym rogu zdjęcia, ukosem, jak gwiazdor filmowy składający swój autograf, nagryzmolił: „Dla Emily. Kocham cię, Jim”. Jim zamiast Jimmy, nie mogłam tego przegapić. List był krótki i nie zawierał informacji, kiedy Jimmy przyjedzie do domu. Patrzyłam na zdjęcie i myślałam: „Teraz mają go w swoich łapach”. Tak, pojęłam to ponad wszelką wątpliwość: był, zgodnie z podpisem wydrukowanym na dole, kapralem Jamesem Robertem Moranem i nie należał już do mnie.

Nie chciałam nikomu pokazywać tego zdjęcia, nawet Jennie. Szukałam na nim śladów dawnego Jimmy'ego, ale nawet w głębi jego obcych teraz oczu nie odkryłam najsłabszych śladów tego wszystkiego, co reprezentował sobą w poprzednim wcieleniu. Był żołnierzem. Świadomość, że w słowach mojej matki może się kryć żdźbło prawdy, wzbudziła we mnie złość. W niczym nie przypominał już chłopaków, z którymi ja i Jennie rozmawialiśmy na rogach

ulic czy w kawiarni. Długowłosych chłopców noszących paciorki i pseudowojskowe buciory, chłopców, którzy rozmawiając z nami garbili się zlekka i rozluźniali całą sylwetkę. Jimmy na zdjęciu był zły. Nie miał w sobie nic delikatnego ani chłopięcego.

— Boże — westchnęła moja matka, zerkając mi przez ramię na fotografię. — Prawdziwy z niego komandos, prawda? Nie chcę cię pouczać, zresztą nigdy mnie nie słuchasz. Ale uważaj, Emily. Ostrzegam cię, Emily. — Poklepała mnie po ramieniu, a przy okazji dźgnęła jednym z długich lakierowanych paznokci. — Czy ty mnie w ogóle słuchasz, Emily?

Skinęłam głową, choć w gruncie rzeczy nie zwracałam na nią uwagi. Czy nie pamiętasz, jakim jest uroczym chłopcem? — zapytałam w myślach. Przypomniałam sobie moment, gdy całował mnie pod oknem matki, a ona gwałtownym gestem zaciągnęła zasłonę.

— Nie jest prawdziwym komandosem — zaoponowałam. — To ojciec posłał go do wojska.

— Dajże spokój, Emily — powiedziała matka. — Jest, i to bez dwóch zdań. Tylko na niego popatrz.

Potem nie było już żadnych listów. Trzykrotnie pisałam na Parris Island i za każdym razem moje listy wracały ostemplowane z obu stron pieczętą „Zwrot do nadawcy”. Jakże mógł tak po prostu o mnie zapomnieć?

I wtedy, pewnego dnia w połowie października, zobaczyłam go. Stał pod moim domem, a właściwie opierał się o ścianę. Nosił zielonkawę spodnie, ciemną koszulę i brązową skórzaną kurtkę. Z początku ledwie go poznałam. Palił lucky strike'a, miał wyprostowaną sylwetkę i opuszczoną głowę.

— Emily! — odezwał się, gdy przed nim stanęłam. Ujął mnie za łokcie (trzymałam w rękach książki) i pochylił się, by mnie pocałować. Odwróciłam głowę, bo nie miałam pewności, co się dzieje. To nie tak miało wyglądać. Oszołomiona gapiłam się na niego: przez moment miałam wrażenie, że jego oczy jaśnieją, jak zawsze wtedy gdy zbiera mu się na uśmiech lub śmiech. Ale zaraz pomroczniały.

— Coś nie tak? — zapytał z miną człowieka, który właśnie usłyszał złe wieści. Zaciśnął usta.

Nie odpowiedziałam od razu, stałam tylko i patrzyłam na niego. W niczym nie przypominał chłopca, z którym w lipcu rozstałam się na stacji. Miał szorstką ogorzałą skórę, bardzo szeroki, zaczerwieniony u podstawy kark, wielkie łopaciaste dłonie, a na nogach czarne sznurowane półbuty. Stwierdził, że zachowuję się tak, jakbym zobaczyła ducha.

Co się stało, pytałam w myślach, z chłopcem o długich czarnych włosach, który małpując Jaggera śpiewał z kapelą *My Girl* i wyciągał palec w moją stronę? Co się stało z chłopcem w dżinsach i T-shircie?

— Jimmy! Dobry Boże—powiedziałam. — No, no, alez się zmieniłeś.

Odparł, że spodziewał się innej reakcji. Wyjął mi książki z rąk, położył na chodniku, a potem objął mnie ramionami w pasie i przyciągnął do siebie.

Gdy powodowana impulsem, by dotknąć jego sterzających włosów, pogłaskałam go po głowie, odsunął się, wyciągnął rękę i lekko szarpnął jeden z moich kolczyków z pacyfami.

— Przekłułaś uszy — powiedział ostro — i powiesiłaś sobie w nich te gówna.

Gówna? pomyślałam, ale nie odezwałam się ani słowem. Prześladowały mnie uwagi matki. Rzecznie w tym zresztą, że Jimmy stał się teraz i mężczyzną, i żołnierzem. Zastanawiałam się bezradnie, jakże chłopak, na którego czekałam całe lato, może tak wyglądać. Tak się zachowywać. Co oni z nim zrobili?

Powiedział, że z Parris Island przeniesiono go do Camp LeJeune w Karolinie Północnej, a swoje ostatnie listy wysłał do Old Greenwich. Nie zdawałem sobie sprawy, że już wróciłaś na Manhattan, stwierdził. Przykro mi, że ich nie dostałaś. Za dwa tygodnie mieli go wysłać do Camp Pendleton w Kalifornii, a stamtąd, kilka miesięcy później, do Da Nang czy jakiegoś podobnego miejsca. Potem oznajmił, że jedyne, czego pragnie przed wyjazdem, to kochać się ze mną. Pokręciłam głową.

— Nie mogę — odparłam. — Nie jestem na to gotowa.

Kłamałam. Byłam aż nazbyt gotowa, tylko że nie z żołnierzem w rodzaju Jimmy'ego Morana. Przez całe lato myślałam o pójściu z Jimmym do łóżka. Zastanawiałam się, jak to będzie, gdy poczuję jego szczupłe ciało przy swoim. Gdy jego długie czarne włosy spłyną na moją twarz. Pewnego wieczoru poruszyłam ten temat w rozmowie z Jennie, ona jednak zareagowała bardzo przyziemnie i — rzecz można — klinicznie. Powiedziała, że była świadkiem, jak jeden chłopak kupował prezerwatywy w aptece Pearla i że takie prezerwatywy trzeba sprawdzać pod światło, bo jeśli są dziurawe, można łatwo zajść w ciążę. Wtedy uciełam rozmowę, zbyt jak na mój gust osobistą, skoro naprawdę kochałam Jimmy'ego. Dla Jennie to był po prostu kolejny próg do pokonania. Obiecuj, że jeśli zrobisz to pierwsza, natychmiast dasz mi cynk, zachichotała.

Jakże jednak mogłam kochać się z kimś, kto moje kolczyki nazywał gównem i stał pod ścianą tak nienaturalnie prosto? Nagle jego listy wydały mi się fałszerstwami. Pomyślałam o tych żołnierzach z filmów wojennych, którzy tańczą z dziewczynami w jakichś pipidówach na Południu czy we włoskich miastach. Po raz pierwszy zadałam sobie pytanie, czy nie poznał takiej dziewczyny na którejś z przepustek i czy nie wylądował z nią w łóżku. Ponieważ zaś miałam szesnaście lat i nie wiedziałam, jak wytłumaczyć swoje opory, oświadczyłam, że jest ktoś inny. Tak postępowały dziewczyny w tamtych czasach — zawsze musiał być ktoś inny. Zrywasz z jednym, bo twoje serce zdobył drugi. Jak gdyby to w ogóle nie bolało tego pierwszego. W moim szesnastoletnim umyśle uznałam, że informacja o innym chłopaku będzie dla niego pigułką łatwiejszą do przełknięcia niż mętne wytłumaczenie, że on sam przestał być tym chłopakiem, którego kiedyś znałam. Może po prostu echem odbijały się w moich uszach słowa matki. Miałam przed oczyma jej dyskretnie uszminowane wargi, które wymawiają w zwolnionym tempie: „Ale uważaj, Emily”.

No więc powiedziałam, że podczas jego nieobecności poznałam innego chłopaka, straciłam cnotę, a listy pisywa-

łam nadal tylko dlatego, żeby pomóc mu przetrwać obóz szkoleniowy. Wtedy moja matka — wyobraziłam to sobie bardzo wyraziście — uśmiechnęła się i z aprobatą pokiwała głową.

Jimmy zbladł, stał się szarzielony, jakby cała krew odpłynęła mu z twarzy; tak — pomyślałam — wyglądała moja babcia na moment przed utratą przytomności. Potem wrócił mu rumieniec i Jimmy zapalił następnego papierosa, przy czym tak ciasno osłaniał zapałkę stulonymi dłońmi, iż uznałam za dziwne, że ich sobie nie poparzył. Zapałkę rzucił na chodnik, a paczkę lucky strike'ów wsunął do tylnej kieszeni spodni. Odrzucił głowę do tyłu, uderzając potylicą w mur (o którego istnieniu, jak sądziłam, zapomniał). Nie rozciął skóry, choć wedle wszelkiego prawdopodobieństwa powinien. Wyciągnęłam ramię, żeby sprawdzić, czy nie nabił sobie guza, ale odepchnął moją dłoń. Gdy spytał, jak mogłam mu to zrobić, tylko wzruszyłam ramionami, odwróciłam wzrok i odparłam, że nie było go strasznie długo.

— To do ciebie niepodobne, Emily — stwierdził. — Jak to jest, że nie do końca ci wierzę?

— Muszę już lecieć — powiedziałam. — Mam lekcje do odrobienia, no i będzie dzwonić mój chłopak.

— Nie kapuję, Emily — westchnął. — Nie mogę uwierzyć, że robisz coś takiego. Co w ciebie wstąpiło, Emily? Kim on jest?

Ścisnął moją rękę powyżej nadgarstka tak mocno, że pulsowały mi palce. Powtórzył, że niebawem wyjeżdża i nie wie, czy w ogóle wróci. Mówił coś o kursie obsługi technicznej śmigłowców, które nazywał hueyami, o tym, że jest kapralem, że ma świadectwo ukończenia gimnazjum, że walka za ojczyznę to ważna sprawa, a na koniec rzucił coś o wykańczaniu żółtków. Potem puścił moją rękę, uświadamiając sobie być może, iż ścisną ją za mocno, a następnie znów dotknął palcami moich kolczyków z symbolami pokoju. Strasznie się bałam, że wyrwie mi je z uszu.

Powiedziałam, iż jego rodzice mogliby skontaktować się z dowództwem piechoty morskiej i wyjaśnić, że doszło do poważnej pomyłki.

— Twój tata ma wpływ — mówiłam niemal błagalnie.
— Kontakty. Wróć do szkoły. Idź do college'u. Możemy nadal być przyjaciółmi.

Pokręcił głową, puścił moje kolczyki, skrzyżował ramiona. Patrzył mi w oczy, cały czas kręcąc głową, a wreszcie parsknął śmiechem. To nie był prawdziwy śmiech człowieka rozbawionego, lecz śmiech, który grzęźnie w gardle i wydobywa się na świat tylko częściowo. Ujął w dłonie mą twarz i tak jak tego lata powiódł grzbietem dłoni po moim policzku. Miał szorstką skórę.

— Hudson, ty po prostu nic nie kumasz, co? — zapytał. A kiedy zaczęłam coś mówić — po dziś dzień nie mam pojęcia, co to miało być — zwyczajnie odszedł. Chciałam za nim pobiec, przyznać się, że skłamałam. Wyjaśnić, że nie ma nikogo innego. Że nie było w minionych miesiącach chwili, kiedy nie zastanawiałam się, co robi i jak się czuje.

Pragnęłam mu powiedzieć, że mnie tylko trochę przstraszył. Może nawet powtórzyć ostrzeżenia matki i uzyskać zapewnienie, że się myliła. Że myślę o nim, gdy rano otwieram oczy i gdy wieczorem je zamykam. Że jego listy spoczywają pod moim łóżkiem w pudełku zawiązanym czerwoną wstążką. I że przez całe lato pragnęłam tylko jednego: aby wziął mnie w ramiona i przyrzekł wieczną miłość. Ale nie zrobiłam tego. Zamieniona w slup soli odprowadzałam go wzrokiem, gdy wyciągnięty jak struna szedł ulicą i znikał za rogiem. Nie obejrzał się ani razu.

Gdy zapłakana wróciłam do mieszkania, zadzwoniłam do Jennie, nie miała jednak wiele do powiedzenia, wcale mnie nie pocieszyła. Uznała, że postąpiłam właściwie, bo Jimmy ma prawdopodobnie jakąś chorobę weneryczną, ludzie się zmieniają i w ogóle. Bo najpewniej rząd poddał go praniu mózgu i po przyjeździe do Wietnamu Jimmy będzie strzelał do kobiet i dzieci, no wiec najlepiej o nim zapomnieć. I chociaż z całego serca chciałam uwierzyć, że w tym, co mówi Jennie, jest choćby szczypta prawdy, wciąż potrafiłam myśleć tylko o Jimmym, który samotnie szedł ulicą.

Jennie nic nie pojmowała. Jak mogła skreślić go tak szybko? Z drugiej strony, jak ja mogłam? Wciąż miałam

•

przed oczyma ten moment, gdy kręcąc głową, zwrócił się do mnie „Hudson”. Ponieważ tam, gdzie przebywał przez ostatnie miesiące, zapewne wszyscy mówili do niego „Moran” zamiast „Jimmy” i nikt nie wiedział, że potrafi śpiewać jak Elvis Presley i poruszać się estradowym krokiem Micka Jaggera.

Przesiedziałam przy telefonie całą noc, lecz nie zadzwonił. Kilka razy sama zaczęłam wykręcać jego numer, ale przerywałam przed siódmą cyfrą, bo nie wiedziałam, co chcę powiedzieć. Wiedziałam tylko, że wciąż go kocham, czy jest żołnierzem, czy nie.

Wyjęłam spod łóżka pudełko i rozwiązałam wstążkę; pamiętam, jakby to było wczoraj, że jedna łąza skapnęła na kopertę i rozmyła napisaną atramentem literę. Sięgnęłam po pierścionek z inicjałami JRM, zdarłam plaster z jego wewnętrznej części, wsunęłam na palec i doszłam do wniosku, że Jimmy zawsze musiał mieć duże dłonie. Przejrzałam fotografie. Potem odłożyłam pudełko, zdjęcia i pierścionek (ciekawe, że nigdy się o niego nie upomniałam), a wreszcie uznałam, że najwyższy czas przestać myśleć o kapralu Jamesie Moranie.

Ale nigdy nie przestałam. Ilekroć pokazywano w wiadomościach migawki z potyczek albo śmigłowce lądujące w dżungli, gorączkowo wpatrywałam się w ekran, szukając pod hełmami i kamuflażem jego twarzy. Kiedy pokazywano wyładunek okrytych flagami trumien, zadrećczałam się pytaniem, jak mogłam pozwolić mu wyjechać, nie mówiąc całej prawdy.

Nazajutrz rano matka przyniosła mi do pokoju białą bluzkę na drucianym wieszaku i granatowy żakiet z godłem szkoły. Bluzka była wykrochmalona, jej guziki wyglądały jak perły; strój — pomyślałam — idealnie pasujący do kogoś, kim w istocie byłam — do wymuskanej rozpierzschonej dziewczynki z prywatnej szkoły. Tego dnia malowałam oczy z wahaniem, bo wciąż miałam w uszach słowa Jimmy'ego: „wymazałaś oczy tym świństwem”. Ciągle potrafiłam myśleć tylko o nim, o tym, jak trzymał w dłoniach moją twarz, o tym, co czułam, gdy muskał mój policzek.

Śniadania prawie nie tknęłam. Widząc, jak skubię swoją grzanekę, matka spytała, czy miałam wieści „od tego młodego Morana”. Do dziś sędzę, że podkablował mnie odźwierny. Odparłam, że jest wysoce wątpliwe, czy jeszcze kiedykolwiek będę miała od niego jakieś wieści. Matka pozwoliła sobie na wąty uśmiech i bąknęła coś w rodzaju „tym lepiej”.

Gdy wróciłam do pokoju, żeby się uczesać, pospieszyła za mną. Stała za moimi plecami i przemawiała do odbicia w lustrze. Powtarzała swoją starą śpiewkę, że dziewczyny takie jak ja nie powinny zadawać się z żołnierzami oraz ludźmi jego pokroju.

— Czyli jakiego pokroju? — zapytałam prowokacyjnie, waląc szczotką do włosów w toaletkę. Odwróciłam się, unosząc szczotkę nad głowę.

— Zachowuj się, Emily — oświadczyła surowo moja matka. Potem wyniszczyła po raz kolejny, że Jimmy jest mężczyzną, a ja tylko młodą dziewczyną i że tacy faceci jak on mogą wprawdzie nieszczerze wyznawać miłość, ale chodzi im o jedno i nic więcej. Gdy zaczęła rozprawiać o darmowym mleku i kupowaniu krowy, jej głos zmienił się w mych uszach w nic nieznaczący szmer.

Ostatni napisany przez Jimmy'ego list przyszedł kilka dni później. Jimmy informował, że przyjedzie niebawem i że nie może doczekać się spotkania. Potem cytował słowa z piosenki *My Girl*, mówiące, że jestem jego promykiem słońca w pochmurny dzień. Nigdy nie pokazałam Jennie tego listu i razem z innymi włożyłam go do pudełka po butach. Trzymałam wszystkie listy i zdjęcia Jimmy'ego aż do ślubu z Peterem. Wtedy je wyrzuciłam — może w przekonaniu, że moje życie zaczyna się od nowa. Ale zachowałam pierścionek, który — zawinięty w bibułkę i wciąż lepki od plastra — spoczywa na dnie mojej szkatułki z biżuterią.

Nie lubię rozmyślać o tym październikowym dniu. Wolę wspominać listy Jimmy'ego i miesiące poprzedzające rozstanie na dworcu. Przez wiele, wiele dni po tym październikowym idąc do szkoły, oglądałam się za siebie. Nie dostrzegłam nikogo.

10

Jest na naszym strychu stary czarny kufer z trzema mosiężnymi zamknięciami na przodzie. Kiedyś, dawno temu, był jeszcze klucz, ale od jakichś dziesięciu lat kufer stoi niezaryglowany, Mimo to nikt go nie otwiera. Od czasu gdy Mary przeczytała Clancy książkę o starym kufrze babci, w którym dzieci znalazły stare suknie i ukwiecone kapelusze słomkowe, nasza córka nabrała wielkiej ochoty, żeby z przyjaciółmi pomyszkowac w naszym. Ale zabroniłem jej tego tak surowo, że przestała prosić o pozwolenie. Wzdrygnęła się na tę moją nietypową surowość, wyjaśniłem więc, że to nie taki kufer jak w książce, że wypełniają go papierzyska, które wcale nie są interesujące.

Kufer to relikwiarz pewnych szczególnych wakacji, które spędziłem pod namiotem na obozie. Miałem wtedy osiem lat. Daphne pozostała w domu, a ja, chociaż ruszyłem w drogę jak prawdziwy podróżnik — z własnym śpiworem, nowym sztormiakiem, latarką i taniutkim aparatem fotograficznym typu Krasnal — marzyłem tylko o tym, żeby pozostać z nią. Tego lata niemal każdej nocy moczyłem się w łóżku. Na szczęście opiekun był porządnym facetem i nigdy nie powiedział o tym innym dzieciakom. Mam wrażenie, że jak daleko sięga moja pamięć, rodzice zawsze gdzieś mnie wysyłali, ojciec zawsze robił ze mnie mężczyznę.

Gdy wiosną 1970 roku wróciłem z Wietnamu, wszystkie swoje wspomnienia spakowałem do tego kufra. Stare foto-

grafie i stare listy — z wyjątkiem listów od Emily. Bo wyrzuciłem je natychmiast po powrocie z Wietnamu. Kilka dni po rozmowie z Emily przejrzałem zawartość kufra — znalazłem swoje papiery demobilizacyjne, stare zdjęcia z tatą, jedno z Emily na plaży, jedno samej Emily w żółtym bikini, jedno z Daphne pierwszego dnia szkoły, wyróżnienie za zajęcie pierwszego miejsca w turnieju tenisowym na koloniach. Przędzę, z której kiedyś tkąłem marzenia.

Pamięć owych miesięcy spędzonych z Emily sprawiła, że zaczęły się we mnie rozpętać węzły przeszłości. Boże, od iluż lat unikałem jak ognia spoglądania wstecz. Ponowne pojawienie się Emily w moim życiu wymusiło na mnie podjęcie wędrówki, która to przejmowała mnie zdumieniem, że ciągle istnieję, to znów uświadamiała z wielką mocą, że moje losy nie potoczyły się tak, jak oczekiwali tego rodzice, gdy zabierali mnie — nieślubnego dzieciaka nastolatki — z St. Vincent's Hospital.

Bywają noce, kiedy bezsennie leżę w łóżku — obok Mary, czasem z Clancy pomiędzy nami — i czuję łomotanie w skroniach. Długo zwalczałem w sobie potrzebę rozmyślenia o Wietnamie. Nawet Mary, moja Mary wie bardzo niewiele o czasie, który spędziłem w Wietnamie. Uważała mnie zresztą i nadal uważa za bohatera, choć nigdy nie prosiła, bym pokazał jej swoje medale czy ordery. No i dobrze się stało, bo żadnych nie mam. Ale jest przekonana, że nadal, wprawdzie nie na ciele, noszę wiele blizn. Lecz i o nie nigdy nie pytała. Widziała jednak, jak bieleje mi twarz, a kark opływa potem, gdy w środku lata zaczynają wyć syreny zapowiadające nadejście tornada. Zawsze nienawidziłem tego dźwięku. Przenika mnie na wskroś. Czuję go w żołądku tak samo, jak w dzieciństwie czułem werble, gdy przyglądałem się paradzie z okazji dnia św. Patryka. Stałem z babcią na Piątej Alei za policyjnymi barierkami, a kiedy obok nas maszerowały doboszki, ich bębny wprawiały moje kiszki w taką wibrację, że musiałem przyciskać do brzucha obie ręce, aby uciszyć ów łomot. Syreny w Mobile dodatkowo przejmują mnie strachem, bo przywodzą na pamięć wrzaskliwe syreny alarmu przeciwlotniczego w Wietnamie.

Kiedy je słyszę, zastanawiam się, jaką część swojego przerażenia umiałem wtedy zamaskować.

Tuż po przybyciu do Chou Lai na dźwięk syren i okrzyk „Nadlatują!” nakładaliśmy hełmy, nurkowaliśmy do schronów i schylali się w taki sposób, jaki w swych krótkich instrukcjach zalecają stewardesy. Po jakimś czasie, przywykli do nalotów i zbyt naćpani, żeby się czymkolwiek przejmować, przestaliśmy się kryć. No więc nawet widząc, że jestem blady, spocony i oddycham z najwyższym trudem, Mary nie zadawała żadnych pytań. Nigdy nie powiedziała czegoś w rodzaju: „Dlaczego tak dziwnie wyglądasz, Jimmy? To przecież tylko tornado”. Albo: „Zaraz zrobię ci drinka i posiedzimy w piwnicy z Clancy”. Myślę sobie, że dawniej, na samym początku, musiała mówić takie rzeczy, tylko nie jestem pewien, czy przestała z własnej inicjatywy czy też na moje polecenie. Może nastąpiło to w chwili, gdy mnie objęła, aby uspokoić, a ja dałem do zrozumienia, że sobie tego nie życzę. Wstałem i ją odepchnąłem. Psychoterapeutka zapytała mnie kiedyś, dlaczego przeszkadza mi nadmierna bliskość innych. Nie udzieliłem jej odpowiedzi — odwołałem następną sesję i nie wróciłem już nigdy.

Ale oto Emily zadała mi przez telefon miliony pytań, jakby naprawdę przejmowała się moim losem. Jakby moje odpowiedzi naprawdę miały znaczenie. Może zresztą wcale się nie przejmowała, może miałem rację mówiąc, że chce ze mnie zrobić swojego królika doświadczalnego. Choć z drugiej strony uważała, by jak ognia unikać spraw wietnamskich, nawet wtedy gdy opowiedziałem jej o syrenach. W żadnej kwestii nie miałem pewności, ulegałem huśtawce nastrojów, pojawiło się we mnie znacznie więcej szarych stref niż zwykle, bo szukałem w nich spokoju ducha. Kursowałem w obie strony pomiędzy przeszłością a teraźniejszością. Niczego nie byłem pewien.

Wiedziałem, że wieczorem tego dnia, kiedy odbyłem pierwszą rozmowę z Emily, Mary wróci do domu, rzuci na sofę swoją kurtkę z kapturem i chwyci Clancy na rękę. Potem podejdzie do kuchenki, podniesie pokrywę garnka, głęboko wciągnie nosem zapach risotta i z tym swoim leciutkim

południowym akcentem, który tak kiedyś uwielbiałem, a który teraz przyprawia mnie o gęsią skórkę, powie: „Jimmy, to pachnie naprawdę super”. Wiedziałem, że podejdzie do mnie, żeby się przywitać, a ja cmoknę ją w policzek, utrzymując przy tym na odległość wyciągniętej ręki. Potrafiłem sobie wyobrazić wyraz jej twarzy — mocno zaciśnięte suche wargi, lekkie drżenie powieki — i odgadnąć, co skrywa: oczekiwanie odpowiedzi, której nie będę mógł udzielić. Nie będę mógł, bo nie będę miał żadnych odpowiedzi. Moje życie stało się groteskowo przewidywalne.

Najdziwniejsze, że w Chou Lai zanośliem modły, żeby dzień jutrzejszy zakończył się tak samo jak dzisiejszy, żebym przetrwał, pozostał przy życiu.

Kiedy Emily poprosiła, bym opisał swoją żonę, oświadczyłem, że jest piękna. Mary była kiedyś piękna. Pamiętam, jak się poznaliśmy. Pracowała jako kelnerka w przydrożnym zajeździe, do którego zacząłem wpadać po robocie na hamburgera, żeby tylko za nią zerknąć. Nie mogłem się napatrzeć — w swojej króciutkiej kraciastej spódniczce i obcisłym trykocie wyglądała jak cheerleaderka. Gęste ciemne włosy. Niebieskie oczy. Wilgotne usta. Miała dziewiętnaście lat. Nie wiem, kiedy przestałem odczuwać wobec niej to, co pewnie nadal powinienem odczuwać. Któregoś dnia spojrzałem najpierw na nią, potem na siebie i doszedłem do wniosku, że nie mamy już ze sobą wiele wspólnego.

Patrzę czasem na Mary i nie pojmuję, jakim cudem wylądowaliśmy ze sobą, i to jeszcze w Mobile. Jakim cudem życie może się tak pokręcić? Dlaczego Mary nie jest już taka jak kiedyś? Bywa, że krzątam się na dworze, splekuję taras, rozpalam grilla i oto wychodzi Mary w tych swoich weekendowych szortach oliwkowego koloru, pokrytej plamami trykotowej koszulce i przydeptanych brązowych pantoflach ze splekanymi podeszwami. Niekiedy ma w dodatku pokancerowane łydki i widok tych zaczerwienionych draśnięć z jakiegoś powodu przyprawia mnie o mdłości. Może dlatego, że pamiętam, jak bardzo dystygowanie i schludnie wyglądała w każdych okolicznościach moja matka, a może dlatego — ta myśl przyszła mi do głowy ostatnio, po

rozmowie z Emily — że powierzchowność Mary tak bardzo różni się od powierzchowności, jaką w wyobraźni przypisuję Emily. Bo w mojej wyobraźni elegancka promienna Emily płąsa w ogrodzie swojego wielkiego starego domu w Nowej Anglii i na pewno nie ma na łydkach zadrapań pozostawionych przez szczerbatą maszynkę do golenia, która zbyt długo leżała w wannie. Nagle ogarnia mnie złość, że wylądowałem w Mobile, w tym cedrowym domku. Może więc nie chodzi w tym wszystkim o Mary. Może nie mogę patrzeć na samego siebie.

Okazało się, że moje wspomnienia nie są tak mgliste, jak sądziłem zrazu, bo to ostatnie spotkanie z Emily przypomniałem sobie bardzo wyraźnie. Odszedłem od niej, a potem — tak mi się przynajmniej dotąd zdawało — byłem już w Memphis, w Bazie Marynarki Wojennej, i ćpałem jak najęty. Ale chyba zaczęło się to wcześniej, kiedy odszedłem od Emily i kupiłem tego skręta koło stacji metra. Jasne, paliłem trawkę przedtem, tyle że w innych okolicznościach. Nigdy nie robiłem tego w obecności Emily. Nigdy przy niej nie piłem. Ale paliłem w towarzystwie kumpli z klasy. Siadaliśmy w czyimś mieszkaniu i puszczailiśmy w obieg skręta. W tle Doorsi albo Hendrix. Siedzieliśmy w swoich wytartych dzwonach, my, synowie wyższej klasy średniej, podczas gdy nasi ojcowie podróżowali firmowymi odrzutowcami w towarzystwie żon — pierwszych, drugich i trzecich — albo kochanek. Przebywali w letnich posiadłościach albo w Europie. Paliliśmy i ciągnęliśmy tanie wino, mając nadzieję, że w poniedziałek rano nie nakryje nas sprzątaczką.

Skręt w dniu rozstania z Emily był inny. Kupiłem go od Portorykańczyka, który podając mi towar, niespokojnie rzucał oczami na boki. Byłem zupełnie sam.

Nie wyjechałem do Memphis natychmiast, zostałem jeszcze w mieście jakieś trzy tygodnie. Pewnego dnia wybrałem się do swojej starej szkoły. Idąc do wojska, ważyłem nie więcej niż sześćdziesiąt kilogramów, teraz miałem siedemdziesiąt, i to samych mięśni. Poprosiłem trenera futbolu, żeby pozwolił mi poćwiczyć z reprezentacją. Tego dnia nie było jednego z chłopaków, więc trener dał mi

jego strój i powiedział: „Przebierz się, Jimmy”. To, że nie zwrócił się do mnie „Moran” albo „Łasica”, wprawiło mnie w błogostan. Kiedy przebierałem się w szatni, chłopaki wprawdzie klepali mnie po ramieniu i mówili rzeczy w rodzaju: „Niekiepsko wyglądasz, Jimmy”, ale miałem wrażenie, że patrzą na mnie jak na dziwadło. Zdejmowali swoje traperki i adidas, ja rozwiązywałem sznurowadła półbutów ojca. Czuję sięennie. „Niekiepsko wyglądasz.” Pieprzenie w bambus. Ale na boisku dałem im popalić. No tak, opuszczałem szkołę jako chuderlawy małolat, wróciłem jako komandos. Byłem wredny. Grałem naprawdę ostro.

Żaden nie zapytał mnie o Emily Hudson, a ja wodziłem spojrzeniem po ich twarzach, zastanawiając się, który z nią sypia. Myślałem o tym, gdy którykolwiek z nich usiłował przytrzymać mnie na boisku. Śmietanka nowojorskiej młodziży płci męskiej i ja, gość z tego samego towarzystwa, który spieprzył sprawę tak fatalnie, że u szczytu konfliktu wietnamskiego wylądował w piechocie morskiej. Oni wszyscy usiłowali wykręcić się od Wietnamu, ja tam jechałem. Osobliwe, nawet mnie ta wojna nie jawiła się jako coś rzeczywistego, ale dla nich była ledwie czarną opaską lub znaczkiem przypiętym do kłapy marynarki.

Idąc do piechoty morskiej nie miałem pojęcia, w co się ładuję, jak katorżniczo ciężkie dla ciała i ducha jest szkolenie. Nikt nie ma pojęcia. Dopóki nie trafi do obozu i nie poczuje się bezgranicznie samotny. Najgorsze jednak, że jeśli nawet człowiek obłądnie tęskni, nie ma dla siebie dość czasu, by ocenić rozmiar owej tęsknoty. Szybko stałem się twardy. I bezduszny. O to zresztą chodzi. Chcą, żebyś był twardy, bezduszny i wredny, bo tylko wtedy byle kulka nie wytrąci cię z równowagi. Podczas ostatniego spotkania z Emily nie byłem sobą. Żyłem w przeświadczeniu, że mam prawo zażądać od niej wszystkiego, bo jutro mogę zginąć.

W bazie w Memphis spędziłem obok kilku tysięcy innych chłopaków mniej więcej pół roku. Byłem tam, kiedy zgładzono Martina Luthera Kinga. Przez kilka tygodni po skrytobójstwie utrzymywano nas w stanie podwyższonej gotowości bojowej, ale koniec końców pilnowanie porządku powierzono

no Gwardii Narodowej. Przez cały czas jednak miałem wrażenie, że wszyscy dookoła mnie umierają i może zaraz przyjdzie moja kolej. Ale najsilniejsze wspomnienie z tego okresu dotyczy burzy śnieżnej, która niespodziewanie nawiedziła Memphis w marcu. Kilka dni wcześniej poleciałem do Nowego Jorku po sporą działkę opiumowanej trawki, którą trzymał dla nas jeden kumpel Pottera. Spotkałem się z „łącznikiem” w pensjonacie nieopodal Port Authority, a potem wróciłem na lotnisko. Nie zwracałem sobie głowy odwiedzinami u starych. Od czasu do czasu wprawdzie przysyłał mi trochę forsy, ale nie potrzebowałam ich do szczęścia. Miałem żołąd, weekendowe przepustki i praktycznie darmowe bilety lotnicze. Wystarczyło wbić się w mundur wyjściowy i stanąć przy kasie. Wojo. Nazywali nas wolnymi ptakami. Byłem wolnym ptakiem.

Dotarłem do Memphis tuż przed burzą, która rozpętała się z całą mocą w niedzielę rano. Siedzieliśmy z Potterem w kępie magnolii kilkaset stóp od koszar i paliliśmy przywiezioną przeze mnie trawę. Dziwnie było patrzeć, jak gigantyczne płatki śniegu spadają na wielkie zielonolistne magnolie. Czuliśmy się jak rozbitkowie, mieliśmy wrażenie, że od koszar nie oddzielają nas setki stóp, lecz setki mil. Mieliśmy wrażenie, że jako jedyni ludzie na całym Bożym świecie wiemy cokolwiek na jakikolwiek temat. Potter zapytał mnie o Emily, ja wygłosiłem jakąś uwagę o „tej dziwce” i obaj ryknęliśmy donośnym śmiechem, odrzucając głowy do tyłu. Byłem rad, że śnieg zalepia mi twarz, bo dzięki temu Potter nie ma szans zorientować się, że do oczu podchodzą mi łzy.

Sześć miesięcy później kilkudziesięciu z nas skierowano do Kalifornii. Większość chłopaków poleciała samolotami, ale ja wyruszyłem samochodem — oprócz mnie był facet z Tupelo o nazwisku Quinn, Potter i wreszcie właściciel auta. Nie pamiętam, jak się nazywał, ale pochodził z Arkansas. Po drodze zrobiliśmy przystanek w Las Vegas, gdzie udaliśmy się wprost do burdelu. Zupełnie surrealistyczne przeżycie. Ledwie rok temu byłem z Emily na potańcówce u Świętego Bartłomieja. Kiedy zabierałem ją z mieszkania, pachniała cytrynami i szamponem jajecznym, miała na sobie króciutką

mini i bluzkę nad pępek. Jej tata uściśnął mi dłoń, *omiótł* szacującym spojrzeniem, a kiedy ze swojego pokoju wyszła Emily, błyskawicznie pokwapiliśmy się ku drzwiom, zanim zdążył powiedzieć coś kłopotliwego (Zabrakło materiału na tę spódniczkę, Emily? Gdzie podziałaś resztę ubrania?) i zanim matka surowo kiwając głową przypomniała o powrocie przed jedenastą. Zaczęliśmy się całować, ledwie odzwierny zamknął za nami drzwi, potem trzymając się za ręce szliśmy Piątą Aleją, potem puściliśmy się biegiem, żeby na przystanku dopaść autobus, potem ja z gestem wrzuciłem do kasy dwa żetony, Emily opadła na zielone plastikowe siedzenie, wyjęła z torebki szminkę, lusterko i zaczęła malować usta, a ja przechyliłem głowę w jej stronę, tak że lusterko pokazywało odbicia obu naszych tawrzy. Patrząc na siebie, zawsze będziesz widziała również mnie, Emily Hudson, powiedziałem i scałowałem z jej warg świeżą warstwę szminki. Gapili się na nas wszyscy pasażerowie autobusu.

No wiec byłem w burdelu z kobietami w siatkowych pończochach i czarnych podwiązkach, kobietami, które kładły sobie na usta tyle krwistoczerwonej szminki, że można by ją zdrapywać szpachlą. Dziesięć dolców za godzinę dymania, a ja myślałem tylko o Emily i facecie, którego nazwiska nie chciała mi podać. Quinn nie mógł wejść do burdelu. Quinn był czarny. Do tego burdelu nie wpuszczali czarnych. Quinn był dobry na Wietnam, ale nie dość dobry dla dziwek z Vegas.

Tak *to* wyglądało przez cały czas mojej kariery w piechocie morskiej: pieprzenie przez jedną noc obcych kobiet, którym na ogół musiałem płacić. W Camp Pendleton czekaliśmy na wyjazd do Wietnamu około dwóch tygodni. Jeśli wieczorami dostawaliśmy przepustki, braliśmy w kilku pokój w motelu i kupowaliśmy solidny zapas piwa. Czasem ściągaliśmy parę dziwek, ale na ogół siedzieliśmy sami do świtu, gadając o kobietach i tym wszystkim, co byśmy z nimi wyprawiali, gdyby tu były. Prawie żeśmy nie wychodzili z tego pokoju, który nad ranem cuchnął rzygowinami, potem i moczem. Z uczuciem, że ktoś kleszczami wyrywa mi żołądek z brzucha, patrzyłem po swoich kumplach — z wy-

jątkiem Pottera, pochodzącego z Bostonu, kmiotkach z Południa i południowego zachodu — i zadawałem sobie pytanie, jakim do cholery cudem nowojorski luzak mojego pokroju, którego kumple wciąż noszą flanelowe spodnie i granatowe marynarki albo studiują w jakimś elitarnym college'u, trafił do tej kalifornijskiej meliny i czeka na wyjazd do Wietnamu, gdzie bomba albo mina urwie mu pieprzone nogi.

Od przyjazdu do obozu szkoleniowego chciałem wrócić do domu, teraz to pragnienie było jeszcze bardziej rozpaczliwe. Na Pentagon maszerowali uczestnicy demonstracji antywojennych. Czysta kpina. Nieśli transparenty z napisami: CHOLERA, NIE, WZIAĆ NIE DAMY SIĘ. Tymczasem mój tyłek miał wylecieć w powietrze. A Emily ściągała flanelowe łąchy z jakiegoś faceta i zdierała plisowaną spódnice.

Gdyśmy po wyjściu z tego burdelu w Vegas podjęli podróż do Kalifornii, ktoś włączył radio i niczym w jakimś jebanym filmie rozległa się piosenka *Nowhere to Run*. A ja tak bardzo chciałem być na potańcówce z Emily, przytulać się do niej nawet, kiedy cichnie muzyka, i czuć się tak, jakby cała sala wolniutko wirowała wokół nas. Zamiast tego czekał mnie ostatni przystanek przed Wietnamem, w tej chwili zaś jechałem jakimś przerdzewiałym rzęchem należącym do faceta, którego zaledwie miesiąc temu po raz pierwszy w życiu ujrzałem na oczy. W miarę zbliżania się do wybrzeża narastało we mnie uczucie, że corazdalej i dalej pozostawiam za sobą życie, które dotąd znałem. Wiedziałem również, że takiego życia nie zakosztuję już nigdy.

/ÓŃ

U

Wkrótce po moim październikowym spotkaniu z Jimmym przez cały kraj przetoczyła się fala demonstracji antywojennych i nagle czarna opaska, jaką nosiłam na ramieniu, stała się czymś powszednim. Pięćdziesiąt tysięcy osób szturmowało Pentagon, w Chicago, Filadelfii i Los Angeles wybuchły zamieszki. Cassius Clay zmienił nazwisko na Muhammad Ali i odmówił podjęcia służby wojskowej. Granicę pomiędzy Stanami a Kanadą uszczelniono tak, że nawet mysz by się nie prześlizgnęła. W moim słowniku znalazły się nowe pojęcia: człowiek uchylający się od służby wojskowej z powodów religijnych, jastrząb, gołąb, dekwonik, dziecko-kwiat, hipis.

Tego października pojechaliśmy z Jennie metrem na Columbus Circle, gdzie od faceta sprzedającego kwiaty z wózka kupiliśmy wielki pęk różowych goździków, które później wręczałyśmy elegancko ubranym osobom „po trzydziestce”. Wypowiadałyśmy słowo „pokój” i pokazywały palcami znak pokoju, jakbyśmy nie były uczennicami nowojorskiego ogólniaka, lecz dwiema duszyczkami, które przybłąkały się tu z Haight-Ashbury. Gdy od czasu do czasu ktoś — dojrzała kobieta czy mężczyzna w trzyczęściowym garniturze — odpowiadał w taki sam sposób, uśmiechałyśmy się radośnie w błogim poczuciu, że oto zdołałyśmy dokonać kolejnego nawrócenia.

Wiosną spotykałyśmy się z przyjaciółmi przy Bethesda Fountain w Central Parku. Nosiłyśmy na ramionach haftowane czerwoną i purpurową przędzą torby z workowego płótna, w których do prasowanego tuszu firmy Maybelline, korektorów i landrynek dołączały zdejmowane przez nas na obrzeżach fontanny sandały Scholla. Matka powtarzała, że pod żadnym pozorem nie powinnyśmy ich ściągać, bo możemy złapać infekcję (z trudem wymawiała to słowo, nie całkiem pewna, co oznacza, choć bez wątpienia coś okropnego) od gołębih odchodów. Nie mam bladego pojęcia, skąd wiedziała, że zdejmujemy sandały, bez dwóch zdań jednak wiedziała. Utrzymywała również, że wyglądamy jak brudne hipiski, przy czym w jej słowniku przymiotnik „brudny” i rzeczownik „hipis” tworzyły związek frazeologiczny stały. Ale i tak było to lepsze niż określenie mojego taty.

— Oto moja córka Emily — powiedział przepraszającym tonem, przedstawiając mnie podczas pewnego przyjęcia.
— Uważa się za bitniczkę.

Powietrze wokół fontanny było słodkie od dymu ze skrętów, fajek zwykłych i — dla odważniejszych — wodnych. Często zajeżdżała karetka, żeby zabrać kogoś, kto z przedawkowania wiał się w konwulsjach na ziemi. Czasem było słyhać głębokie dudnienie bongosow, zawsze ktoś grał na gitarze akustycznej, zbierając datki do futerału i zawsze rozlegał się brzęk tamburynu. Siadywałyśmy z Jennie pod drzewem, zaplatałyśmy sobie włosy w warkocze i nawlekałyśmy paciorki. Pod koniec dnia płukałyśmy stopy w fontannie, nakładałyśmy sandały i wracały do domu na kolację. Wiodłyśmy podwójne życie: hipiski za dnia, młode damy wieczorem.

W tym czasie mój kuzyn Mike, student pierwszego roku na uniwersytecie Columbia, dzielił pokój z Barrym, synem żydowskiego dentysty, wielkim rozlazłym chłopakiem z Brooklynu, który lubił rozprawiać o swoich powiązaniach z partią komunistyczną i pladze maccartyzmu. Barry, z pełnym błogosławieństwem ojca, był aktywnym członkiem Stowarzyszenia Studentów na rzecz Demokracji i nie miał nic prócz wzgardy dla każdego, kto z własnej woli wyjechał

do Wietnamu. Mimo to, ulegając naleganiom Mike'a, spotkałam się z Barrym. Kiedy gestem Jimmy'ego zarzucił mi na ramiona swoją wielką łapę, odniosłam wrażenie, że przygniata mnie do ziemi worek kartofli.

Poszliśmy do The West End Cafe, z szafy grającej leciał jakiś kawałek The Band, Barry zamówił butelkę mateusa. Nigdy dotąd nie byłam na randce z chłopakiem, który zamawiał całą butelkę wina. Barry wyjął paczkę winstonów i poczęstował mnie papierosem. Oblałam się rumieńcem, gdy zapaliłam go od strony filtra, Barry zaś parsknął śmiechem. Jimmy by się nie roześmiał w takiej sytuacji, a jeśli nawet by się roześmiał, to jego śmiech byłby zupełnie inny niż wredny, sarkastyczny rechot Barry'ego. Potem Barry zaczął opowiadać o swoich kumplach, którzy wymigali się od wojska uykając do Kanady, następnie zaś o tych wszystkich, którzy się nie wymigali i teraz rozwalają w proch i pył wietnamskie wioski. Gdy wspominałam, że znałam kiedyś chłopca, który być może wyjechał do Wietnamu, Barry pokręcił głową i zapytał, jak ktoś przy zdrowych zmysłach mógłby się dać w to wmanewrować. Ponieważ żadnym ludzkim sposobem nie potrafiłabym wyjaśnić spraw pomiędzy Jimmym a jego ojcem ani też dostatecznie sugestywnie opowiedzieć o tym, jak zagubiony wydawał się Jimmy tamtego dnia na stacji, pozwoliłam Barry'emu perorować dalej. Wtedy zresztą widzieliśmy się po raz pierwszy i ostatni. Takich jak Barry jest legion. Szlachetniejszych, w swoim przekonaniu, niż Jimmy. Ale może przerażonych tak samo jak on.

Jennie poznała przy fontannie gościa o ksywce Shade. Podszedł do nas, gdyśmy nawlekały paciorki, a Jennie podarowała mu naszyjnik. Korale miłości dla ciebie, powiedziała ze swym najbardziej uwodzicielskim uśmiechem. Shade nosił czarne dzinsy dzwony i obszytą haftem jedwabistą czarną koszulę, tłuste długie włosy zwieszały się po bokach jego twarzy jak strąki. Na szyi miał pacyfę zawieszoną na przetartej skórzanej pleciance. Był znacznie starszy niż my, miał może koło dwudziestki. Oświadczył, że ma własne mieszkanie w Bronksie, pracuje w biznesie płytowym, zna

Laureę Nyro i Janis Joplin. Bez ogródek powiedziałam Jennie, że uważam go za łgarza, ale pewnego dnia Jennie rozstała się ze mną przy stacji metra na Columbus Circle i pojechała z Shade'em. I to był koniec Jennie. Nie w tym sensie, że przepadła na dobre — wróciła, by opowiedzieć mi, jak spędziła dzień w łóżku Shade'a, owinięta jedynie w połyskliwy pluszowy szal z długimi frędzlami, który Shade narzucił jej na ramiona, kiedy ją rozebrał. Jennie przekroczyła w końcu próg i triumfowała, że uporowała się zdziwictwem szybciej niż ja. Opowiadała, jak Shade zapalał kadzidełka na stoliku nocnym i jak w łóżku przekazywali sobie fajkę z rąk do rąk.

W środku wszystkiego, jeśli wierzyć Jennie, wróciła do domu matka Shade'a, uchyliła drzwi sypialni syna, wsunęła do środka srebrnowłosą głowę i zapytała, czy nie mieliby ochoty na zupę. Jennie klęła się na wszystkie świętości, że tak właśnie było. Matka Shade'a, drobniutka kobieta o kręconych siwych włosach, nosiła czerwony fartuch z kieszeniami na przodzie. Spytała, czy zjedzą po talerzu minestrone.

Kiedy Jennie opowiadała swoją historię, leżała na łóżku w mojej sypialni, wspierając głowę na dłoni, ja zaś po turecku siedziałam na podłodze. Obie miałyśmy już bardzo długie włosy, dłuższe niż do pasa, i pamiętam, że leżąc na boku Jennie przywodziła mi na myśl Lady Godivę. Podczas całej opowieści Jennie piłowałam paznokcie i robiłam to tak nerwowo, że w pewnym momencie niewiele z niego zostało. Nie potrafiłam patrzeć Jennie w oczy. Mówiła coś o nirwanie, a w pewnym momencie zerwała się gwałtownie, usiadła w pozycji lotosu i leciutko zetknęła ze sobą czubki kciuków i palców wskazujących obu dłoni. Oświadczyła, że Shade nauczył ją wdychać om. Głęboko zaczęła wciągać powietrze w płuca, układając wargi w „O”, co sprawiało, że wyglądała jak plastikowa lalka. W końcu nie mogła już wdychać dłużej i wtedy wyjęła ze swojej torby pokruszonego skręta. Tłem muzycznym tego wszystkiego był kawałek *White Rabbit* zespołu Jefferson Airplane. Nad moim łóżkiem wisiał plakat: dwie dłonie trzymające bukiet pastelowych kwiatów, a pod tym hasło MAKE LOVE, NOT WAR wypisane kredką.

— Odłóż duła, Jennie. Mama jest w domu — powiedziałam.

Wsunęła skręta do portmonetki.

— Miałaś wieści od Morana Marinera? — zapytała, sięgając na półkę po mój album ze zdjęciami. Zaczęła go kartkować i zatrzymała się w miejscu, gdzie była fotografia przedstawiająca mnie i Jimmy'ego na skałach Cypla Toda.

— Od października żadnych — odparłam, odwracając wzrok od zdjęcia. — Daj spokój, Jennie. Odłóż album. Nie chcę go teraz oglądać.

— Prawdopodobnie ma teraz w łapach swoją giwerę. M16 — stwierdziła z wyższością, odkładając album. — I strzela do niewinnych. Moran Morderca.

— Mówisz paskudne rzeczy, Jennie — odpowiedziałam, z wysiłkiem przełykając ślinę. Z trudem opierałam się pokusie, by ją wyprosić. Przychodziło mi do głowy, że w tym towarzystwie to Jimmy jest niewinny, a faceci pokroju Shade'a, mieszkający z mamuškami, które przynoszą im zupę, kiedy pieprzą dziewczyny, to cóż... najobrzydliwsze typki na świecie.

— Jak się Shade naprawdę nazywa? — zapytałam.

Odrzuciła głowę do tyłu i pisnęła:

— George Terrakis. Ale zamierza oficjalnie zmienić imię na Shade.

Jimmy odszedł, a teraz wymykała mi się również Jennie. Gdy zapytałam, czy mam jej oddać tomik Roda McKuena, odparła, że mogę go sobie zatrzymać, bo fascynuje się obecnie Ginsburgiem i Ferlinghettim.

— McKuen bywa nieco... infantylnie erudycyjny, nie sądzisz? — zapytała Jennie.

Czułam się tak, jakbym straciła dwójkę najlepszych przyjaciół. Zastanawiałam się, kto będzie teraz chodził ze mną pod fontannę, do Pilgrim's Cafe, na potańcówki u Świętego Bartłomieja. Bo Jennie już ich nie lubiła. Oświadczyła, że są dretwe.

Pod koniec wiosny chodziliśmy z Jimmym pod fontannę, w istocie tam się poznaliśmy. Strzelił do mnie spinaczem i trafił w pupę, kiedy przechodziłam obok z Jennie i kilkoma

innymi koleżankami. To Jimmy Moran, wyjaśniły mi dziewczyny. Udawaj, że nie zwracasz na niego uwagi. Jedzie do Wietnamu. Słowo „Wietnam” zmeły w ustach tak, jakby było obsceniczne.

Nie usłuchałam rady. Podniosłam spinacz z ziemi.

— Nazywam się Emily Hudson. Czy to należy do ciebie, Jimmy Moranie? — zapytałam, kładąc mu spinacz na dłoni.

— Bolało, nawiasem mówiąc.

— Czy chcesz się ze mną przespacerować, Emily Hudson? — spytał.

Ku zgrozie koleżanek (wszystkich prócz Jennie) i ku bezgranicznemu zdumieniu Jimmy'ego wyraziłam zgodę. Podeszliśmy do murka wokół fontanny, usiedliśmy i zaczęli gadać. Kiedy skończyliśmy, było dobrze po szóstej. Minał czas kolacji. Odprowadził mnie do domu, trzymając za rękę, a potem każdego dnia czekał na mnie pod szkołą i pomagał nosić książki. O piechocie morskiej wspominał sporo później, gdyśmy siedzieli przy fontannie. Udawałam, że nic o tym nie wiem. Nie chciałam, by się zorientował, że jest obgadywany. Gdy zapytałam, czy sądzi, że pojedzie do Wietnamu, odparł, że woli o tym nie myśleć. Nie wie. Przestałmy o tym mówić, powiedział patrząc przed siebie.

Uderzyło mnie dopiero niedawno, że ostatnich dni przed wyjazdem do wojska Jimmy nie spędził z rodzicami. I że nigdy nie zaprosił mnie do swojego domu, że nigdy nie poznałam jego rodziców ani Daphne. Słyszałam od ludzi, że jego siostra jest ładna, rudowłosa i skryta, ojciec mógłby uchodzić za gwiazdora filmowego, a matka przypomina Avę Gardner. Nigdy jednak nie pytałam, dlaczego mnie z nimi nie poznał. Wyczuwałam w Jimmym obawę, iż mogliby mu przynieść wstyd czy też w inny sposób do niego zniechęcić. Wyznał mi prawdę dopiero przedwczoraj: nigdy nie wiedział, czy są akurat pijani czy nie. Wstydził się zabrać mnie do siebie.

Wiedziałam, że przy okazji spacerów pod fontannę Jimmy pali trawkę. Czasem z Chrisem i Steve'em znikał za hangarem na łodzie, a kiedy wracał, jego oczy miały czerwone obwódki. I wiedział, że ja wiem. Ale nie chciał mnie

skłaniać do niczego, na co sama nie miałabym ochoty. Kiedy ktoś proponował półzartem, żebym sztachnęła się chociaż raz, kazał mu się zabierać takim tonem, że nie było mowy o żadnej dyskusji. Jimmy był zagadką dla wszystkich. Przejmował strachem nawet chłopaków w rodzaju Chrisa i Steve'a, którzy uważali się za jego przyjaciół.

O Jimmym krążyło wiele historii. Najczęściej słyszałam, że ostro pije. Niektóre dziewczyny utrzymywały, że odprowadziwszy mnie pod dom, natychmiast pędzi do Finna i pochłania tam kolejkę za kolejką. Pub Finna. Sprzedawano tam alkohol nieletnim, bo właściciela krył jego ojciec — sędzia. Ponoć Jimmy wdawał się u Finna w bójkę i brał kwas w męskiej toalecie. Te same dziewczyny, które raczyły mnie tymi informacjami (uzyskanymi jakoby od starszych chłopaków z drużyny futbolowej), słały mi zawistne spojrzenia, kiedy spotykałam się z Jimmym pod szkołą. Nigdy nie dostrzegłam w nim żadnych ciemnych stron. Podobała mi się jego powierzchowność. Był wysoki i szczupły, miał wydatne kości policzkowe. Kiedy się uśmiechał, jego oczy przybierały zabawny wyraz — jakby był stropiony tym, co zobaczył, albo bezgranicznie zdumiony. Czasem niemal zupełnie znikają. Jimmy lubił bardzo powoli gładzić mój policzek grzbietem dłoni i zaczesywać mi włosy za ucho. Zawsze potem brał głęboki oddech i mówił: „Kocham cię, Emily Hudson”.

Odpowiadałam, że też go kocham i wtedy zaczynał mnie całować. Potrafiliśmy się całować całymi godzinami.

Niekiedy rozmawialiśmy o jego przyjeździe do domu po zakończeniu szkolenia, ale robiliśmy to dosyć rzadko, zdając sobie sprawę, że zaraz potem znowu będzie musiał wyjechać. Już wtedy uznawałam za niesprawiedliwe, aby w tak młodym wieku być tak niepewnym własnej przyszłości, gdy wszyscy inni mają przynajmniej pewność, że ta przyszłość będzie im dana. To niezwykle i straszne zdać sobie sprawę z własnej śmiertelności, gdy rówieśnicy trwają w przekonaniu, że będą żyć wiecznie.

Przy Jimmym miałam wrażenie, że na świecie nie ma nikogo prócz nas. Prawdopodobnie po raz pierwszy i ostatni w życiu czułam się zupełnie bezpieczna, chociaż prześlado-

wały nas demony wojny, którą aż do tego momentu znaleźliśmy tylko z telewizji. Miałam nadzieję, że nie było złą wróżbą coś, co nas spotkało pewnego wieczoru, gdy ścieżką oświetloną przez kuliste lampy ogrodowe szliśmy wzdłuż East River.

Księżyc wisiał na niebie jak olbrzymi miedziak, osobliwie skontrastowany z reklamowym neonem Pepsi na drugim brzegu rzeki. Słyszałam za sobą kroki. Spoczywająca na moim ramieniu ręka Jimmy'ego osuwała się w tym momencie w dół, ku talii, bo Jimmy chyba zamierzał mnie pocałować. Odwróciłam głowę i zobaczyłam wysokiego chudego mężczyznę. Miał na głowie ciemną czapkę narciarską, chociaż noc była upalna. Chwyił mnie za ręce. Zza jego pleców wyskoczyło dwóch innych krępych facetów, jeden przytrzymał Jimmy'ego, wykręcając mu ręce do tyłu w taki sposób jak policjant aresztujący przestępcę, a drugi władował Jimmy'emu pięść w podbrzusze. Potem ten pierwszy zwolnił na chwilę uchwyt, złapał Jimmy'ego za włosy, odciągnął jego głowę do tyłu i znów, jeszcze mocniej niż poprzednio, złapał za ręce. Drugi walił raz za razem — w brzuch, pierś, twarz — aż z rozbitych warg i nosa Jimmy'ego na koszulę zaczęła skapywać krew. Jimmy wydawał z siebie tylko jęki i stęknienia, w pewnym momencie byłam pewna, że stracił przytomność, ale wtedy wychrypiął gardłowo: „Uciekaj, Emmie”.

Nie mogłam uciekać, bo byłam przytrzymywana. Zresztą i tak bym go nie zostawiła. Weź mój portfel. Puść mnie. Jest w torebce. Puść mnie. Wrzeszczałam na całe gardło. Błagam, błagam, błagam, przestańcie go kopać. Wtedy rozległy się kroki i napastnicy uciekli — z moim portfelem. Chwilę później ukazała się jakaś para. Kiedy nasi mimowolni zbawcy zobaczyli Jimmy'ego leżącego na ziemi, przerażeni uciekli również. Zignorowali moje błagania o pomoc.

Jakoś zdołaliśmy zejść z promenady. Miałam zakrwawioną kurtkę, bo Jimmy opierał głowę na moim ramieniu. Dobrnęliśmy do Finna, tam barman dał mi kilka serwetek i garść kostek lodu w ścierce, a potem kazał zmykać. Pewnie mieli w tej knajpie aż nadto własnych problemów. Jimmy czekał na mnie, siedząc na krawężniku. Wzdrygnął się, gdy

przyłożyłam mu do ust prowizoryczny kompres. Poszliśmy do mojego mieszkania. Jimmy wspierał się na moim ramieniu, od czasu do czasu ugiwały się pod nim nogi, przystawaliśmy więc, żeby mógł zebrać siły. Na nasz widok ludzie przechodzili na drugą stronę ulicy, potem spoglądali przez ramię, szeptali coś do siebie, zasłaniając dłońmi usta. Odzwierny wpuścił nas na górę dopiero wtedy, kiedy przez domofon uzyskał na to zgodę.

W kuchni obmywałam Jimmy'emu twarz, przyłożyłam do niej nowy kompres z czystej ścierki i lodu. Potem na chwilkę zasnął w salonie, a ja siedziałam na podłodze przy fotelu, ściskając dłoń Jimmy'ego, która sprawiała wrażenie martwej. Matka chciała zadzwonić do jego rodziców, kiedy jednak stanowczo się temu sprzeciwił, wróciła po prostu do łóżka, mamrocząc pod nosem, że ta cała historia z Jimmym i jego rodzicami jest strasznie zastanawiająca.

Około trzeciej nad ranem Jimmy wstał i oświadczył, że wraca do domu. Ale poszedł nad East River, dowiedziałam się o tym od Chrisa kilka dni później. Jimmy powiedział Chrisowi, że chce odnaleźć facetów, którzy zrobili mi coś takiego. Mnie. Niemi nie zrobili, Jimmy jednak uznał, że to ja zostałam najbardziej pokrzywdzona. Chodził nad rzekę przez tydzień, aż wreszcie mu to wyperswadowałam.

— Wiem, gdzie chodzisz, Jimmy — powiedziała pewnego razu, gdy odprowadził mnie pod dom. Czułam, że tego dnia mnie posłucha. — Wiem od Chrisa i Steve'a. Proszę, nie chodź tam więcej.

Wtedy gładząc dłonią mój policzek, obiecał, że już więcej nie pójdzie.

— Daj słowo — poprosiłam.

— Słowo — odrzekł.

Pochylił się, żeby mnie pocałować. Miał wciąż obolałe i obrzękłe usta.

— Któż by pomyślał, że całowanie ciebie może sprawiać ból?

Próbował się uśmiechnąć, ale nie pozwoliły mu na to opuchnięte wargi.

Byli ludzie, którzy nie wierzyli, że padliśmy ofiarą napadu, sądzono, iż Jimmy wdał się po prostu w jakieś mordobicie. Krażyły pogłoski, że kiedy przy St. Mark's Place kupował narkotyki od diler, ten stłukł go kolbą pistoletu, gdy Jimmy wyznał, że nie ma pieniędzy. Podeszła do mnie w szatni jego dawna sympatia. Jimmy Moran wpędzi cię w kłopoty, zobaczysz, powiedziała, machając mi wieszakiem przed nosem. Ale nikt nie znał go lepiej niż ja, nikomu innemu nie pozwolił poznać się lepiej.

Mogę się szczerze przyznać, że myślałam o Jimmym nawet w dniu ślubu, który ja i Peter braliśmy w klubie golfowym nad morzem. Ot, kolejnym letnisku wynajętym kolejnego lata przez moich rodziców. Gdy na otwartym powietrzu składaliśmy przysięgę małżeńską, spoglądałam na Cieśninę (świadoma już, że to cieśnina Long Island, nie zaś otwarty ocean) i rozmyślałam o tamtym lecie, kiedy miałam szesnaście lat, ale nieomal zdołałam przekonać samą siebie, że wszystkie dziewczyny miewają w dniu swego ślubu podobne myśli. Wspominają pierwszą miłość i wierzą, że uczucie, jakie wzbudzały w nich pocałunki pierwszego chłopca, nie powtórzy się już nigdy.

Nie znałam bardzo wielu weselnych gości, w dużej części krewnych i znajomych moich teściów. Mężczyźni z tłustymi od przekąsek dłońmi i kropelkami sosu koktajlowego na wargach klepali Petera po plecach. Mocno wyperfumowane kobiety z nierówno uszminekowanymi wargami całowały mnie w policzki i witały w rodzinie. Żałowałam, że wzięliśmy z Peterem ślub, życie na kartę rowerową miało w sobie znacznie więcej prywatności.

— Spróbuj zmienić wyraz twarzy, Emily — wyszeptała moja matka, uśmiechając się tak promiennie, jakby prawiła mi czułości. — Uważaj, Emily.

Pamiętałam, że powiedziała coś w tym stylu, kiedy przyszedł od Jima ostatni list.

No więc stałam w uszytej z koronek z Alencon ślubnej sukni mojej babki, radośnie zarumieniona przyjmowałam gratulacje i życzenia i wspominałam Jimmy'ego. Płażę. Wiatr poruszający latem gałęziami drzew. Ten ostatni październik

nikowy dzień. Jennie i Shade'a. Czytanie McKuena i chowanie sandałów do toreb z workowej tkaniny. Spojrzałam na wszystkich tych ludzi skupionych wokół stołu pełnego przekąsek, na mężczyzn porozumiewawczo ściskających ramię Petera, jakby chcieli powiedzieć: „To dziś w nocy, brachu”, i pomyślałam o dniu, w którym straciłam dziewictwo, niemal pragnąc zrelacjonować to wydarzenie wszem wobec i każdemu z osobna.

Pewnie rok z okładem po ostatnim spotkaniu z Jimmym zaczęłam chodzić z jego przyjacielem Steve'em. Kiedy chłopcy mówili: „Steve biega z dziewczyną Jimmy'ego”, zastanawiałam się, czy przypadkiem nie wiedzą, że naprawdę wciąż chcę być dziewczyną Jimmy'ego. Ale tego dawnego Jimmy'ego.

Steve był dość sympatyczny. Miał rozwiedzionych rodziców, a jego ojciec mieszkał w East Village. Pewnego wieczoru pojechaliśmy tam metrem, po drodze zaś Steve kupił butelkę jabola. Ojciec Steve'a mieszkał w szaroburym kamiennym budynku z ciężkimi, oszklonymi i okratowanymi drzwiami, które otwierało się kluczem. Za nimi był przedsionek, a w nim pięć mosiężnych skrzynek na listy opatrzonych numerami lokali. Mieszkanie ojca Steve'a było na trzecim piętrze. W mahoniowej sypialni królowało łóżko zdobione wolutami, na białej, mocno naciągniętej pościeli leżał miękki niebieski koc. Nie jestem pewna, jak do tego doszło. Może za sprawą wina, a może dlatego, że Steve był przyjacielem Jimmy'ego. Steve puścił płytę Joni Mitchell; musiała mu drzeć ręka, bo igła zgrzytnęła o winyl. No i zanim się połapałam, na prześcieradle wykwitła plama krwi, a Steve niósł z kuchni wodę z mydłem.

— Jezu, Emily, lepiej to wyczyść, zanim tata wróci do domu — powiedział zaczerwieniony i zdenerwowany.

A ja byłam zawstydzona i wściekła, że mój pierwszy raz był tak łatwy dla niego i tak okropny dla mnie. Wciąż miałam przed oczyma twarz Jimmy'ego. Jimmy na pewno nie kazałby mi szorować pościeli — upewniłby się najpierw, że ze mną wszystko w porządku, a potem wziął ojca na stronę i przekonał go, by mnie nie wprawiał w zakłopotanie.

To była moja ostatnia randka ze Steve'em. Widywaliśmy się później od czasu do czasu i nie było pomiędzy nami złej krwi. Ja potrafiłam myśleć tylko o tym, że gdyby Jimmy wiedział, co stało się tego wieczoru, byłby boleśnie zraniony i niczego by nie zrozumiał. Bo jakże miałby zrozumieć, skoro nie rozumiałam ja sama?

12

Kiedy rano otworzyłem oczy, najpierw pomyślałem o Emily. Obudziłem się zdezorientowany, tak samo jak to bywało w obozie szkoleniowym. Nie wiedząc, jaki mamy dzień, gdzie jestem, skąd się tu wziąłem. Pragnąłem tylko zamknąć oczy i śnić: o przeszłości. O przyszłości. Odrzucać od siebie to, co stało się moją teraźniejszością.

Wieczorem kołysałem się do snu wspomnieniami, ale w pewnym momencie, już nad otchłaniem snu, wzdrygnąłem się i przypomniałem sobie, że mam czterdzieści osiem lat i nie jestem już zakochanym siedemnastolatkiem.

Rankami słyszę, jak w kuchni Clancy i Mary stukają garnkami, ale wciąż leżę w łóżku, nie otwierając oczu. W górę schodów żeglujecie śniadaniowy zapach kiełbasek i naleśników. Gwiżdże czajnik. Wiem, że Clancy siedzi przy stole, a jej kubek z księżniczką Jasmine stoi na plastikowej podkładce z wielobarwną mapą Stanów. Wiem, że Clancy czeka, aż zejdziesz na dół i pokażesz jej na mapie wszystkie miejsca, które odwiedzimy pewnego dnia, lecz mimo to nadal leżę w łóżku, usiłując jednocześnie pamiętać i zapominać.

Wciąż pamiętam zdarzenia, o których, jak mi się zdawało, zapomniałem. Wydarzenia z czasów, które nadeszły po owym dniu, gdy Emily porzuciła mnie na tamtym nowojorskim rogu. Na przykład dotyczące faceta o imieniu Ward, którego poznałem w Pendleton Beach na krótko przed tym, jak wysłano mnie do Wietnamu. Otóż ten Ward był zu-

chwałym gościem i wrednym sukinsynem. Pewnego dnia po prostu wlaź do gabinetu komendanta bazy, rzucił mu na biurko działkę gandzi, kazał się pieprzyć i oznajmił, że nie ma zamiaru jechać do Wietnamu. A potem najzwyczajniej zwiął.

Zamelinował się ze swoją dziewczyną, Lainie, w położonym opodal bazy motelu w Huntington Beach; kilkakrotnie odwiedzałem ich tam w weekendy, będąc na przepustce, a pewnego razu nie wróciłem do bazy, bo Ward zaznajomił mnie z belladoną. Naćpani poszliśmy z Wardem do sali bilardowej i chyba spędziliśmy w niej całą dobę. Ward wykładał dychę za dychą, graliśmy w bilard i goliliśmy teąuilę. Kilka dni później machnęliśmy się do Tijuany, zdobyliśmy trochę nowego towaru i znów zapuściliśmy korzenie w sali bilardowej, tyle że tuż za granicą meksykańską. Codziennie braliśmy kwas, a później olbrzymie ilości witaminy C, o której ktoś Wardowi powiedział, że usuwa zanieczyszczenia z organizmu. Byliśmy szaleni.

Potem Wardowi przyszedł do głowy pomysł, żeby wziąć „na krótko” zielonego garbusa parkującego pod supermarketem i dopiero wtedy naprawdę całą trójką ruszyliśmy w trasę — z południowej Kalifornii do San Francisco. Kradliśmy karty kredytowe i zatrzymywaliśmy się w hotelach sieci Holiday Inn; w pewnym momencie postanowiliśmy wpaść do położonego na północ od San Francisco miasta Woodland, w którym mieszkali rodzice Warda. Ward wdał się z ojcem w bójkę na pięści, a ja dostałem mdłości widząc, jak wymierzają sobie ciosy i robią uniki. Ward był wyższy niż ojciec, ale jego ojciec miał jeszcze wredniejsze oczy niż Ward. A matka Warda, choć była prawdopodobnie w moim obecnym wieku, sprawiała wrażenie stuletniej staruszki. Potem Ward wszedł do domu, z szuflady matczynej bielizniarki skradł plik forsy, a w końcu wsiedliśmy do samochodu i odjechali. Było dla mnie nie do pojęcia, że ktoś taki jak Ward (prawie dwa metry wzrostu i przeszło sto kilo żywej wagi) może się tłuc z własnym ojcem.

W Reedsport w stanie Oregon obrabowaliśmy całodobowy sklep przy stacji Esso. Rzecz okazała się łatwiutka,

zrobiliśmy swoje pewnego dnia tuż po północy, kiedy w środku było tylko dwóch klientów. Ward zawsze miał coś na kształt planu: rozgryzał ten sklep przez kilka dni, wszedł do niego raz, żeby rozmienić pieniądze, przy innej okazji prosił o poradę w sprawie oleju silnikowego i pytał o miejsce, gdzie mógłby kupić przyzwoity używany samochód. Krytycznej nocy poszedł z bronią, a ja czekałem w aucie. Lainie była w motelu odległym o jakieś pięć mil. Wiedziałem, co Ward zamierza zrobić — wystrzelił w powietrze, a kasjer wręczył mu papierową torbę z forszą. „Mniej więcej tauzen”, stwierdził Ward. Potem spokojnie wyszedł, wsiadł do volks-wagena i odjechaliśmy.

W pobliżu motelu porzuciliśmy garbusa i z parkingu ukradli następny wóz. Lainie o nic nie pytała; sądzą, że kochała Warda tak mocno, że nawet nie chciała wiedzieć. Sądzą, że gdyby nawet kogoś zabił, znalazłaby dla jego postępków jakieś usprawiedliwienie. Jeżeli chodzi o mnie, cóż, czułem się tak, że gdyby ktoś przyłożył mi spluwę do skroni i pociągnął za spust, byłbym mu za to wdzięczny.

Ward stał się dla mnie kimś w rodzaju guru, uległem jego charyzmie. I szaleństwu. Jego zdolności mieszania mnie z błotem i rozstawiania po kątach w taki sam sposób, jak mieszał z błotem i rozstawiał po kątach Lainie. Okazywałem mu niemal ślepe posłuszeństwo, bałem się go śmiertelnie i jednocześnie podziwiałem. W pewien szczególny sposób Ward wychowywał mnie, karmiąc to belladoną, to witaminą C, która oczyszczała mój organizm. Bardzo pragnąłem być tam, gdzie moje właściwe miejsce, a przez miesiąc pobytu z Wardem on mi te miejsca wskazywał.

Pamiętam noce, które spędzałem w jednym pokoju z Lainie i Wardem. Późnym wieczorem, kiedy dochodzili do wniosku, że już śpię, brali się do roboty. A ja leżałem cichutko. Nie przeszkadzało mi to, co robią; rzecz w tym, że ja też chciałybym z kimś być. Ale chciałem być z tym kimś we właściwy sposób, nie tak jak Ward, który naćpany prawie do utraty zmysłów pieprzył swoją Lainie w jakimś szmatławym motelu. Poza tym odgłosy ich tarła wytręcały mnie z równowagi, bo miałem wrażenie, że Ward niemal

się przede mną popisuje. Przy czym seksualnością Warda czułem się zagrożony w równym stopniu jak własną. Dobry Boże, miałem zaledwie osiemnaście lat, moje życie wypełniało aż nadto wiele niepewności, a Ward tylko mi ich przysparzał. Nie wiedziałem, kim właściwie jestem.

Wróciłem do Camp Pendleton tydzień po rabunku na stacji Esso. Po prostu wmaszerowałem na teren obozu, nie próbując zataić, że byłem na samowolce. Ale miałem dość. Po rabunku zacząłem przeczuwać, że jeśli pozostanę z Wardem, będę zniewolony w takim samym stopniu, w jakim według mnie zniewolona była Lainie. Obóz był mi niezbędny w szczególny sposób — potrzebowałem organizacji. Poczućcia bezpieczeństwa. Jasno wyznaczonych granic. Ward był uosobioną anarchią. Swoistym ekstremum. Zawsze i wszędzie lądowałem w położeniu autsajdera, ale zdawałem sobie sprawę, że zostając z Wardem, skazuję się na samozagładę, bo w końcu jak długo można balansować nad przepaścią? Potrzebowałem jakiejś siły, która mnie powstrzyma. Wizja lufy wciśniętej pod brodę stawała się dla mnie aż nazbyt ponętą.

Wsadzili mnie do ciupy, ale nie na długo: kilka dni później zostałem wyekspediowany do Wietnamu. Pudło to przy Wietnamie piknik, stwierdzili wartownicy. Wietnam mnie otrzeźwi.

Mniej więcej pół miesiąca po telefonie Emily po raz dwudziesty nadeszła rocznica mojego ślubu, a Mary zarezerwowała stolik w restauracji zwanej U Carla, gdzie ludzie z naszych stron zwykle świętują rozmaite okazje. W pierwszej sali są stoliki przykryte białymi obrusami, które przed ubrudzeniem chroni szkło; kelnerki zmieniają tylko papierowe serwetki po uprzednim wymyciu szklanych blatów pianistym różowym płynem i wytarciu ich wilgotnymi-ścierkami. Ozdobę stołów stanowią przykurzone różyczki w pękatach wazonach i świece pływające w szklanych misach. Beżowe panele podwieszanego sufitu zasłaniają w pewnym stopniu przyczepione do nich kwiaty z jedwabiu.

W dniu naszej rocznicy Mary poszła do fryzjera, a potem nałożyła obszerną spódnicę w kwiaty, szafirową jedwabną bluzkę marszczoną przy szyi, a do tego sznur pożółkłych pereł należących kiedyś do mojej matki. Kiedy zasiedliśmy już przy stoliku, a ja wznosząc kieliszek powiedziałem żartobliwie: „Malańka, wyglądasz tak, że oczy bołą patrzeć”, Mary tylko uśmiechnęła się blado. Było jasne, że nie mam serca do świętowania. Kiedyś Mary wypytywała mnie, dlaczego przestałem się z nią kochać. Zawsze znajdowałem miliony wymówek — że jestem zbyt zmęczony, trochę przygnębiony, że martwi mnie stan naszego konta w banku. I pewnego dnia po prostu przestała pytać.

Tego wieczoru trochę sobie podchmieliła. Wypiliśmy wprawdzie butelkę szampana, ale sądzę, że dopełnił miary likier miętowy, który zamówiła sobie do kawy. No i zaczęła mnie pouczać (tak to przynajmniej odebrałem), że powinienem wreszcie zacząć zarabiać więcej i że to ona powinna siedzieć w domu, opiekując się Clancy. I ewentualnie pracować gdzieś na pół etatu, tak jak ja w tej chwili. Rzecz nie w tym, co mówiła, bo mówiła z sensem, ale jak mówiła. Mówiła zaś w taki sposób, w jaki przemawia się do cudzoziemca słabo znającego angielski — donośnie i z przerwami. Z każdym wykrzyknikiem jej głos stawał się coraz bardziej piskliwy, a południowy akcent coraz mocniej skrzyphiał mi w uszach. Wyprowadzała mnie z równowagi, powtarzając co chwila: „Słuchasz mnie, Jimmy? Skąd mam wiedzieć, że słuchasz, skoro nie raczysz odpowiadać? Jimmy? Jimmy?”. Wreszcie grzmotnąłem pięścią w stół tak mocno, że waza z różyczkami przewróciła się na miskę ze świecami, które zalane wodą spod kwiatów, pogasły z przeciągłym sykiem. Mary wyprostowała się na krześle, skrzyżowała ramiona na piersi i wydeła wargi.

— Mam nadzieję, że teraz jesteś z siebie dumny, Jimmy Moranie — oświadczyła.

Dopiero nazajutrz wręczyłem Mary kolczyki ze sztucznymi perłami, które kupiłem jej w prezencie.

Kiedy zaczęliśmy z Emily rozmawiać poważnie o spotkaniu w Waszyngtonie (a nie mam tu na myśli zaproszenia

wystosowanego przez Emily impulsywnie podczas naszej drugiej rozmowy telefonicznej), wściekle wziąłem się do pracy. Rzecz w tym, że kiedy Emily widziałam mnie ostatni raz, byłem ogorzałym żołnierzem piechoty morskiej, w dodatku młodszym o trzydzieści lat. Teraz moje ciało wydawało się rozlazłe, nie mogłem patrzeć na swoje dłonie pokryte, po dźwiganiu skrzyń u Longa, zadrapaniami i sińcami. Bezwłosy tors i nogi napawały mnie wstrętem; tak samo jak rumienie na przedramionach, czasem czerwone i obrzmiałe, kiedy indziej zaś przygaszone i ledwo żółtawe.

Stanąłem przed lustrem i odgarnąłem włosy z czoła: zniechęcony ujrzałem głębokie zmarszczki i smugi siwizny na skroniach. Odwróciłem głowę i obmacałem szczękę: pokrywająca ją skóra zaczynała być obwisła. Mary podśmiewała się ze mnie, kiedy odwalałem dziesiątki mil na zgrabnym rowerku treningowym, który kupiła w Kmarcie, albo też z Clancy siedzącą mi na barana robiłem setki przysiadów, ale zdobyła się na komentarz dopiero wtedy, kiedy odstawiłem wieczorne browarki.

— Robisz to wszystko dla swojej dawnej dziewczyny? — zapytała. — No, przynajmniej wreszcie ktoś sprawił, że zacząłeś o siebie dbać, Jimmy.

Rany boskie, gadała jak matka czy ktoś w tym rodzaju. Ale miała rację i to mnie dobijało.

Tego samego dnia, kiedy kupiłem bilety do Waszyngtonu, kupiłem też pół tuzina bokserek (czarnych i granatowych), a poza tym dwie pary dżinsów i trochę butów. Z głębi szafy odłowiłem swoją marynarkę klubową i oddałem ją do pralni chemicznej. Nędzną marynarkę, liczącą pewnie ze dwadzieścia lat. Guziki ledwie się trzymały, co zresztą nie miało wielkiego znaczenia, bo nie były z litego mosiądzu i złuszczała się z nich powłoka. Blezer należał kiedyś do mojego szwagra Dennisa, męża Daphne i bankiera inwestycyjnego. Dennis zostawił go u nas jakieś pięć lat temu, a gdy zaprotestowałem, że odeślę ciuch pocztą, odparł, bym go zatrzymał, bo ma podobnych całą szafę. Dennis mieszka z Daphne w pobżu Bostonu i zaopatruje się w ubrania na Newbury Street. Rękawy jego marynarki są dla mnie

przykrótkie. Pójdę o zakład, że mąż Emily też ma pełną szafę marynarek klubowych. Pójdę o zakład, że w życiu nie nałożyłby używanej. Postawię całą swoją forszę, że jest typem faceta opalonego przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, nakładającego do pracy marynarki firmy Burberry i nienagannie wyprasowane spodnie podtrzymywane przez gładki skórzany pasek ze lśniącą złotą klamrą. Zapewne w weekendy nosi golfy i eleganckie wiatrówki. Prawdopodobnie sypia w piżamach.

No więc wyskoczyłem do miasta jeszcze raz i kupiłem brązową tweedową marynarkę (była przeceniona, bo o ironio, producent zrobił w niej zbyt płytkie kieszenie), wskutek czego jak tydzień długi Mary zatruwała mi życie, że przepuściłem osiemdziesiąt dolarów. Przyszło mi do głowy tylko tyle, że mąż Emily zapewne wydaje więcej na krawat. Osiemdziesiąt dolców. Trzydzieści lat temu mój tata miał zawsze przy sobie większą sumę w gotówce.

Wysmarowany masłem kakaowym siadywałem na słońcu, a kiedy Mary nie było w pobliżu, podstawiałem sobie pod brodę kawałek tektury owinięty folią aluminiową. Pewnego razu jednak Mary przyłapała mnie na tych zabiegach — zorientowałem się, że obserwuje mnie zza wychodzących na werandę drzwi kuchennych. Poczułem się parszywie. W końcu wychodząc za mnie i Mary nie wygrała losu na loterii.

Braliśmy ślub w Myrtle Beach, bo rodzina Mary pochodzi z położonego nieopodal miasteczka Conway. Było około siedemdziesięciu pięciu gości, głównie ze strony Mary, boja miałem tylko matkę i Daphne. Myślałem o odszukaniu Steve'a i Chrisa, ale bałem się, że mogą mnie nie pamiętać. Pottera i Quinna natomiast bałem się szukać. Czułem strach przed tym, co się mogło z nimi stać.

Gdy bracia Mary, zgodnie z tradycją Południa, wszczęli przy barze bójkę z jakimiś kuzynami, zerknąłem na swoją teściową i poczułem, jak przed oczyma przesuwają się w krótkich migawkach całe życie. Ciotka mojego taty była rzeźbiarką, jego brat neurochirurgiem, siostra mamy — słynną dekoratorką wnętrz. Moja matka wciąż prezentuje się

ośniewająco — farbuje włosy na ciemnorudy kolor, ma zielone oczy, podczas naszego ślubu zaś nosiła szyty na miarę zielony kostium. Daphne i Dennis też wyglądali tak, jakby zeszli ze stron żurnala. Tymczasem mocno tęgawa matka Mary nałożyła jaskrawoczerwoną suknię, z którą gryzła się przypięta do ramiączka fioletowa róża z tafty. Podczas całej ceremonii moja teściowa popłakiwała, co chwila siąkając w wielką białą chusteczkę. Zastanawiałem się, czy to z powodu wzruszenia, że jej mała dziewczynka idzie za męża, czy też z rozpaczy, że za kogoś takiego jak ja. Najstarszy z braci Mary prowadzi wóz pomocy drogowej, drugi kryje dachy; jej dwie starsze siostry nie wyszły za męża i mieszkają z matką. Mary miała pięć lat, kiedy po raz ostatni widziała swojego ojca: był kierowcą wielkich ciężarówek i pewnego dnia po prostu rozpląnął się w dali. Jego wóz znaleziono na poboczu autostrady: starannie zaparkowany, z kluczykami leżącymi na siedzeniu. Matce Mary została piątka dzieci, wyczyszczone konto bankowe i niebosiężne zaległości wobec fiskusa. Może właśnie dlatego matka Mary płakała podczas ślubu. Może przypomniała sobie zniknięcie męża.

No więc nawaliłem się podczas wesela. Do tego stopnia, że w pewnym momencie świat wokół mnie zaczął wirować. Nie chciałem nikogo wprawiać w zakłopotanie i dlatego wyszedłem na dwór. Hotel był na plaży, siedziałem ściskając dłońmi głowę. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie poślubiłem Mary, bo nie mogłem dłużej zwlekać. Bo byłem jej to winien. Przecież nie padłem przed nią na kolana, wyciągając pierścionek z aksamitnego puzderka. To Mary oświadczyła mi pewnego dnia, że chce mieć dziecko, wobec czego albo bierzemy ślub, albo puszcza mnie w trąbę. Więc poszedłem do jubilera, kupiłem pierścionek z brylantikiem rozmiaru łebka od szpilki i poprosiłem, żeby za mnie wyszła.

Sprowadziliśmy się do naszego domu piętnaście lat temu. Rozładowywaliśmy właśnie pudełka pełne starych fotografii, kiedy znalazłem zdjęcie Emily w bikini; było przychepione czerwoną recepturką do tego, które nad wodą w Connecticut zrobiła nam Jennie, przyjaciółka Emily. Mary zapytała, kim

jest dziewczyna na fotografii, a ja odparłem, że szkolną koleżanką Daphne. Nie chciałem opowiadać Mary o Emily. Nie chciałem nikomu opowiadać o Emily. Może odeślę zdjęcie Daphne, rzuciłem nonszalancko. Kiedy jednak Mary odwróciła głowę, wsunąłem obie fotografie na spód pudełka.

Nigdy nie wspomniałem Mary o Wardzie i Lainie, o tym, jak nienawidzę sklepu Longa i co czuję, nosząc używaną marynarkę. Ale o historii z Reedsport opowiedziałem Emily przez telefon.

— Musiałeś być taki smutny — odparła. — Tak wystraszony.

— Rany boskie, Emily — obruszyłem się. — Przecież uczestniczyłem w napadzie.

— Byłeś mniej więcej w takim wieku jak teraz Jack — powiedziała.

— To żadna wymówka.

— Czy poszukiwała cię kiedykolwiek policja? — spytała Emily. Oparłem, że w sklepie nie było kamery. Wtedy stwierdziła, że to wszystko zdarzyło się dawno temu.

— I to nie ty włóczyłeś się wtedy z Wardem, Jimmy — dodała. — Jeszcze nie wiedziałeś, kim jesteś.

Zastanawiałem się, co takiego zobaczyła we mnie Emily trzydzieści lat temu. Zastanawiałem się, jaką cząstkę siebie pozwoliłem jej zobaczyć. I dlaczego nie ufam Mary w takim stopniu, by jej również pozwolić ujrzeć tę cząstkę.

13

Peter był „za” moim pomysłem spotkania się z Jimem w Waszyngtonie. W istocie tak to właśnie ujął.

— Jestem „za”, Emily. Podoba mi się ten pomysł. Jest niezły.

Powiadomiłam go o tym, gdy pewnego dnia zmywałam po kolacji, a Peter, co u niego nietypowe, siedział przy stole w kuchni. Potrzebowałam nieco czasu, by przećwiczyć w myślach ostentacyjną nonszalancję, no i wybrać odpowiedni moment, aby zachowując się w sposób możliwie naturalny, tę umiejętność wykorzystać.

— To do ciebie niepodobne, żeby mi kibicować przy zmywaniu garów, Peter — powiedziałam. — Czy aby dobrze się czujesz?

Roześmiał się.

— Widzisz, jaki potrafię być nieprzewidywalny? — zapytał. — W rzeczy samej zainspirowała mnie Julie, gdy po wizycie u Amandy powiedziała, że kiedy jej mama sprzątała ze stołu, tata wkładał naczynia do zmywarki.

— Ach, zatem towarzyszy mi dzisiaj oświecony Peter Walters — stwierdziłam z uśmiechem.

— Masz cudowny uśmiech, Em — powiedział Peter.

— Zaczynam być podejrzliwa. — Wzięłam głęboki oddech. — Chcę się spotkać w Waszyngtonie z Jimem Moranem — zakomunikowałam. — Liczę, że pomoże mi przy cyklu obrazów z epoki Wietnamu. — Złapałam druciak

i zaczęłam szorować ściankę patelni, do której już kilka miesięcy temu przywarła grudka przypalonego tłuszczu. — Nie miałbyś nic przeciwko temu?

Gdybym miała opisać dziś, jaką zrobił minę, kiedy potakująco kiwał głową, zaryzykowałabym twierdzenie, że aż nazbyt szczerą minę dziecka, które bez drgnienia powieki, bez uśmiechu, kłamie, patrząc człowiekowi prosto w oczy. A moje oczy? Cóż, zdecydowanie uciekałam nimi w bok i z zapałem usiłowałam przetrzeć patelnię na wylot, podkreślając przy tym, iż nie godzi się zaniedbywać tak znakomitego sprzętu kuchennego (Le Creuset!), będącego w dodatku prezentem od mamy Petera.

— Chcę z nim pójść pod pomnik Poległych — dodałam, kiedy Peter wyraził już zgodę. Próbowałam odpowiedzieć na pytania, których nie zadał. Proste pytania w rodzaju: „Dlaczego akurat w Waszyngtonie?” czy „Jak dobrze znasz tego faceta?” Miał opory przed ich zadaniem czy też po prostu nic go to wszystko nie obchodziło? Przedstawiając Peterowi swoje plany, przecierałam wilgotną gąbką kliniczną już czyste blaty.

— Moglibyśmy sięść na jednej z tych kamiennych ław przy pomniku, porozmawiać — ach, przypomnij mi z łaski swojej, żebym wzięła dyktafon, dobrze? — przejrzeć jego zdjęcia. Zrobiłabym kilka szkiców.

Była to rozmowa zawarta w monologu. Tak przemawiałam do dziadka, który po wylewie utracił mowę: odgadując, co chciałby powiedzieć. Wyrzucałam z siebie słowa jednym tchem — przekonywające, błagalne. Jakbym prosiła ojca o zgodę na pójście z przyjaciółmi do kina na ostatni seans, jakbym łańcuszkiem argumentów udowadniała, że muszę dostać zgodę, bo w przeciwnym razie będę jedyną, która pozostanie w domu. Musiałam przedstawić wszystkie argumenty, zanim bez namysłu powie „nie”. A potem czekałam na werdykt. Peter powiedział tylko, żebym zabrała spory zapas taśm.

— Jest weteranem — stwierdził — a weterani lubią gadać. Stare wojenne przygody i w ogóle. Dobry pomysł, Em. Naprawdę dobry.

Potem zapytał, gdzie jest poranna gazeta, i poszedł do siebie.

Nazajutrz przyjechał mój brat Robbie; była sobota i doszliśmy do wniosku, że warto by urządzić wiosenny debiut grilla. Brwi Robbiego wystrzeliły w górę, kiedy mu powiedziałam, że jadę do Waszyngtonu i z jakiego powodu. Siostrzom o tym nie wspominałam, bo z pewnością i Sara, i Catherine wyraziłyby dezaprobatę. Pamiętały Jimmy'ego z tamtego lata — Robbie nie pamiętał. Jedyne wspomnienie Robbiego z lata 1967 dotyczy żółwia, którego zostawił na słońcu tak długo, aż woda z płytkiej miski wyparowała zupełnie, a żółw błyskawicznie zmienił się w skamielinę. Pochowaliśmy go w ogrodzie pod tabliczką: PAMIĘCI SHELLEYA. NIECHAJ SPOCZYWA W POKOJU.

Sara i Catherine zawsze były znane jako bliźniaczki, ja jako średnia, Robbie natomiast — Dzidzius. Bliźniaczki są trzy lata starsze ode mnie; kiedy ja wyczekiwałam pod skrzynką na listy Jimmy'ego, one — już studentki college'u — dorabiały sobie podczas wakacji. Sara pracowała jako pakowaczka w sklepie z porcelaną, Catherine natomiast w dziale kosmetycznym Woolwortha udzielała czegoś, co nazywała konsultacjami w sprawach makijażu — „lekcji” podkreślenia rzęs i szminkowania warg.

Wieczorami moje siostry jeździły do miasta ubrane w dzinsy tak obcisłe, że nakładały je w pozycji leżącej, a suwaki zaciągały wieszakiem. Komunikowały matce, że ze swoimi chłopakami wpadną do jakiejś kafejki na lemoniadę, a później może zdążą jeszcze do kina na ostatni seans. Matka uśmiechała się z aprobatą. Tymczasem biegły do baru o nazwie The Rusty Nail, a resztę wieczoru spędzały na tylnych siedzeniach samochodów parkujących w Zaułku Zakochanych. Wiem o tym, bo podsłuchiwałam je pewnej nocy, gdy chichocząc opowiadały sobie szeptem o policjancie, który skierował snop światła

— Emily czeka na swojego żołnierzyka — mówiła Catherine z uśmiechem tak przypominającym grymas, że być może nie bez podstaw podejrzewałam ją o złośliwość. A Sara wtrącała swoje trzy grosze, wyśpiewując mi refreny *Please, Mr Postman* albo *Return to Sender*. Moje siostry były paskudne tego lata. Zlewały się pachnidłami, szminkowały, tapirowały włosy, wrywały prawie wszystkie brwi i nosiły tanie złote klipsy, które moim zdaniem Catherine zwędziła w dziale jubilerskim Woolwortha. Ich toaletki pękały od przyborów do makijażu, ich łazienki pachniały kamforą i gardenią. Teraz noszą pantofle od Ferragamo, beżowe spodnie, drogie kaszmirowe sweterki, jeżdżą mercedesami i co rano grywają w tenisa w klubie golfowym. Wspomnienia z lata 1967, ilekroć zaczynam je snuć, budzą w nich odrazę.

Tamtego lata znalazłam krążek w skórzanej torebce Catherine wepchniętej na samo dno szafy. Przypadkowo, szukając pudełka po butach, w którym mogłabym schować listy od Jimmy'ego. Kiedy otworzyłam niebieskie plastikowe etui, sądziłam że to jeszcze jeden kompakt mojej siostry; z początku nie rozpoznałam gumowego ustrojstwa zasypanego talkiem, ale później przypomniałam sobie, że identycznym, schowanym w piórniku, chwaliła się przede mną Lauren Tyler, która twierdziła, że sypia ze starszym chłopakiem o nazwisku Brian Sweet. Lauren była katoliczką, zastanawiałam się więc z bezgranicznym oburzeniem, jak śmie żegnać się po porannej modlitwie tak nabożnie, mając jednocześnie przy sobie zakazane przez Kościół urządzenie do kontroli narodzin. Obracałam krążek Catherine w dłoniach, zastanawiając się, jak działa, jak się go wkłada. Miałam w pamięci to, co Jennie mówiła o prezerwatywach, uważałam więc, żeby nie przedziurawić gумы.

Nie mogłam sobie wyobrazić, na co Catherine potrzebowała krążek. Nie potrafiłam jej sobie wyobrazić w konwulsjach namiętności. Nie kogoś takiego jak Catherine, kogoś, kto nawet w dzinsach wyglądał schludnie i kto przed pójściem do łóżka nawijał włosy na lokówki.

Kilka lat temu powiedziałam Catherine, że tamtego lata znalazłam krążek w jej szafie. Popatrzyła na mnie bez

wyrazu i oświadczyła, że nie miałam prawa myszkować w jej rzeczach.

— Kto to był tamtego lata? — zapytałam. — Billy Richardson z naszej ulicy? Robiłaś to z nim w jego samochodzie?

Catherine odparła, że nie pamięta nazwiska tamtego chłopaka, i odwróciła głowę. Może go kochała, pomyślałam. Naprawdę kochała. Może dlatego przez całe lato wyrwała sobie brwi i tapirowała włosy. Może kochała go tak bardzo, że teraz nie potrafi o nim mówić. Czułam jednak, iż chodzi o coś innego — niezdolność Catherine do wplatania w tkanek swojego obecnego życia tamtych wspomnień. Latem 1967 Catherine szła na całość, wspomnienia więc były w aż nadto dramatycznej sprzeczności z konserwatywnym beżowym życiem, które prowadzi teraz. Czasem lepiej dać spokój przeszłości.

Peter rozpałił grilla, a my z Robbiem siedzieliśmy na bujaku.

— Spotkam się z mężczyzną, którego znałam trzydzieści lat temu — powiedziałam do Robbiego. Przyglądaliśmy się, jak jego dwuletnia córeczka Tara gra w podkowy. — Jest weteranem wojny wietnamskiej i chcę mu poświęcić cykl obrazów. W czasach kiedy go znałam, ty nosiłeś jeszcze pieluchy, Robbie. To było tego lata, gdy rodzice wynajęli żółty dom w Old Greenwich i gdy usmażył się twój żółwik.

Dlaczego czułam wewnętrzną potrzebę, aby przekonać również Robbiego? Kilka lat temu też pracowałam nad cyklem obrazów i wtedy sporo jeździłam, aby porozmawiać z kobietami, których matki przeżyły holocaust. Oczywiście Peter i dzieci towarzyszyli mi w tych wyprawach. Jedne kobiety mieszkały w Filadelfii albo Providence, inne — w Kalifornii albo Miami. Na te wypadki znajdowaliśmy czas w okresie wakacji letnich i zimowych. Obrazy przedstawiały matki i córki, z boku płócien umieszczałam komentarze. Opowieści o wspomnieniach matek z obozów koncentracyjnych. O tym, co czuje córka, której matka przetrwała obóz koncentracyjny. Zastosowałam technikę akwareli na

kolazu — warstwa na warstwie, jak życie tych kobiet. Moje prace zyskały pozytywne recenzje w prasie lokalnej i sprzedawałam siedem z nich. Były nawet krótko wystawiane w Soho, w galerii przy Prince Street.

— Co sądzi na ten temat Peter, Emily? — zapytał Robbie, nie spuszczać oka z Tary.

— Jest za — odparłam.

— Gadaj zdrowa, Emily, że Peter nie ma nic przeciwko twojemu spotkaniu z jakimś dawnym chłopakiem. Dlaczego nie poszukasz przez lokalną rozgłośnię weteranów z tych stron? Dlaczego nie pogadasz z Tommym Rourkiem, który mieszka przy tej samej ulicy co mama i tata? Był w Wietnamie. Widzę jak na dłoni, co ci chodzi po głowie — powiedział Robbie. Nie sądziłam, że potrafi się zdobyć na aż tak jadowity ton.

— Rany boskie, Robbie, miałam wtedy szesnaście lat — odrzekłam.

— Przespałaś się z nim tamtego lata? — zapytał bez ogródek, kompletnie wytrącając mnie z równowagi.

— Nie. Ani wtedy, ani potem — powiedziałam ze świętym oburzeniem. — Czy zresztą miałyby to jakiegokolwiek znaczenie? Tu chodzi tylko o interes.

— Śmierzący interes — podkreślił Robbie. Wstał, odrzucił Tarze podkowę, która poleciała w naszym kierunku, a potem znowu usiadł obok mnie. Bujak zakołysał się gwałtownie.

Trudno powiedzieć, co budziło we mnie większą złość: czy to, że tak łatwo potrafił mnie przejrzeć Robbie, czy też że z takim wysiłkiem musiałyby to przyjąć Peterowi. A może po prostu fakt, iż mężczyźni podróżują w interesach całymi dniami, spędzają wieczory w klubach ze striptizem i nikt nie kwestionuje ich motywów?

Nie mogę powiedzieć, że wyrozumiałość Petera przyjmowałam bez zastrzeżeń. Gdyby usiłował mnie powstrzymać, pewnie gryzłabym, kopała i mimo wszystko postawiła na swoim, mógłby jednak chociaż spróbować, a przynajmniej zadać kilka dociekliwszych pytań. Robbie oświadczył, że w żadnym razie nie „pozwoliłby” swojej żonie Corinne na

podobną eskapadę; w tym momencie wdaliśmy się najpierw w dyskusję, a potem w zacięty spór na temat konceptu wzajemnego udzielania sobie „pozwoleń” przez mężów i żony na takie czy inne rzeczy. Gdybym jednak potrafiła się wtedy zdobyć na całkowitą szczerość, wyznałabym Robbiemu, iż częścią duszy pragnę, by Peter przyjął wobec mnie taką nie całkiem permissywną postawę. Żeby nie był bez przerwy tak — jak to określał — liberalny. Żeby od czasu do czasu przywdział skórę jaskiniowca i wyburczał anachronizm w rodzaju: „Moja kobieta nie będzie spotykać się w Waszyngtonie z facetem, którego znała trzydzieści lat temu”. Nie wiedziałam zresztą, czy zachowanie Petera — który wie, że i tak koniec końców postawię na swoim — wynika z rezygnacji czy też bezgranicznego zaufania do mojej wierności. Z pewnością pytałam go z milion razy, czy nie ma nic przeciwko mojemu wyjazdowi.

— Jesteś pewien, że nie masz? — powtarzałam raz za razem w dniach poprzedzających moją eskapadę do Waszyngtonu. — Nie muszę jechać, jeśli budzi to w tobie mieszane uczucia.

Trwał niewzruszenie na swych pozycjach.

— Wszystko w porządku, Emily — mówił. — Spróbuj się zrelaksować, potrzebujesz wypoczynku. A nami się nie przejmuj.

W porządku, w porządku, w porządku. Określenie tak mętne, tak mdłe, że prawie nie sposób je zdefiniować. Nie przejmuj się nami... zastanawiałam się przez moment, kogo miał na myśli, aż zrozumiałam, że siebie i dzieci. Potem zadałam sobie pytanie, dlaczego nagle uznał, że należy mi się samotna wyprawa do Waszyngtonu, skoro tyle razy zastawał mnie nad stołem garów do zmycia albo przy wycieraniu podłogi i nie skwitował moich wysiłków ani jednym słowem uznania. No i dlaczego fantazjowałam tak często, że widząc mnie przy tych czynnościach, z troską odsuwa kosmyk włosów z mego spoconego czoła, poleca się przebrać, po czym idziemy do jakiegoś małego bistra, gdzie na stoliku przykrytym obrusem w czerwonej kratkę, w koszyczku pochłapanym stearyną, stoi butelka wina. Tymczasem po

prostu podnosił pokrywy garnków, uważnie — choć na ogół z uznaniem — obwąchiwał ich zawartość i pytał, czy już jadłam. Odstępował na bok, by umożliwić mi wytarcie podłogi do końca, a potem wreszcie siadaliśmy do stołu, żeby zjeść kolację tyleż cichą, ile prozaiczną. W szufladzie jednej z kuchennych szafek trzymam szminkę; zastanawiam się, czy Peter wie, że aż po dziś dzień na odgłos podjeżdżającego pod dom samochodu maluję usta — bez względu na to, czy mam akurat w dłoniach mop czy nie.

Spakowałam walizkę, włożyłam do niej pudełko ołówków i szkicownik. Owinięty w bibułkę pierścionek od Jimmy'ego wsunęłam pomiędzy kosmetyki, *Listen to the Warm* zaś — pomiędzy koszulę nocną a szlafrok. W przeddzień wyjazdu kupiłam nowe dzinsy i trzy golfy, kazałam sobie zrobić manikiur, pedikiur i pasemka.

— Wyglądasz inaczej — zauważył Peter, gdyśmy w piątkowy poranek jechali na dworzec kolejowy. — Twoje włosy wyglądają inaczej. W ogóle ładnie wyglądasz, Emily. Zrobiłaś sobie pedikiur dla tego Morana?

Czyżbym wychwyciła w jego głosie nutkę zazdrości? Szczyptę gniewu? Wrogi ton, z jakim wypowiedział słowa „tego Morana”? Odparłam, że często robię sobie pedikiur, ale pewnie tego nie zauważył, bo zwykle chodzę w butach sportowych, a dziś nałożyłam sandały. Nie zareagował w żaden widoczny sposób, patrzył przed siebie. W pewnym momencie pomyślałam, że zamierza mnie objąć, ale tylko wyprężył ramię. Wyjaśnił, że znów zaczyna mu dokuczać łokieć tenisisty.

Kiedy zaparkowaliśmy przed dworcem, wyjął z kieszeni plik banknotów.

— Powinnaś mieć przy sobie trochę gotówki, Emily — oświadczył, wyliczając mi na dłoń dwudziestki w taki sam sposób, w jaki kiedyś jednodolarówki wyliczała mi babcia. — Nigdy nie nosisz dość gotówki.

— Mam karty kredytowe — odparłam. — Uważaj na siebie i na dzieci.

— Nic się nie przejmuj. Będę zabierać je do kina. Spróbuj się zrelaksować.

W porządku. Zrelaksować. Same niewłaściwe słowa. Doznawałam pokusy, żeby nim potrząsnąć i zapytać, dlaczego tak łatwo zgodził się na ten wyjazd, bo przecież nie mogłabym spytać wprost, czy ten wyjazd nie wzbudza w nim żadnych wątpliwości. Wyjął z bagażnika moją walizkę. Pocałowałam go w policzek. Wyciągnęłam rączkę z walizki, aby móc holować ją za sobą. Kiedy stojąc na peronie, obserwowałam odjeżdżającego Petera, oddałabym każde pieniądze, żeby dowiedzieć się, co w tej chwili myśli. Czyżby — co wskazywałoby na wzburzenie — ruszył gwałtowniej niż zwykle? Trudno powiedzieć. Czy w ogóle myśli o mnie? O nas? Doszłam do wniosku, że nie, a jeśli nawet myśli — to bez sensu. Takie przekonanie sprawiało, że łatwiej mi było wyjeżdżać.

Dworzec Union Station w Waszyngtonie był inny niż w moich wspomnieniach, w tej chwili najbardziej kojarzył mi się z centrum handlowym albo muzeum. Podczas całej podróży byłam zdenerwowana — nie mogłam rysować, czytać ani spać. Po przyjeździe poszłam do drogerii i kupiłam buteleczkę żelu do kąpieli Satsuma. Przystanęłam przed wystawą Victoria's Secret i oblałam się rumieńcem, kiedy młoda kobieta ze spacerówką uśmiechnęła się widząc, że oglądam czarną skąpą koszulkę nocną, ozdobioną w „strategicznych” punktach czerwonymi różami. To ciekawe, z jaką łatwością potrafią nawiązać kontakt zupełnie obce kobiety.

— Nieszczerólnie przystosowana do karmienia piersią — powiedziała młoda matka, prychając urywanym śmiechem. — Mąż pewnie by zemdłał, gdybym stanęła przed nim w czymś takim. Nie miałby pojęcia, jak się zachować.

Zastanawiałam się, czy rozgryzła, że ja również mam męża, a do tego gromadkę nieźle podrośniętych dzieciaków. Pewnie tak; pewnie mimo džinsów i kusego golfa nadal sprawiałam wrażenie matrony. Peter nigdy nie kupował mi ciuchów w Victoria's Secret. Jeszcze przed ślubem kupił mi na Madison Avenue czerwono-czarną spódnicę z samodziąłu i luźną czarną bluzkę, później — już po narodzinach Jacka — wystąpił z flanelową koszulą nocną, która miała na przodzie klapki do karmienia piersią. Wreszcie, i na tym

zakończył swoją działalność w tej dziedzinie, obdarował mnie kolczykami tak konserwatywnymi, że noszę je tylko wtedy, kiedy towarzyszę mu podczas służbowych kolacji. Nigdy nie dostałam od Petera czegoś, co choćby w przybliżeniu zasługiwało na miano seksownego. Może dlatego, że zaczęłam rodzić tak szybko i że na skąpą bieliznę zabrakło w moim życiu tak czasu, jak miejsca. Ale z drugiej strony nie jestem przecież jego matką!

Mój hotel oddzielały od dworca tylko dwie przecznice, dzień — w miłym kontraście wobec chłodnej nowoangielskiej aury — był ciepły i trochę mglisty, postanowiłam więc pójść piechotą, chociaż sunąca na dwóch kółeczkach walizka zaczynała mi trochę ciążyć. Zerknęłam na zegarek: za dwie godziny, o trzeciej, powinnam być na lotnisku krajowym, żeby odebrać Jimmy'ego. Starczało mi czasu zaledwie na to, żeby zameldować się, wziąć prysznic, zadzwonić do Petera i wezwać taksówkę.

Odebrałam z recepcji klucz, dziękując Bogu, że nie muszę korzystać z usług portiera. Chętnie wywiesiłabym sobie na piersi tabliczkę z napisem: „Jestem tu służbowo, cokolwiek na ten temat mógłby insynuować Robbie”. W normalnych okolicznościach towarzyszyłaby mi cała rodzina. Peter dopełniłby formalności meldunkowych, portier załadował nasze manele na wózek przypominający masywną koronę, dzieciaki gnałyby przodem ze swoimi jaškami i walkmanami. Zwykle braliśmy dwa sąsiednie pokoje, przy czym mnie i Peterowi przypadał w udziale ten z podwójnym łóżem. W dawnych czasach koniec końców i tak jedno z dzieci łądowało pomiędzy nami.

Tylko we dwoje nie byliśmy od lat. Zarówno rodzice Petera, jak i moi przenieśli się na Florydę wkrótce po narodzinach Jacka, potem po prostu nie umieliśmy znaleźć godnej zaufania opiekunki dla czwórki dzieciaków mewiele różniących się od siebie wiekiem. Jeszcze później zaś hołdowałam zasadzie, że zostawianie w domu gromady nastolatków to najgłupszy z możliwych pomysłów.

Pewnego razu, kiedy Jack miał około pięciu lat, a Julie wciąż była w powijakach, spędziliśmy z Peterem noc na

Manhattanie, pozostawiwszy dzieci pod opieką moich rodziców. Nie potrafiłam opędzić się od myśli, że ojciec zostawi niewygaszoną fajkę i puści z dymem dom, matka — przyzwyczajona do kuchenki elektrycznej — nie wyłączy naszej gazowej, Sam znowu złapie infekcję ucha środkowego albo Julie przebudzi się w środku nocy i zacznie płaczkliwie prosić, żebym ją przytuliła. Ta noc okazała się czystą stratą czasu i pieniędzy. Peter był rozzłoszczony, a ja nie umiałam się rozluźnić. Finał był taki, że włączyliśmy płatny film i zasnęli, zanim dobiegł końca.

Otworzyłam drzwi kartą magnetyczną, zobaczyłam podwójne łoża i nagle ogarnęło mnie zakłopotanie. Co ja właściwie tu robię? Przygotowałam sobie kąpiel, opróżniłam do wanny buteleczkę żelu pomarańczowego, rozebrałam się. Zapewne spędziłam w wodzie najwyżej pięć minut, nie miałam nawyku wylegiwania się w relaksującej pianie. Przywykłam myć się pod prysznicem, a potem, wciąż mokra, biec do kuchni, gdzie czekały na śniadanie cztery zgłodniałe buzie. Teraz poruszałam się po obcym terytorium.

Kiedy zamyślona przeglądałam się w lustrze, zadzwonił Peter. Na śmierć zapomniałam, że po przyjeździe miałam się do niego odezwać.

— Emily, to ja — usłyszałam. — Chciałem się dowiedzieć, czy dotarłaś na miejsce bez przygód.

Dopiero wiele miesięcy później Robbie wyznał mi, że w dzień mojego wyjazdu znów odwiedził nas z żoną i córką, itając ich, Peter — wedle relacji mojego brata — miał żałobny wyraz twarzy. Tak to właśnie Robbie ujął: żałobny. Koło południa wypili z Robbiem po piwie, a Peter ukrył twarz w dłoniach. Gdy go Robbie zapytał, czy coś się stało, parsknął tylko śmiechem i poprosił Robbiego, żeby mi nie mówił, iż w południe pił piwo. Robbie odparł zgrzyliwie, że na tym właśnie polega wolność.

Oznajmiłam Peterowi, że u mnie wszystko w porządku (choć kusiło mnie zrazu, żeby użyć jakiegoś superlatywu w rodzaju „fantastycznie”) i że mam „sympatyczny” pokój, Peter zaś stwierdził, że za mną tęskni, którą to deklarację uznałam za tyleż zdumiewającą, ile nieuczciwą.

— Wyjechałam zaledwie kilka godzin temu — podkreśliłam.

Gdy zapytał, co mam przeciwko jego tęsknocie, nie znalazłam sensownej odpowiedzi. Ale to nie był właściwy moment, żeby za mną tęsknić ani co gorsza, żeby mi o tym mówić. Miał na to czas przed moim wyjazdem. Rysy twarzy Petera zaczęły się rozmywać przed oczyma mojej duszy. Odpychałam od siebie myśli, które nie usprawiedliwiałyby mojej wyprawy. Myśli, które budziły we mnie wyrzuty sumienia i uczucie rozdzielający odpowiedzialność za rozpad naszego małżeństwa. Myśli pozwalające mi zrozumieć powody, dla których Peter tak gładko zgodził się na mój wyjazd: bo na przykład doszedł do wniosku, że porzuciłam go wiele lat temu.

Zerknęłam na jasnoniebieski golf rozciągnięty na łóżku obok czarnych dżinsów z wciąż przypiętą metką. Pomyślałam o samolocie, który ma wylądować za godzinę. Znowy siadłam przed lustrem, a kiedy zaczęłam szciotkować włosy, przypomniałam sobie chwilę, gdy jako szesnastolatka siedziałam przy toaletce w swojej sypialni.

Głos mojej matki zabrzmiał bardzo wyraźnie: — Uważaj, Emily, jest już mężczyzna.

14

W piątek rano, kiedy wyjeżdżałem do Waszyngtonu, Mary nie poszła do pracy, Clancy natomiast, z powodu kataru — do szkoły. Obie siedziały na łóżku, kiedy pakowałem torbę podróżną: rolowałem koszulę, swetry i wciąż tkwiące w celofanie bokserki. Mary stwierdziła z zaskoczeniem, że wkładam również krawat, ale wyjaśniłem jej, iż wiele waszyngtońskich restauracji wpuszcza tylko klientów w marynarkach i krawatach. Potem Clancy oznajmiła, że jest głodna, i Mary zabrała ją do kuchni na śniadanie.

Przed zejściem na dół spryskałem się brutem i wetknąłem buteleczkę do bocznej kieszeni torby. Mary, z Clancy na rękach — stopki Clancy sięgały mniej więcej do kolan Mary — czekała na mnie u podnóża schodów, skąpana w świetle naszego złocistego żyrandola. Cóż, to nie jest właściwie żyrandol, tylko pojedyncza żarówka osłonięta z czterech stron złocistymi szybkami, niemniej jednak Mary oblana jej rozproszonym blaskiem wyglądała przez moment tak jak w chwili, gdyśmy się poznali. Coś mnie naszło i nawet zacząłem się pochylać, żeby ją pocałować, tak naprawdę pocałować. Nie wiem, co to było. I nie wiem, co sprawiło, że zaniechałem pocałunku. Może poczucie winy, może świadomość, iż uznałaby moje postępowanie za dziwne. Ale wyglądała ślicznie, ot i wszystko. I może czuła się w tym momencie równie zagubiona jak ja. Odstąpiła o krok, gdy cmoknąłem ją w policzek.

— Nieżle pachniesz — stwierdziła zmuszając się do uśmiechu.

Przylepiona do boku Mary, Clancy wiła się jak wąż. Wyglądała rozkosznie z tym swoim zaczerwienionym nośnikiem i w piżamie w różowe i żółte motyle. Wyjaśniła, że nałożyła ją specjalnie dla mnie.

— Bo będziesz leciał jak motyl, tatusiu — powiedziała. Z podwiniętą powyżej kolana nogawką i odsłaniającą różowy brzusek kusą bluzeczką, spełzła z ramion Mary, podbiegła do mnie i objęła ramionami moje udo. — Pa, pa, tatusiu. Mama mówi, że jedziesz do wielkiego miasta.

— Uważaj na mamę, kitek, dobra? — odparłem, całując ją w czubek głowy. Pachniała szamponem truskawkowym. — Jesteś księżniczką, pamiętasz?

Clancy uniosła zarumienioną buzię.

— A ty królem na zamku — powiedziała ze śmiechem, trąc oko grzbietem dłoni. Zerkała przy tym spode łba na Mary, którą to określenie w moich ustach bezgranicznie irytowało. Ale Mary tylko przytaknęła i wybuchła śmiechem.

Byłem odstawiony jak stróż w Boże Ciało: miałem na sobie nowe džinsy i nową tweedową marynarkę, ciuch zdecydowanie zbyt ciepły na nasz klimat w połowie maja. Ubolewałem, że nie mam pokrowca na garnitury, z którym wyglądałbym jak facet nawykły do częstych podróży — skórzanego pokrowca, z wieszakiem w środku i kółkami na zewnątrz. Przez zapomnienie zostawiłem w drewnianej salaterce przeznaczonej na bilon skórzaną plakietkę bagażową, ale nie chciało mi się po nią wracać. Kupiłem ją wczoraj w sklepie kaletniczym i najstaranniej, jak mogłem, wykaliografowałem na kartoniku swoje nazwisko. Naprawdę się postarałem, pomny uwag Mary, że bazgrzę jak kura pazurem. Ciekawe, że kiedy podobne zastrzeżenia zgłaszała Emily, nic mnie to nie ruszało. Ale złościłem się na utyskiwania Mary. Niemniej wypisałem swoje nazwisko i adres równie starannie jak Clancy zapełniająca krągłymi schludnymi literami swój zeszyt w trzy linie. Czy jednak miało to jakiegokolwiek znaczenie? Któż oprócz mnie mógłby szukać

starej skórzanej torby? Zresztą miała plakietkę, tyle że wytartą i z ledwie widocznymi personaliami.

Klimatyzacja w moim wozie padła wiele lat temu, kiedy więc jechałem na lotnisko, dokuczał mi skwar. Słyszałem nad głową ryk startujących i lądujących samolotów. Pewnie towarzyszył mi zawsze, ale dopiero teraz zwróciłem na niego uwagę. Przypomniałem sobie te chwile, gdyśmy usiłowali z Mary spłodzić dziecko i gdy odnosiliśmy wrażenie, że wszyscy prócz nas mają już dzieci... Teraz słyszałem tylko te samoloty.

Stojąc na czerwonym świetle, przeliczyłem gotówkę w portfelu. Siedemdziesiąt pięć dolców. To znaczy tyle mi zostanie, kiedy zapłacę osiemdziesiąt za długoterminowy parking. Koszt pokoju zamierzałem pokryć z karty Visa; na trzydniowy pobyt w Waszyngtonie będę miał siedemdziesiąt pięć pieprzonych dolców.

Mary nie była szczęśliwa, kiedy wzięłem kasę ze słoika po dżemie wciśniętego pomiędzy słoiki z dżemem w kuchennym kredensie. Myślałem w tym momencie o Wardzie i zastanawiałem się, czy przypadkiem nie postępuję tak samo parszywie jak on.

— To moja forsa na czarną godzinę, Jimmy — powiedziała Mary widząc, jak odkręcam wieczko. — Nie masz prawa jej brać, żeby zobaczyć się z tą kobietą.

Ciekawa była przemiana Emily w „tę kobietę” na krótko przed moim wyjazdem. Oświadczyłem Mary, że facet musi mieć przy sobie trochę grosza i żeby się nie pieniała, bo i tak nic nie zwojuje. Czasem, kiedy lekko podnoszę głos, Mary zwija się w kłębek i dalibóg nie wiem dlaczego, bo nigdy jej nie przywaliłem i nigdy nie przywalę. Wspomniała kiedyś, że widziała, jak jej ojciec spoliczkował matkę, i że sama nie zniosłaby czegoś takiego ze strony jakiegokolwiek mężczyzny, ale przecież to nie jej słowa mnie ustawiły, tylko świadomość, że nie jestem w stanie uderzyć kobiety.

— To nie jest jakaś tam kobieta, Mary — podkreśliłem ścisząc głos. — To stara przyjaciółka.

— No to dlaczego nie wspominałeś o niej nigdy przedtem? — zapytała.

— A co tu było do gadania? — odparłem. — Zналиśmy się dawno temu, jako małolaty.

Obiecałem Mary, że oddam jej pieniądze, chociaż oboje mieliśmy jasność, że w sprawach finansowych trudno na mnie polegać. Niemniej jednak Mary trochę się uspokoiła.

— Dobrze się baw, Jimmy — powiedziała, kiedy ładowałem torbę do samochodu („dobrze” wymówiła z przydechem na początku, w ten szczególny sposób, który niegdyś uwielbiałem). — Zadzwoń wieczorem, żebyśmy wiedziały, jak minęła ci podróż.

Potem razem z Clancy poszły w stronę domu; Clancy odwracała się co chwila i machała mi rączką.

— Zadzwonię, jak tylko dotrę na miejsce — obiecałem.

Mary nigdy nie wypytywała mnie szczegółowo, co zamierzam robić w Waszyngtonie, a ja sam bąknąłem tylko kilka słów o projekcie Emily, która chce ze mną pogadać, żeby jej obrazy i komentarze miały właściwy klimat. Uprościłem problem, bo zdawałem sobie sprawę, że jestem Emily potrzebny przede wszystkim po to, by przywołać atmosferę przeszłości. Zastanawiałem się zresztą, czy przypadkiem nasze rozmowy nie są tak mocno zakotwiczone w przeszłości, że kiedy wreszcie zabraknie nam wspomnień, po prostu się urwą.

Zaparkowałem samochód i poszedłem do punktu odpraw. Z torbą na ramieniu, z nowymi okularami przeciwsłonecznymi na nosie. Trudno mnie było uznać za faceta podróżującego w interesach, choć z drugiej strony — fantazjowałem — może takie właśnie sprawiam wrażenie. W końcu można robić interesy w ciemnym garniturze i krawacie, ale można też w dżinsach i tweedowej marynarce. I wtedy moja wyobraźnia poszła na całość, wskutek czego zacząłem wierzyć, że naprawdę jestem kimś ważnym. Przecież Emily chciała się ze mną skontaktować! Może Emily wystawi swoje obrazy w jednej z tych galerii w Soho, do których przychodzą elegancko odstawieni koneserzy, to przysuwają głowy do płócien, to je odsuwają, pocierają podbródki i wzdychają z zadumą lub z zachwytem. A czerwone kropki w rogach obrazów pokazują, które już zostały sprzedane. Taka jest

przynajmniej praktyka we włoskiej restauracji w naszym mieście. Warhol i Monroe. Hudson i Moran.

— Czy to pan jest tym młodym żołnierzem na obrazie?
— zapyta szykowna niewiasta w wąskich czarnych spodniach i wysokim golfie.

Wtedy podejdzie do nas Emily, poprawi mój krawat (złoty do czarnej koszuli z denimu), a ja obejmę ją ramieniem i odpowiem coś w rodzaju:

— Oto twórczyni. Tak, ja jestem tym żołnierzem. Miło panią poznać.

Otrząsałem się jak pies po wyjściu z wody. Za dużo tego fantazjowania.

Pierwszy etap mojej podróży — lot z Mobile do Atlanty — trwał mniej więcej półtorej godziny, a samolot był prawie pusty. Siedziałem sam i przeglądałem magazyny, których cały plik przyniosła mi stewardesa, ale nic mnie nie zainteresowało. Samolot z Atlanty do Waszyngtonu był nabit do ostatniego miejsca. Kiedy podeszła do mnie młoda kobieta (siadam zawsze przy przejściu, bo nie lubię przeciskać się pomiędzy ludźmi), wstałem, żeby ją przepuścić pod okno.

Potem pilot oznajmił, że zbliżamy się do Waszyngtonu i w związku z tym należy zapiąć pasy, podwozie łupnęło o pas startowy, a wszyscy nagle zaczęli wstawać i sięgać do schowków po swój bagaż podręczny. Ja jednak siedziałem dalej; moja sąsiadka wstała i przycisnęła się do przejścia, nie deptając mi na szczęście po stopach.

— Nie zamierza pan wsiąść? — zapytała z uśmiechem.

Odparłem, że się nie spieszę i wolę nie przepychać się przez tłum. Miałem ochotę dodać, że czekam już od trzydziestu lat, ale inne informacje wolałbym zachować dla siebie: że serce wali mi jak młotem, że język przysechł mi do podniebienia, że przesładuje mnie myśl, iż być może przeszłość lepiej pozostawić przeszłości. Po dwóch drinkach powinienem być rozluźniony, ale byłem spięty jak diabli.

W końcu wstałem, opuściłem samolot i długim szarym rękawem pospieszyłem do hali przylotów.

Dostrzegłem ją dopiero po chwili — lekko mrużąc oczy wędrowała wzrokiem po tłumie. Miała wciąż długie włosy,

choć teraz tylko do ramion. Bardziej stylowe. Ciemniejsze niż kiedyś, z pasemkami, już nie spłowiąła od słońca. Ale poza tym dzisiejsza Emily niewiele się różniła od dziewczyny, którą zostawiłem na dworcu kolejowym. Stanąłem przed nią i znieruchomiałem.

— Czy ty się w ogóle nie starzejesz? — zapytałem, przyciskając twarz do jej policzka. — Chodźmy po mój bagaż.

To było takie łatwe. Takie proste. Czułem, że się uśmiecham. Gotów jestem przysiąc, że po raz ostatni uśmiechałem się w taki sposób wtedy, gdy podano mi Clancy.

— Świetnie się trzymasz, Jimmy — powiedziała Emily. — Rozpoznałam cię natychmiast.

I jakby to było wczoraj, kiedy odkładałem jej książki na chodnik, otoczyłem ramieniem kibić Emily, która — inaczej niż ostatnim razem — nie odsunęła się gwałtownie, lecz mocno do mnie przywarła. Słowo daję, czuliśmy się znowu jak małolaty. Gdybyśmy tak mogli nimi być!...

15

Droga na lotnisko krajowe zajęła mi więcej czasu, niż zakładałam, bo na śmierć zapomniałam o waszyngtońskich godzinach szczytu. Jechałam nieskończenie długo: wszystkie światła były czerwone, każde skrzyżowanie zablokowane, trąbiły klaksony, poirytowani kierowcy obrzucali się zniewagami. W dodatku zaczęło mżyć. Bez przerwy zerkałam na zegarek i przechylałam się ponad przednim oparciem, jakby miało to przyspieszyć jazdę.

W końcu taksówka stanęła przed terminalem: wbiegłam właśnie do środka, kiedy odezwał się mój telefon komórkowy.

— Mamusia? Mówi Julie. Dzwonię, bo bardzo za tobą tęsknię. Gdzie jesteś? Bo ja siedzę na bujaku.

Nagle ogarnęło mnie przygnębienie. Dlaczego akurat teraz? Dlaczego dzwoni właśnie teraz? Za pamięci Julie zawsze byłam przy niej, tej sytuacji, gdy zostawiłam ją pod opieką dziadków, nie mogła przecież pamiętać. Peter podróżuje dość często, a jednak nie przypominam sobie, by którekolwiek z dzieci odczuwało potrzebę, by do niego zadzwonić. Nie sądzę nawet, by którekolwiek znało numer jego komórki.

Głos Julie stał się dla mnie zastrzykiem rzeczywistości — stanęłam jak wryta, zapomniałam o czekającym Jimie, zaczęłam się zastanawiać, co ja tu właściwie robię. Jak mogę być tak daleko od domu, kiedy Julie mnie potrzebuje? Co ja właściwie wyprawiam?

— Ja też za tobą tęsknię, kochanie — odparłam dręczona wyrzutami sumienia. Jedna cząstka mojej duszy pragnęła natychmiast wracać do domu, tam gdzie moje miejsce, drugą — przepełniała urazą świadomość, że Peter nie umiał sobie poradzić z tęsknotą Julie. Czyż nie widział, że bierze telefon i samotnie siada na bujaku? Powinnam była poprosić Julie do aparatu, kiedy Peter dzwonił do mnie wcześniej.

— Gdzie jest tata? — zapytałam najnaturalniej, jak mogłam. Nie chciałam, by Julie zorientowała się, że w tej chwili kieruję pod adresem jej ojca same złe myśli.

Odparła, iż na podjeździe gra z chłopakami w kosza.

— A później zabiera nas na kolację — dodała roz-pogodziona — i powiedział, że aż do twojego powrotu nie będziemy musieli słać łóżek.

Ulżyło mi. Słyszając chichot córki, przekonałam się, że zadeklarowane przez Petera rozluźnienie dyscypliny wprawa Julie w dobry nastrój.

— Wygląda na to, że bez treserki wiedzie się wam znacznie lepiej — stwierdziłam. — Julie, wracam do domu za dwa dni. Pojutrze. Więc pewnie ominie mnie cała zabawa.

— Czy widziałaś się już z panem Moranem?

Spojrzałam na zegarek.

— Jeszcze nie, ale lada chwila powinien wsiąść z samolotu. Zadzwonię później, Julie. Bądź grzeczna.

— Kocham cię, mamusiu — powiedziała.

— Ja też cię kocham — odparłam żałując, iż z tym wyznaniem nie pospieszyłam się bardziej.

Zaczepiłam komórkę o pasek dżinsów, czując się przy tym trochę tak jak komandos sposobiący się do boju. Na tablicy świetlnej dostrzegłam migoczące słowo „Atianta”, ale nie byłam pewna, czy to zapowiedź przylotu czy odlotu; sięgnęłam do torebki po okulary. Poszłabym o zakład, że ludzie wokół mnie sądzili, iż odbieram swoje dziecko. Mamusia rozmawia przez komórkę. Mamusia nakłada okulary. Mamusia zdenerwowana. Mamusia, która nie może się doczekać czyjegoś powrotu. Podbiegłam do bramki, stanęłam w korytarzu wyścielonym miękką szarą wykładziną. Wiele osób czekało na ten samolot. Dwie kobiety

z dziećmi w spacerówkach (tatusiowie wróca łąda chwila z podróży służbowych), młode szykowne, nienagannie ufryzowane panie i młodzi mężczyźni w dwurzędowych garniturach ściskający w dłoniach skórzane nesesery, szoferzy w liberiach unoszący wysoko tablice z nazwiskami pasażerów.

Wszyscy, uznałam, mają powody, aby tu być, i w tej samej chwili zwątpiłam we własne. Telefon od Julie wstrząsnął mną, poczułam, że oszukuję zarówno ją, jak i chłopców. Chociaż ani powstało mi w głowie, że zdradzam Petera.

Przyglądałam się wychodzącym biznesmenom. Nieśli nesesery albo wypchane torby, mieli na sobie garnitury, a pod szyjami — rozluźnione krawaty. Niektórzy byli siwowłosi, inni łysieli, jedni byli szczupli, drudzy — brzuchaci. Starzy i młodzi. Jima Morana mogłam wyławić tylko posługując się kryterium wzrostu. Bo Jim był wysoki, co do tego nie miałam wątpliwości. Przez chwilę czułam się tak, jakbym czekała na zupełnie obcego mężczyznę.

Uczesałam się tego dnia trochę tak, jak robi to Julie: miałam kucyk i niesforne kosmyki spadające z obu stron twarzy. Chyba tak właśnie upinałam włosy trzydzieści lat temu, jeśli już postanowiłam wziąć je w karby. Nałożyłam czarne obcisłe dżinsy. Od dawna nie nosiłam dżinsów. Śmiać mi się chce na widok kobiet, które noszą dżinsy wyprasowane na kant, a do tego eleganckie pantofelki. Nie należę do ich grona. Zwykle nakładam kombinezon i trykotową koszulkę; dżinsów — nigdy.

— Dlaczego kupiłaś sobie te wszystkie dżinsy? — zapytał Peter, kiedy się pakowałam. — Przecież ich nie nosisz.

— Nie wiem. Chyba nabrałam na to ochoty.

Peter nie drażył tematu.

Czekając na Jimmy'ego zastanawiałam się, czy przypadkiem te dżinsy to nie był błąd. I kowbojki, które odpoczywały w szafie od piętnastu lat. Pociągnęłam je środkiem do renowacji skóry, od czego zrobiły się trochę cętkowane. Chryste, może powinnam pozostać przy luźnym kombinezonie, który sprawdzał się tak dobrze po czterech porodach, a w dodatku pasował do mojego kombi. Może

powinnam nałożyć sandały. Albo adidas. Może wyglądam, jakbym się zanadto odstawiła.

Wyszli już wszyscy pasażerowie i ja też byłam niemal gotowa podać tyły. Może Jimmy oprzytomniał, doszedł do wniosku, że człowiek nie wskakuje ot tak do samolotu, żeby się spotkać z kimś, kogo nie widział od trzydziestu lat. Może telefon Julie był znakiem od niebios, że nie mam czego szukać w Waszyngtonie. Przypomniałam sobie, jak brwi Robbiego wystrzeliły do góry. Jakim tonem tuż przed swoim wyjazdem mój brat powiedział: „Emily, nie komplikuj sobie życia”.

W tym momencie zobaczyłam Jimmy'ego. Nie mogłam go nie rozpoznać. Jego kruczoczarne włosy przepłótła siwizna, jego twarz była szersza, broda wyrazistsza, bardziej kanciasta. Już dawno przestał być chłopcem, ale jego oczy... och tak, jego oczy... Jego oczy sprawiły, że poznałam go natychmiast. Głęboko osadzone, ciemne, przenikliwe, oszańcowane tymi wydatnymi kośćmi policzkowymi, które sprawiły, że dawno temu uwierzyłam w czirokeskie pochodzenie Jimmy'ego. Kiedy strzelały po hali przylotów, przypomniałam sobie, jak patrzyły na mnie tamtego dnia na dworcu, kiedy Jimmy prosił, żebym nigdy o nim nie zapomniała.

Głosy lotniska zlewały się w mych uszach, jakbym trwała w półśnie. Nic nieznaczące komunikaty o przylotach i odlotach. Ruszyłam w stronę Jima. Oboje zatrzymaliśmy się w milczeniu. Jim położył na ziemi swoją torbę podręczną i spojrzał na mnie.

— Emily — powiedział. To nie było pytanie. To było oznajmienie.

W mojej głowie zapanował chaos. Zastanawiałam się, czy Jim jest rozczarowany tym, co zobaczył. Czy każda zmarszczka wokół mych oczu wrzasnęła do niego ze wszystkich sił, że upłynęło wiele czasu.

Zapytał: — Czy ty się w ogóle nie starzejesz?

I wtedy zrobił to, o czym marzyłam od trzydziestu lat — objął mnie i przytulił swą twarz do mojej. Naprawdę mocno. Potem odsunął się nieco i obejrzał mnie uważnie,

jakby chciał się upewnić, że przy nim jestem. Wreszcie grzbietem dłoni musnął mój policzek.

— Jak dobrze cię widzieć, Emily — wyszeptał mi do ucha.

— Natychmiast cię poznałam, Jimmy — odparłam.

Staliśmy bez ruchu, port lotniczy wirował wokół mnie i nagle zniknęli wszyscy wypełniający go ludzie.

Miałam wrażenie, że wysiadając z samolotu Jim Moran wraca do domu. Staliśmy przy taśmociągu, Jimmy tulił mnie do siebie, nasze biodra się dotykały. Mówiąc coś do mnie, Jimmy dotykał wargami moich włosów. Mówiąc najprostsze rzeczy, w rodzaju: „O, jest mój bagaż”. Nie puścił mojej talii nawet w chwili, gdy po niego sięgał. Znów miałam szesnaście lat. Nie chciałam spędzić reszty życia nadal za nim tęskniąc. Nie chciałam spędzić reszty życia tęskniąc za życiem.

16

Padał deszcz, kiedy wychodziliśmy z terminalu linii Delta. Emily niosła moją torbę podręczną, a ja dźwigałem w prawej podróżną, lewą natomiast obejmowałem Emily w pasie. Byłem zaskoczony, jak łatwo mi to przychodzi, jak jest naturalne i niewymuszone. Chociaż przez cały czas zdawałem sobie sprawę, że obejmuję Emily.

Bez słowa poszliśmy na postój taksówek: wyjąłem torbę z ręki Emily, otworzyłem przed nią tylne drzwi, zostawiłem tylko na chwilę dość długą, by obie torby włożyć do bagażnika. Nieistotne szczegóły, a przecież głęboko wbiły mi się w pamięć.

Byłem lekko spłoszony, kiedy chyba jako ostatni opuszczałem pokład samolotu. Przy wyjściu kłębił się tłum i tam właśnie, trochę na uboczu, stała Emily. Poznałem ją natychmiast. Natychmiast poznałem, że to Emily, bo kiedy się do niej zbliżyłem, dostrzegłem ten uśmiech. Ten sam, który witał mnie po szkole trzydzieści lat temu. Ten, za którym tęskniłem i którym nie zostałem obdarowany po powrocie z obozu szkoleniowego. W moich oczach Emily wciąż miała szesnaście lat; za jej sprawą znów czułem się jak chłopak. Nie czułem się tak od Bóg jeden wie ilu lat. Odkąd spotykałem ją po lekcjach i nie mogłem się doczekać, aż znikniemy za pierwszym rogiem, gdzie będę mógł pocałować ją w usta, w szyję, wsunąć dłoń pod nakrochmaloną białą bluzeczkę. Teraz przywarłem policzkiem do jej policzka i dopiero w tym

momencie naprawdę zdałem sobie sprawę, jak bardzo za nią tęskniłem. Jak bardzo tęskniłem za tamtym sobą.

Emily podała taksówkarzowi nazwę hotelu. To wszystko było tak nierealne. Chyba powinienem ją trzymać za rękę, ale nie potrafiłem się zdobyć na taką śmiałość. Chociaż nie otaczały nas już tłumy podróżnych i czekających. Na tylnej kanapie taksówki siedziało tylko nas dwoje.

— Jest jeszcze dość wcześnie, żebyśmy mogli wybrać się pod pomnik — powiedziała Emily, przerywając ciszę, która, sądzę, trwała bardzo długo.

— Najpierw chciałbym doprowadzić się do porządku — odparłem. — Rozpakować, wziąć szybki prysznic.

— A potem wpadniemy na drinka — zasugerowała. — przyjdź po mnie, kiedy będziesz gotowy.

Taksówka przystanęła na kolistym podejździe hotelu Regency, a Emily zapłaciła za kurs, zanim jeszcze zdążyłem sięgnąć po portfel. Portier otwierał drzwi, taksówkarz wyjmował z bagażnika moje torby. Wziąłem obie, weszliśmy do foyer i schodami ruchomymi zjechaliśmy do recepcji.

— Pan Moran, ma rezerwację — powiedziała Emily. Potem zwróciła się do mnie: — Wzięłam ci pokój dla niepalących. Bo chyba rzuciłeś te swoje lucky striki, prawda?

Podpisałem się w księdze meldunkowej, recepcjonista podał mi klucz magnetyczny. Zastanawiałem się, czy słowa „dziękuję” nie wypowiedziałem z przesadną i całkowicie fałszywą pewnością siebie. Czyżbym usiłował odgrywać faceta, dla którego podobne sytuacje to chleb powszedni? Nie mieszkalem w hotelu od czasu swojej pięciodniowej podróży poślubnej do Myrtle Beach.

Nasze pokoje były na tym samym piętrze, ale po przeciwnych końcach korytarza. Emily odprowadziła mnie pod drzwi; odczuwałem jak sensację niemal fizyczną, że moje ramię nie obejmuje jej kibici, chociaż powinno. Coś podobnego czuje młody chłopak siedzący z dziewczyną w kinie — zbiera się na odwagę, żeby ją objąć, przeciąga się, ziewa, w końcu mimochodem kładzie rękę na oparciu sąsiedniego fotela i zachodzi w głowę, jak zareaguje dziewczyna, kiedy

opuści ramię niżej. Otworzyłem drzwi swojego pokoju. Emily została na korytarzu.

— Jestem w 612 — oznajmiła. — Zapukaj do mnie, gdy się urządzisz.

— Przywiozłem dla ciebie butelkę szampana — powiedziałem. — Jest pewnie ciepły, więc włożę go do minibarku.

— Kiedyś gustowałeś w sikaczach, więc zmiana preferencji jest znacząca — zauważyła z rozbawieniem.

— To Perrier-Jouet.

— Zmiana preferencji jest rewolucyjna — stwierdziła, wybuchając śmiechem.

Wciąż stała na korytarzu, a ja oparłem się pokusie, by zaprosić ją do środka. Niemniej jednak zajrzała mi przez ramię.

— Ładny pokój — uznała. — Chyba większy niż mój. Miłej kąpieli i do zobaczenia. Umowa stoi?

Odwróciła się i odeszła, a ja delikatnie, żeby nie trzasnąć, zamknąłem drzwi. Potem usiadłem przy oknie na tapicerowanym skórą krześle o twardym oparciu. W dali widziałem Capitol, jakiś taki wyblakły z powodu padającego deszczu. Ulicami sunęły rzeki czarnych parasoli. Podniosłem z podłogi torbę podróżną i położyłem ją na jednym z dwóch zestawionych łóżek. Podręczną zaniósłem do łazienki i wsunąłem pod umywalkę, następnie ustawiłem na szklanej półeczce przybory do golenia, szczoteczkę do zębów i dezodorant. Sięgnąłem do bocznej kieszeni po wodę kolońską; gdy okazało się, że nieco zawartości wylało się z flakonika, przetarłem podszewkę torby ręcznikiem do rąk.

Targały mną sprzeczne uczucia. Z jednej strony pragnąłem się spieszyć, wskoczyć pod prysznic, pognać korytarzem, zapukać do drzwi. Z drugiej zaś wolałem smakować to wszystko powoli.

Usiadłem na skraju łóżka i zadzwoniłem do Mary.

— Już jestem na miejscu — powiedziałem zamiast powitania, usiłując się zdobyć na ton zarazem szczerzy i pogodny.

Clancy, wedle relacji Mary, bawiła się właśnie nad strumykiem z Porterem, synem sąsiadów, sama Mary zaś

czytała „Cosmopolitana” i piła kawę po wiedeńsku. Jak lot? spytała. Czy podam jej numer hotelu? Wieczorem wybierały się z Clancy do miasta na Festyn Strażacki. Potem, nonszalancko i mimochodem, zapytała jeszcze:

— No i jak ona wygląda po tylu latach?

Odparłem, że tak, jak może wyglądać kobieta o trzydzieści lat starsza. Oczywiście przemilczałem, że w moich oczach nie zmieniła się ani na jotę, a nawet jest piękniejsza niż w moich wspomnieniach i nadziejach. Nie usiłowałem wyjaśnić, że jej uroda jest miękka i pastelowa, nie zaś taka, jaką widzi się na stronicach „Cosmopolitana”.

— Całkiem niezłe — stwierdziłem obojętnie. — Ucałuj ode mnie Clancy.

Po zakończeniu rozmowy położyłem na łóżku czyste dżinsy, czarną koszulę i nowe granatowe bokserki. Potem rozebrałem się i nago poszedłem do łazienki; natychmiast odwróciłem głowę, gdy kątem oka ujrzałem swoje odbicie w lustrze.

Woda lała mi się na twarz, dookoła pęczniały kłęby pary. Niebawem się ubiorę i pójdę do jej pokoju. Wyobrażałem sobie, jak pukam do drzwi. Mocno i stanowczo czy raczej dyskretnie i delikatnie? Czy zaprosi mnie do środka, czy też będę na nią czekać na korytarzu? Może powie coś w rodzaju: „Wejdz, gdzieś zapodziałam klucz”. Przywołałem się do rzeczywistości. Zakręciłem wodę, sięgnąłem po ręcznik, owinałem się nim w pasie. Przetarłem lustro z pary, przeciągnąłem dłonią po podbródku. Czas się ogolić, nie można taką szczecina dotykać jej twarzy, pomyślałem. A kiedy się goliłem, uważnie ściągając piankę z policzków, szyi i brody, zastanawiałem się, czy Emily pragnie mnie pocałować równie mocno, jak ja pragnę pocałować ją.

Co by czuła, leżąc pode mną, czy jej brzuch przywarłby do mojego równie idealnie jak wtedy, gdyśmy leżeli pod stołem do ping-ponga? Czy byłaby rozczarowana widząc, że nie jestem już szczupłym muskularnym chłopakiem?

Ostrożność, z jaką manipulowałem maszynką do golenia, zdała się psu na buty, bo w końcu i tak drasnąłem skórę koło ucha i po mojej twarzy pociekła strużka krwi. Opłuka-

łem się zimną wodą i przykleiłem do ranki kawałek papieru toaletowego. Krwawienie ustało, zanim zdążyłem się ubrać, i miałem przy uchu tylko suchą ciemną kreseczkę. Wsunąłem klucz do portfela, a portfel do tylnej kieszeni dżinsów. W pierwszej chwili ruszyłem korytarzem w niewłaściwym kierunku; gdy się zorientowałem po numerach, zawróciłem i dotarłem wreszcie pod drzwi Emily. Nie zastanawiałem się, w jaki sposób pukam. Nie miałem na to czasu, bo drzwi otworzyły się niemal natychmiast.

— Zaciałeś się przy goleniu — stwierdziła Emily, dotykając dwoma palcami mojego policzka. Potem nagle cofnęła dłoń, jakby się sparzyła. — Zaczekaj, wezmę tylko torebkę.

Trzymałem pod pachą butelkę szampana.

— Włóż ją do lodówki — powiedziałem. — Zabierz do domu i wypij z Peterem.

Usiłowałem być na luzie, ale pośpiech Emily, by już wyjść, wprowadził mnie w zakłopotanie. Szampan nie był przeznaczony dla Petera. Był przeznaczony dla niej. Dla nas.

Miała kłopoty z otwarciem minibarku, wszedłem więc do pokoju, żeby jej pomóc. Klęcząc obok siebie, wyjmowaliśmy małe buteleczki, puszkę napojów i fistaszków, żeby zrobić miejsce na szampana. Powiedziałem coś w rodzaju: „No, gotowe”, wyciągnąłem rękę, żeby pomóc Emily wstać. Zarumieniła się. Chwilę później wjeżdżaliśmy windą do baru na ostatniej kondygnacji.

Gdy rozsunęły się drzwi, ujrzeliśmy przed sobą panoramę miasta.

— Stolik dla dwóch osób? — zapytał kierownik sali.

— Siądziemy tam — odparłem, wskazując stolik przy oknie.

Emily szła przodem, a ja, widząc jej rozkołysane biodra, znów zacząłem się zastanawiać, jak by to było, gdybyśmy nadzy przywarli do siebie w pokoju rozświetlonym tylko blaskiem świecy. Wyczułem coś szczególnego w sposobie, w jaki dotknęła draśnięcia na mej twarzy. Jej palce niemal zastygły w powietrzu, a potem właściwie tylko musnęły moją skórę. Była w tym nieśmiałość i powściągliwość, ale również tłumiona namiętność.

Emily usiadła przy stoliku, wsparła podbródek na dłoniach, spojrzała przez okno.

— Po zmroku, przy dobrej pogodzie, to musi wyglądać pięknie — stwierdziła. — Szkoda, że dziś leje.

Wpatrywałem się w nią tak uporczywie, że zapytała wreszcie, dlaczego to robię. Sięgnęła do torebki, wyjęła lusterko, przejrzała się dokładnie w taki sposób, jaki zapamiętałem: uniosła podbródek i zatoczyła lusterkiem niewielki krąg.

— Wciąż to robisz — powiedziałem. — Przeglądasz się w lusterku tak samo jak kiedyś.

Roześmiała się.

— Wpatrywałeś się we mnie tak bacznie, więc pomyślałam, że coś nie gra. Rozmazany tusz pod oczyma, szminka na zębach czy coś w tym rodzaju.

— Patrzę na ciebie, bo nie mogę uwierzyć, że siedzimy tu razem. Czy trzydzieści lat temu przypuszczałaś, że spotkamy się dziś w Waszyngtonie? — spytałem. Nie dodałem jednak: „mając własne rodziny”.

Nie odpowiedziała od razu. Przechyliła w przód i w tył kieliszek chardonnay, jakby zastanawiała się, co powiedzieć. Potem z uśmiechem popatrzyła mi w oczy.

— Trzydzieści lat temu myślałam czasem, że zawsze będziemy razem. Na przykład tego dnia, gdy odwoziłam cię na dworzec. Tego dnia nie umiałam sobie wyobrazić życia bez ciebie.

Wtedy ogarnęło mnie takie uczucie, jakie towarzyszy człowiekowi, który zna kogoś innego naprawdę dobrze — zna każdy centymetr ciała, wszystkie przyzwyczajenia, nawyki. Który nie musi pytać, czy podać kawę z mlekiem albo cukrem, bo to po prostu wie. Który — jeśli jest kobietą — odruchowo poprawia swojemu mężczyźnie krawat albo dopina guzik. Dotyka draśnięcia na policzku.

Zamówiłem bardzo specjalne wino — chardonnay Morgan — chociaż jakiś wewnętrzny głos ostrzegał mnie, że nie jest na moją kieszeń. Kelner przyniósł butelkę, zaprezentował etykietkę. Kiedy skinąłem głową, nalał odrobinę

trunku do mojego kieliszka, ja dokonałem degustacji i ponownie skinałem głową.

— Proszę zostawić butelkę na stole — powiedziałem.

— Obsłużymy się sami.

Skłonił się lekko i odszedł.

Emily zauważyła, że ten bar z pewnością bardzo się różni od Pubu Finna, i wtedy przypomniałem sobie tamtą mordownię w najdrobniejszych szczegółach, chociaż nie myślałem o niej od lat. Zresztą lokal Finna — dodała Emily — zmienił się do niepoznania i jest teraz słynącą z wykwintnej kuchni knajpką, którą w szczególności upodobały sobie panie z towarzystwa. Wie, bo niedawno jadła tam lunch z matką. Oczywiście natychmiast zaczęliśmy obgadywać matkę Emily, a zwłaszcza jej dezaprobatę wobec naszego związku.

— Twierdziła, że pocałunki prowadzą do gorszych rzeczy — roześmiała się Emily.

— Nas jednak nigdy nie doprowadziły, prawda?

Emily przestała patrzeć mi w oczy i opuściła głowę. Wyciągnąłem rękę i chwyciłem kieliszek, którym wciąż kołysała w przód i w tył; odstawiłem go na bok. Wylejesz to wino, powiedziałem. Chciałem po prostu ująć jej dłoń, ale zamiast tego zawiesiłem swoją w powietrzu takim gestem, jakbym coś dawał. Wtedy sama położyła dłoń na mojej, a ja lekko, przez moment, ją ścisnąłem. Potem nasze splecione palce spoczęły na środku stolika.

— Pragnąłem się z tobą kochać tamtego październikowego dnia — przyznałem. — Wiem, że zabrzmiało to idiotycznie, ale naprawdę chciałem, żeby wszystko wyglądało jak należy. Najpierw kolacja przy świecach. Rozmowa. Przytulanie. Myślisz pewnie, że to zabawne, prawda? Zbyt sentymentalne? Przedwczesne? Szalone?

I zacząłem się śmiać — po części, żeby pokryć zakłopotanie, po części zaś dlatego, że Emily kwitowała śmiechem każde z mych pytań.

Uniosła do twarzy wolną rękę, położyła na wardze jeden palec, przygryzła paznokieć. I rzekła niemal szeptem:

— Ja też tego pragnęłam.

Myślałem, że zwariuję. Chciałem ją wziąć już teraz, zaraz, zawieźć windą do swojego pokoju i położyć na łóżku.

Jakże dzisiejszy dzień różnił się do tamtego sprzed trzydziestu lat, kiedy powiedziała, że nie jest jeszcze gotowa, a potem wyznała, iż ma kogoś innego, ja zaś doszedłem do wniosku, że się spóźniłem. Ale zarazem nie mogłem oprzeć się myśli, że również dziś — kiedy trzymaliśmy się za ręce jak kochankowie, a nasze palce splatały się tak, jak mogłyby spleść się ciała — jest zwyczajnie za późno.

17

Trudno powiedzieć, czy przeważało we mnie uczucie ulgi czy rozczarowania, kiedy Jimmy nie zaprosił mnie do swojego pokoju. Podobnie mieszane uczucia miałam podczas jazdy z lotniska. Jimmy puścił moją kibić, kiedy otwierał przede mną drzwi taksówki, a potem usiadł wprawdzie obok mnie, ale położył pomiędzy nami swoją torbę. Pragnęłam, aby mnie dotknął, a przecież nie zrobił tego, chociaż tak łatwo mógł przykryć dłonią moją dłoń, spoczywającą na jego torbie.

Gdyśmy jechali windą na szóste piętro hotelu, ktoś mógłby z łatwością wziąć nas za rodzeństwo, chociaż różniliśmy się kolorem włosów. Tak przynajmniej sobie mówiłam. Staliśmy w tej przeszklonej windzie oddzieleni sporym dystansem, wyglądaliśmy na zewnątrz, zachwycaliśmy się uczuciem lotu przez ogromne atrium, rozważaliśmy, czy wiszące rośliny są z plastiku czy prawdziwe, no a jeśli są prawdziwe, to w jaki sposób sieje podlewa. Ot, paplanina. Zastanawiałam się wtedy, czy Jimmy podziela moje odczucie, że jest czymś na kształt złotej rybki w akwarium, że ludzie w foyer pokazują go sobie palcami, wygłaszają na jego temat uwagi i próbują odgadnąć, co tu właściwie robi.

Gdy zapytałam, czy jest głodny, odparł z początku, że coś tam przegryzł podczas lotu. Nie powiedział, że jest głodny, i nie powiedział, że nie jest. Ciekawe, myślałam, czy przypad-

kiem nie udziela tak nieprecyzyjnej odpowiedzi, bo nie wie, jaką właściwie wolałabym usłyszeć. Gdyby zwyciężyła wersja „głodny”, powinniśmy pójść do restauracji. Wersja „nie głodny” dawałaby szansę innym opcjom, chociaż trudno wyrokować jakim. Może przybrałam ton matki rozmawiającej ze swoim dzieckiem. Czy jesteś głodny? Czy ci nie zimno? Czy zabrałeś szczoteczkę do zębów? Odrobiłeś lekcje? Nie chcesz siusiu? Uderzyło mnie, że nie potrafię sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz zadałam Peterowi podobne pytanie. Jeśli jesteś głodny, kolacja czeka, mogłabym powiedzieć. Ale na tym koniec. Zmusiłam się, by położyć kres tym rozważaniom.

— Właściwie jestem głodny — stwierdził Jimmy.
— Gdzie te czasy, kiedy w samolotach przynosili człowiekowi solidny posiłek na tacy. Teraz rzuca ledwie torebkę fistaszków i to wszystko.

Roześmialiśmy się z przymusem, fastrygując byle jak rozmowę, do której nie byliśmy jeszcze przygotowani. Magnetyzm, jaki odczuliśmy na lotnisku, wynikał z powrotu do przeszłości. Na kilka chwil czas stanął w miejscu.

Kiedy odprowadzałam go do pokoju — położonego w przeciwnym końcu korytarza niż mój — zadałam sobie pytanie, czy recepcjonista nie rozdzielił nas z premedytacją, chroniąc przed wścibstwem tej samej pokojówki, która nie przegapiłaby przecież, że jedno z naszych łóżek jest skotłowane naprawdę, a drugie — byle jak, dla stworzenia pozorów, że ktoś w nim spał. Kiedy Jimmy szukał w kieszeni lucza, pasek torby zsunął mu się z ramienia, krepując ruchy. Powiedziałam: „Daj mi tę torbę, potrzynam”. Kiedy ją oddawał, nasze dłonie zetknęły się na moment i zaraz cofnęły. Jimmy wsunął kartę w szczelinę. Zielone światło. Drzwi otwarte.

— Przebiorę się — rzekł. — I przyda mi się gorący prysznic.

Powiedział to jeszcze na korytarzu, przytrzymując dłonią uchylone drzwi.

— Zapukaj do mnie, kiedy będziesz gotów — odparłam.
— Pokój 612.

— Wcześniej jeszcze—stwierdził.— Nawet nie dochodzi czwarta.

— No więc możemy wybrać się pod pomnik — zasugerowałam.

— Nie teraz — odrzekł. — Jeszcze nie czuję się na siłach.

I wtedy, wyraźnie zakłopotana, powiedziałam, że zobaczymy się później. Odwróciłam się, ruszyłam w niewłaściwym kierunku; kiedy chwilę później znów mijałam pokój Jimmy'ego, drzwi były zamknięte.

Po powrocie do siebie nie miałam pojęcia, co robić. Instykt podpowiadał mi, żeby zadzwonić do Petera, uznałam jednak, iż takie nietypowe zachowanie mogłoby zostać przez mojego męża zrozumiane opacznie. Zdjęłam golf, nałożyłam białą bluzkę bez rękawów, sięgnęłam po książkę, którą bez większych rezultatów usiłowałam czytać i w pociągu, zaczęłam przewracać stronicę, poszukując miejsca, w którym przerwałam lekturę. Potem włączyłam radio i oto, zrzędzeniem losu, rozległa się piosenka *My Girl*, którą kiedyś ze swoją kapelą Siddhartha śpiewał Jimmy. Czyżby to był jakiś znak, omen, zadałam sobie pytanie. A jeśli tak, to dobry czy zły? Ostrzeżenie czy akceptacja?

Niedługo potem zapukał do drzwi. Otworzyłam, nie pytając kto to.

— Powinnaś pytać, kto przyszedł — stwierdził Jimmy.

— Wiedziałam, że ty — odparłam.

— A mógł to być Kuba Rozpruwacz — zareplikował.

Trzymał pod pachą butelkę szampana. Miał lekko wilgotne włosy i świeżą ranę od żyłki koło ucha. Dotknęłam draśnięcia czubkami palców i zaraz cofnęłam dłoń, podświadomie uznając swój gest za zbyt intymny, choć zarazem był czymś najzupełniej naturalnym.

— No właśnie. Tym razem niezręczność w posługiwaniu się maszynką do golenia — powiedział. — Emily, zaprosisz mnie do środka czy może cały wieczór spędzimy w drzwiach? — Roześmiał się. — Włóż szampan do minibarku. Weź do domu i wypij z Peterem.

Zapewne dostrzegł, jak rzędnie mi mina, bo zaraz dodał:

— Oczywiście, jeśli masz ochotę, otworzymy go tutaj.

Miałam z lodówką takie same problemy jak Jimmy z zamkiem w swoim pokoju. Jimmy podszedł do mnie, przyklęknął na podłodze, wziął klucz, otworzył minibarek, opróżnił z puszek 7-up i piwa imbirowego, położył na półeczce butelkę szampana.

— Kiepscy z nas ślusarze — stwierdził z uśmiechem.

— Na dachu hotelu jest bar z widokiem na panoramę miasta — powiedziałam. — Chodźmy tam, bo na dworze leje.

Wsunęłam do torebki magnetofon, notes i długopis. Jimmy poprawił metkę, która wywinęła się spod mojej bluzki. Uwolnił spod kołnierzyka kilka zbłąkanych kosmyków włosów. W milczeniu, wykonując teatralne ruchy mima. Kiedy szliśmy do windy, moje ramię zwieszało się wzdłuż boku jak wyrzut sumienia.

— Stolik dla dwóch osób? — zapytał kierownik sali.

Pomyślałam, że nigdy nie byliśmy z Jimem w takim lokalu. Kiedyś nigdy nie wyobrażałam nas sobie w takim lokalu. To nie był Pub Finna, gdzie człowiek podchodził do baru tanecznym krokiem luzaka, to nie była jedna z tych kawiarni, do których wpadaliśmy przed kinem. Zastanawiałam się, jak często bywał w podobnych miejscach z żoną. Czy prowadzącą do stolika, kładł dłoń najej karku tak samo jak w tej chwili na moim. Siedliśmy w rogu, przy oknie. W dali było widać Kapitol, chociaż rozmyta i zszarzała w deszczu panorama w niczym nie przypominała tej, jaka olśniewała na zdjęciu w reklamówce.

— Staliśmy się naszymi rodzicami—powiedział Jimmy, wtórując moim myślom.

Poprosił kelnera o kartę win i zamówił chardonnay Morgan, trunek, o którym nie słyszałam nigdy przedtem, który jednak — może dlatego, że był istotnie tak wyśmienity, a może dlatego, że zamówił go Jim — smakował mi jak aksamit.

— Nie potrafię wychwycić w winie zapachu dębowych beczek czy owocowego posmaku, co ponoć jest abecadłem konesera — powiedziałam. — Ale to jest bajeczne.

Jim rozpromienił się, jak gdyby osobiście wytłaczał winogrona.

— Chłodzenie chardonnay to bzdura — stwierdził. — Powinno zostawić się je na stole. Niska temperatura zabija cały aromat.

Ciekawe, pomyślałam, czy to, że czuję się w tej chwili jak podfruwajka, sprawia, iż wyglądam jak podfruwajka. Spijająca z jego ust słowa na miarę homilii.

— Jest inne niż sikacz, który pijaliśmy kiedyś — zauważyłam. — A ten lokal jest inny niż Pub Finna.

— Pub Finna — mruknał. — Nie myślałem o tej mordowni od lat.

— Jerry Finn umarł na AIDS — powiedziałam. — Widziałam jego nekrolog.

— To mnie nie dziwi. Finn był rozpustnym facetem nawet wedle norm z lat sześćdziesiątych — uznał Jimmy.

— Jest tam teraz wykwintna knajpeczka. Kilka miesięcy temu jadłam w niej lunch z mamą. Z początku nie zorientowałam się, gdzie trafiłam, ale okazało się, że damska toaleta jest w tym samym miejscu.

— Ach, twoja mama. Nieprzemakalna pani Hudson. Jak się miewa? — uśmiechnął się szeroko. — Pamiętasz, jak podglądała nas z okna swojej sypialni? Z takim rozmachem zaciągnęła zasłonę, że pobudziła pewnie wszystkich sąsiadów.

— A nazajutrz oświadczyła mi, że pocałunki prowadzą do jeszcze gorszych rzeczy.

— Ale nas nigdy nie doprowadziły — stwierdził.

Patrzył mi przy tym w oczy; kiedy skończył, miał wciąż otwarte usta, jakby zamierzał powiedzieć coś jeszcze. Lecz nie powiedział. Czy tak samo jak ja rozmyślał o dniu, kiedy wrócił z obozu szkoleniowego? Dniu, kiedy powiedziałam mu, że jest ktoś inny? Pragnęłam w tej chwili sprostować wszystkie te kłamstwa. Oznajmić z całą mocą, że nigdy nie było nikogo innego. Wtedy nie było.

— Jeśli będziesz tak kołysać kieliszkiem, w końcu wylejesz wino, Emmie — rzekł cicho.

Zabrał mi kieliszek, postawił go na stole. Odsunął na bok wazon i świecę. Potem wyciągnął do mnie rękę, wnętrzem dłoni do góry. Zawahałam się przez chwilę, potem jednak podałam mu swoją. Mocno ją ścisnął; westchnęłam tak głęboko, tak donośnie, że wyszeptał coś w rodzaju: „Spokojnie, wszystko będzie dobrze”.

Mówił o tym, jak śnił o mnie każdej nocy w obozie szkoleniowym. Jak marzył, że wraca do domu, a ja obejmuję go za szyję, jak te dziewczyny na czarno-białych zdjęciach z „Life Magazine”, które mdlały w ramionach powracających do domu marynarzy, marynarzy marzących od miesięcy o takim właśnie pocałunku. Powiedział, że po powrocie do Nowego Jorku chciał mnie zabrać na kolację.

W Beaufort, ciągnął, miasteczku położonym opodal Parris Island, była niewielka restauracja. Matka zaprosiła go tam po zakończeniu szkolenia. Ojciec nie przyjechał. No wiec Jimmy chciał mnie zabrać do podobnej. Wiedział, że w Nowym Jorku jest ich sporo, w Małej Italii. Miejsc, gdzie stoły są przykryte czerwoną ceratą, a świece wtyka się w szyjki butelek po winie. Po kolacji poszlibyśmy na spacer. Pod fontannę albo nad rzekę.

— Tylko nie nad rzekę — zaprotestowałam. — W żadnym razie nie zaciągnęłabym cię nad rzekę.

Dobrze pamiętał tamten wieczór.

Nie miał pomysłu, gdzie moglibyśmy pójść po kolacji. Mój dom nie wchodził w grę, jego — tym bardziej.

— Zastanawiałem się, czyby nie poprosić Steve'a, żeby pozwolił nam skorzystać z mieszkania ojca. Jego stary wiele czasu spędzał poza miastem.

Przypomniałam sobie wieczór ze Steve'em i ogarnęły mnie wyrzuty sumienia.

— Chciałem, żeby ta chwila wypadła jak należy — powiedział. — Rozmyślałem o niej przez całe lato. Snułem plany. Marzyłem.

Kiedy to mówił, patrzył mi prosto w oczy.

— A potem wszystko poszło tak strasznie źle. Co się stało tego dnia, Emily? Co nawaliło?

— Ja też tego chciałam — odrzekłam. — Ale powinnam była ująć to jasno.

— Co się stało tamtego dnia? — powtórzył.

— To nie czas, żeby o tym mówić.

— Chyba nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć.

Podszedł do nas kelner, zamówiliśmy półmisek serów. Dopiliśmy wino. Jim sięgnął po portfel, ale wcześniej zdążyłam wypisać na rachunku numer swojego pokoju.

— Nie musiałaś tego robić — powiedział niemal grubiańskim tonem.

— To wchodzi w koszty — odparłam.

Na jego twarzy pojawił się wyraz niepewności.

— Zapłacisz następnym razem — rzuciłam wstając.

Wyszliśmy z baru, zjechaliśmy windą do foyer. Deszcz przestał padać. Powietrze było ciężkie, z chodników wciąż unosiły się kłęby pary.

— Przejdźmy się — zaproponowałam. — Pod pomnik.

— Jesteś pewna?

Objął ręką moje ramiona, ja objęłam go w pasie. Wracaliśmy pod fontannę. Niemal słyszałam tamburyny.

18

W waszyngtońskich chodnikach mokrych od deszczu było coś, co przywodziło mi na myśl Nowy Jork. Ciemny cement, który wilgoć uczyniła prawie czarnym, gryzący odór miejskiej sadzy w gęstym wilgotnym powietrzu. Kamienne domy wzdłuż alej. A może to tylko moja ręka spoczywająca na ramieniu Emily sprawiła, że poczułem się bardzo szczególnie. To uczucie spadło na mnie z impetem cegły ciśniętej w szybę. Uczucie, że jestem młody, że płonie we mnie ogień — niczego podobnego nie doświadczyłem od lat. Objąłem ją gestem zupełnie naturalnym, z zaborczością, jaka charakteryzowała mnie dawniej. Usiłowałem nie pamiętać, że Emily jest żoną innego mężczyzny.

Do pomnika Poległych w Wietnamie było daleko. Po drodze zatrzymaliśmy się przy ulicznym kramiku i kupiliśmy dwie butelki wody źródlanej. Zamierzaliśmy przysiąc na ławce, Emily jednak stwierdziła, że zapewne jest mokra. Mamuśka w każdym calu, powiedziałem żartobliwie.

Pójścia pod pomnik bałem się bardziej niż służby w piechocie morskiej. Lęk przed wojskiem ogarnął mnie dopiero na dworcu o Old Greenwich, chociaż w tej chwili nie jestem już pewien, czy właściwie bałem się wtedy wojny czy też rozstania z życiem, które znałem tak dobrze. Piechota morska była złem, którego nie znałem. Aż do tamtej chwili niemal miałem ochotę zostać bohaterem. Marzyłem o medalach, które przypną mi do piersi, o przyjeździe do kraju na

paradę zwycięstwa. Ja im wszystkim pokażę, myślałem. Udowodnię, że nie jestem nieudacznikiem. A potem, po zaledwie kilku tygodniach pobytu w Chou Lai, marzyłem jedynie o tym, żeby nie wrócić w jednej z tych szarych metalowych skrzyń, których długie szeregi widywałem na płycie lotniska. Budziło się we mnie tchórzostwo. Miałem coś na kształt wyrzutów sumienia, kiedy sunąc wzdłuż bezkresnej ściany pomnika, widziałem te wszystkie nazwiska. Pięćdziesiąt sześć tysięcy zapamiętanych przez kamień poległych.

Szliśmy w milczeniu, a Emily trzymała się o krok za mną. Nie narzucała się. Ustępowała miejsca mojej żalobie. To trwało ze dwie godziny, bo odczytywałem każde nazwisko jak elegię. Rozpoznałem trzy: Jerrold Hale, Beau Roberts, Quinton McBride. Hale i Roberts byli w mojej jednostce w Chou Lai. O nich wiedziałem. Ale ten Quinn McBride... biedny sukinsyn, nie mógł wejść do burdelu w Vegas, ale dał się rozwalić na strzepy w Wietnamie. Często rozmyślałem, co się stało z Quinnem, ale jak to zawsze bywa w podobnych sytuacjach, wreszcie dałem sobie spokój. Przesunąłem palcem po nazwisku Quinna i zacząłem płakać; gdy Emily położyła mi dłoń na ramieniu, cofnąłem się. Zrazu wyglądało na to, że opuści rękę, ale rezygnacja nie leżała w jej naturze, pod tym względem była zupełnie inna niż Mary. Raz jeszcze położyła dłoń na moim ramieniu i teraz w dodatku mocno zacisnęła na nim palce.

— Nie chciałbyś już przestać? — zapytała. — Może to był błąd. Proszę, nie odsuwaj się ode mnie.

Powiedziałem, że chcę iść dalej, wzięłem ją za rękę, spleliśmy palce. To jest kościół. To dzwonnica. Zajrzyj do środka. Popatrz na ludzi. Na pięćdziesiąt sześć tysięcy zmarłych. Chciałem, by mi towarzyszyła w tym miejscu. Byłem rad, że nie pozwoliła się odepchnąć, dzięki Bogu, nazwisko Quinna było ostatnim, które rozpoznałem.

Potem, po zakończeniu wędrówki, weszliśmy na szczyt wzgórza i usiedliśmy na ławce, z której było widać ścianę. Niebaczni w tej chwili, czy deski są mokre czy nie. Bardzo długo, jak mi się zdawało, patrzyłem w niebo, zanim zdołałem wydobyć z siebie głos. Chciałem powiedzieć jej tyle

rzeczy, ale klucha w gardle nie przestawała mnie dławić, jąkałem się więc i zatykałem co chwila. Wiele razy przerywałem, żeby opanować łyż podchodzące mi do oczu. Ostatni raz płakałem w porcie, nad prochami ojca. W pewnym momencie Emily wyjęła z torebki garść zmiętych serwetek i wcisnęła mi je do ręki. Przechodzący obok ludzie zerkali w naszą stronę, kręcili albo kiwali głowami, uśmiechali się blado. Ze zrozumieniem. Nieśli arkusze cienkiego papieru, pocienione tu i tam: nazwiska odrysowane z muru, podręczne kamienie nagrobne. Jak gdyby noszenie ich ze sobą miało w czymkolwiek pomóc. Trzymali te kartki w taki sam sposób, jak ja trzymałem popioły ojca. Dziś — tak samo jak wtedy, w porcie — mówiłem otwarcie, bez zahamowań, tyle że tym razem ktoś mnie słuchał. Ktoś, w lrim od dawna, od zawsze, pragnąłem mieć słuchacza.

No więc opowiadałem jej.

Do Da Nang przylecieliśmy około czwartej po południu. W kabinie samolotu panował chłód. Był maj. Nawet w Kalifornii było zimnawo, gdyśmy wyjeżdżali. No więc pierwsze, co zapamiętałem z Da Nang, to upał. Potrafię go porównać tylko do żaru, jaki zapanował na naszej ulicy, kiedy — miałem wówczas dziesięć lat — płonął teatr eksperymentalny. Z budynku wylewały się strumienie ludzi. Słyszałem wozy straży pożarnej i czułem dym. Skłębiona czerń waliła w niebo. Zbiegłem po schodach, wypadłem na ulicę, stanąłem w tłumie za barierkami policyjnymi, a ciepło ludzkiego skupiska zbiło się w nozdrzach w jedno z żarem objętego ogniem drewnianego budynku. Z taką samą ścianą gorącą zderzyłem się w Wietnamie po wyjściu z samolotu. Ścianą, która zatrzymywała człowieka w miejscu. Z Camp Pendleton lecieliśmy do Anchorage, gdzie samolot uzupełnił paliwo, a stamtąd na Okinawę; tam nastąpiła dwudniowa przerwa w podróży, ponoć po to, żeby przygotować nas na wietnamski klimat. Bzdura. To nie było to samo. Oprócz upału Wietnam ma specyficzny zapach. Nie potrafię go opisać, ale rozpoznam natychmiast. Coś nie z tej planety: zawieszisty odór zupełnie obcy naszym zmysłom. Niemal człowieka oblepia. Nie znajduję żadnych porównań — starannie wy-

mieszany koktajl z trzciny cukrowej, kassawy, ryżowisk, bydła, ropy naftowej i napalmu. Nie wiem, co to właściwie było, i chyba nie chciałbym nigdy więcej wdychać czegoś takiego w płuca.

Lot z Okinawy do Da Nang trwał zaledwie dwie godziny. Wolałbym być wtedy gdzie indziej. Da Nang było otoczone przez nieprzyjaciół, niewidzialnych i trudnych do wykrycia. O parę kroków przed sobą widziałeś staruszkę i nie miałeś pojęcia, czy trzyma granat w dłoni czy też pod workiem z ryżem.

Samolotem leciało nas około trzystu. Spałem niemal od startu do lądowania. Musiałem gdzieś umknąć. Byłem na krawędzi. Przerażony. Czuję, że kontrola nad własnym życiem wymknęła mi się z rąk. Leciliśmy cywilnym odrzutowcem ze stewardesami i wózkami do serwowania poczęstunku. Odnosiłem wrażenie, że członkowie załogi gapią się na mnie w taki sposób, jakby nie mieli mnie zobaczyć nigdy więcej. Jasne, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie mieli, ale oni patrzyli po prostu na mnie jak na przyszłego truposza. Kiedy się obudziłem, facet siedzący obok powiedział, że zeszłej nocy znów był atak na Chou Lai i że zginęło dwustu chłopaków. Miał spierzchnięte wargi, kiedy to mówił. I nieruchome źrenice. Był przerażony.

Po wyjściu z samolotu ujrzeliśmy grupę żołnierzy zmierzających w przeciwnym kierunku niż my. Wracali do domu. Patrzyli na mnie takim wzrokiem, jakby mówili: „Spoko, chłopie, już umarłeś. Myślisz, że jest gorąco? Poczekaj, dopiero idziesz do piekła.”

Jeden z tych facetów naprawdę powiedział: „Ty umierasz, chłopcze. Skąd jesteś?” A kiedy z trudem wykrztusiłem, że z Nowego Jorku, dodał: „Myślisz, że w Nowym Jorku jest ciężko? No to poczekaj, aż spędzisz tu trochę czasu.”

I parsknął chrapliwym zaflegmionym śmiechem.

Ci, którzy wracali do domu, byli bardzo młodzi, może o rok starsi ode mnie. Ale sprawiali wrażenie wymizerowanych, zmarnowanych i starych. Wraki.

Cisza na lotnisku w Da Nang była przytłaczająca. Żadnych głośników, żadnych pogawędek, żadnych śmie-

chów. Gdzieś w dali z hukiem eksplodowały bomby, ale te odgłosy tylko akcentowały cisze lotniska. Tak było zawsze — od chwili gdy przyleciałem do Da Nang, aż do momentu kiedy opuściłem Wietnam. Odgłosy w tle zawsze przypominały mi, gdzie jestem. Pomruki, które były jak grom przewalający się w oddali — tylko głębsze, częstsze i jedyne w swoim rodzaju. Ogień moździerzy.

Poza lotniskiem wrzało życie — rozładowywano zapasy, które później ciężarówki rozwoziły w rozmaitych kierunkach. Załadunek i rozładunek, bez przerwy. Nas trzystu szybko spędzono w gromadę i autobusami przewieziono do miasta. W jakiś osobliwy sposób wojna przypominała biznes: nie brakło wojskowych gryzipiórków pracujących od dziewiątej do piątej, a ponieważ przylecieliśmy o czwartej, nie było dość czasu na odwalenie całej roboty papierkowej, wydanie nam rozkazów i przydziałów. Zabrali nas więc do koszar przejściowych w mieście.

Na kolację wymknęliśmy się do hotelu. Potter i jego brat stryjeczny Tony byli już w Da Nang — mój wyjazd się opóźnił wskutek problemów z Wardem — no i zdążyli poznać układy. Zapłaciliśmy facetowi z armii Wietnamu Południowego, ten wsadził nas na tylne siedzenie swojego dżipa, przykrył plandeką i zawiózł na miejsce. Hotel, ośmiopiętrowy gmach z cegły, w Stanach uchodziłby pewnie za kicimęt. W restauracji był niezbędny w takim miejscu wentylator pod sufitem, laminowane stoły i mnóstwo gekonów, małych zielonych jaszczurek, które łąziły po ścianach, biegały gdzie popadnie i zżerały owady.

Byłem zdumiony, jak zamerykanizowane jest tu wszystko. Radośnie uśmiechnięci kelnerzy przynosili nam miski z ryżem i litrowe butelki wietnamskiego piwa. Żarcie smakowało dobrze, a my byliśmy głodni. Dostaliśmy nawet widelce, ale nie rozpoznałem żadnej pozycji w karcie. Nawaliliśmy się tego wieczoru jak meserszmity. Siedzieliśmy, gapiliśmy się na gekony, a litrowe flaszki pojawiały się na stole jedna za drugą. Kelnerzy uśmiechali się do nas jak do turystów.

Nazajutrz rano autobusami pojechaliśmy do bazy na rejestrację: nazwisko, stopień, numer, nazwa jednostki, najbliższy krewny. Podałem nazwisko ojca. Były nas setki, ale czułem się samotny. Rozeszliśmy się do sektorów bazy, w których stacjonowały nasze pododdziały, i czekaliśmy na rozkazy. Ja i Potter nie naczekaliśmy się długo: sześć godzin później porozdzielano nas i śmigłowcami porozsyłano na placówki. Ja i Potter trafiliśmy do Chou Lai, a Quinn, wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie, do Khe Sann. Bez przerwy rozmyślałem o słowach faceta z samolotu: zeszej nocy na Chou Lai był atak.

Stacjonowaliśmy z Potterem w najdalszej części Chou Lai, blisko morza. Kiedy śmigłowiec lądował po zmierzchu, usłyszeliśmy, że szykuje się następny atak, więc poszliśmy prosto do bunkra — głębokiej na mniej więcej sześć stóp jamy w ziemi, gdzie miało się stłoczyć jak śledzie nas dziesięciu. Siedzieliśmy wyprostowani, w hełmach, z giwerami na szyjach i nożami komandoskimi przy kostkach. Obłąziły nas węże i szczury, no więc mieliśmy dylemat: strzelać do węży czy pozwolić, żeby szczury je zeżarły. Postanowiliśmy jednak pozbyć się szczurów. Węże było łatwiej zdziesiątkować nożami czy buciorem. Ale szczury i węże niepokoiły nas mniej niż bomby. Dziękowaliśmy Bogu, że jest ciemno.

Ostrzegły nas syreny, potem odpalono rakiety. I teraz, kiedy mieszkam na Południu, oblewa mnie pot i serce zaczyna mi łomotać, ilekroć zawyją syreny zapowiadające nadejście tornada. Syreny z Mobile wyją tak samo świdrująco, gorączkowo i przeraźliwie jak tamte, po których nad naszymi głowami zaczynały przelatywać rakiety. I już tej pierwszej nocy zorientowałem się, że kiedy lecą rakiety, bunkier niewiele człowiekowi pomoże, że gdzieś tam wystrzelono już kulę, która jest przeznaczona dla ciebie, i możesz się tylko modlić, by jeszcze tym razem cię ominęła.

Po pewnym czasie rakiety przestały niepokoić mnie tak bardzo. Zacząłem czniać, co mi się może przytrafić. Byliśmy nieustannie naćpani. Marihuana była wszędzie na wyciągnięcie ręki. Wokół rozciągały się pola konopi indyjskich.

Wszystko w Wietnamie rośnie na potęgę — z wyjątkiem ludzi. Są owady wielkości ptaków i szczury rozmiaru kotów. Na Małpiej Górze opodal Da Nang żyją małpy skalne. Ze szczytu tej góry widać Morze Południowochińskie. To był piękny kraj, tylko cholernie spustoszony przez wojnę.

Niektórzy chłopcy ćpali nawet podczas ataków rakietowych, stojąc na dachach swoich baraków: każdą nadlatującą raketę witali dzikimi okrzykami, jakby bawili się w Indian i kowbojów. Wszyscy robili coś, żeby zapomnieć; o rzeczywistości przypominały nam tylko M-16 u boków i szczury.

Podczas kilku pierwszych ostrzałów bałem się jak diabli, potem jednak bałem się jeszcze bardziej, kiedy do nas nie strzelano. Nieprzyjaciel krył się w mroku, nie widziałeś go. Jakbyś szedł w Halloween przez dom, w którym straszy, nie wiedząc, kiedy coś skoczy ci na łeb. Tylko że tu wszystko działa się naprawdę. No więc kiedy zaczynała się w końcu strzelanina, człowieka ogarniało osobliwe uczucie ulgi. Od-dychało się łatwiej, znikał gdzieś niepokój, znikał strach. Bo już wiedziałeś. Strzelanina przynosiła odpowiedzi. Dwa jedynie istotne pytania brzmiały „kiedy” i „gdzie”. Kulę można było oszukać tylko wtedy, gdy człowiek wiedział, w którym momencie nadleci i skąd. Wiedząc to, bał się mniej.

Kule zawsze mnie chybiały, ale trafiały chłopaków obok. Czasem zabijały. Co człowiek robi w takim wypadku? Reaguje prawidłowo. O ileż łatwiej powiedzieć to teraz. W ciągu pierwszych miesięcy zginęło dziewięciu z mojego pododdziału. Wzywaliśmy sanitariuszy. Próbowaliśmy ewakuować ich śmigłowcami. Robiliśmy, co się da. Ale po jakimś czasie człowiek stygnie. Zamienia się w słup soli, kiedy pierwszy raz jego kolega pada na ziemię; za drugim razem próbuje coś zrobić, coś zupełnie bez znaczenia, bo tamten i tak jest martwy. Za piątym razem robi po prostu to, po co go tu przysłano, i stara się nie przeszkadzać. Za dziesiątym mówi sobie, że popłacze później, ale nie ma już w oczach żadnych łez.

Na początku zawierałem przyjaźnie, bo byłem przerażony i potrzebowałem przyjaciół. Ale przestałem, kiedy zacząłem ich tracić. W pewnym momencie człowiek nie chce już

mieć żadnych przyjaciół, chociaż nie wiem, czy kiedykolwiek pogodziłem się do końca z tym, że nie przyjaźnię się nawet z Potterem. No więc nie ma się czasu dla przyjaciół, ale nie ma też czasu na samotność. Samotność to teren, na który niebezpiecznie się zapuszczać. A przyjaciele mogą okazać się tylko chwilowym rozwiązaniem.

Tamten świat był czarno-biały, wahadło nigdy nie zatrzymywało się w pół drogi. Ponoć w życiu powinny być szarości i inne odcienie, ale tam nic nie było szare. Albo człowiek zabijał, albo jego zabijali. Tylko czerń i biel sprawiały, że świat jakoś funkcjonował, ale życie w takim czarno-białym świecie może człowieka doprowadzić do szaleństwa. Po dziś dzień unikam szarości, nigdy się z tego nie wyleczyłem. I właśnie dlatego czasem wariuję.

Nie zrozumcie mnie jednak opacznie. Mieliliśmy przepustki, rozrywki. Gdyśmy odrywali się od wojny, było jedno wielkie balowanie. Wiecie, o co mi chodzi? Biel i czerń: albo trzeźwy jak świnia, człowiek patrzył na świat przez urządzenie celownicze swojej giwery, albo chłał, ćpał czy dmuchał dziwki.

Przepustki spędzaliśmy w Bangkoku, Grzesznym Mieście, piekle i raj w jednej pigułce. Myślę, że właśnie tam bywałem bliższy śmierci niż gdziekolwiek indziej. Po tajsku rozumiem, kiedy ktoś obrzuca mnie mięsem, i potrafię się zrewanżować. To zabawny język, ten tajski: jedno słowo może znaczyć wiele różnych rzeczy w zależności od sposobu akcentowania. No więc nie powinno się po pijaku komplementować młodych dam. Kiedyś po paru głębszych chciałem jednej takiej powiedzieć, że ma ładną buzię, a ona wyciągnęła na mnie kosę. Więc pewnie ją niechcący znieważylem.

Amerykańscy żołnierze byli motorem tajskiej gospodarki, dostawali wszystko, co chcieli, i zawsze, kiedy chcieli. Dostawali tanio. Wszystko — gorzałę, trawę, kwas, herc, hazard, kobiety. Kobiety też były tanie, chociaż im młodsze, na przykład czternastoletnie, tym droższe. Wszystkie nosiły na plecach numerki. Nocne lokale miały nazwy w rodzaju

Klub Manhattan czy Klub Nevada. Pamiętam, że w Klubie Cleveland facet śpiewał łamaną angielszczyzną *Do You Know the Way to San Jose*. Podawano w tych klubach pizzę i hot dogi, żebyśmy czuli się swojsko. A te kobiety, stojące albo siedzące w podciągniętych spódniczkach, przywodziły mi na myśl Muzeum Historii Naturalnej, te sztuczne goryle siedzące na skałach w szklanych klatkach. Wystarczyło wejść i usiąść, a dziewczyny otaczały człowieka wianuszkami. Tylko wybrać numer. Pięć docłów za noc. Robiły wszystko z wyjątkiem fleta. „Budda mówi niedobre”, wyjaśniła mi jedna z dziewczyn.

No więc balowaliśmy na całego. Schlany w trupa ciągnąłem szkocką z gwinta, paliłem skręty i dymałem. Po każdym sztosie dziewczyny robiły człowiekowi kąpiel. Byłem królem dżungli. Dwa razy złapałem trypra. Te numerki, które dziewczyny nosiły na plecach, miały oznaczać, że są zdrowe i poddawane badaniom okresowym, ale przypuszczam, że pomiędzy jednym takim badaniem a drugim zaliczały czterdziestu albo pięćdziesięciu facetów, teoretycznie więc prawie tyłu mogły obdarować tryniem.

Jednego razu poznałem gościa o nazwisku Prescott. Mike Prescott pracował dla Służby Radiowo-Telewizyjnej Amerykańskich Sił Zbrojnych — mówiliśmy w skrócie SRASZ — i trzymał sztamę z chłopakami z Air America, stworzonej przez CIA firmy, która z Tajlandii prowadziła tajną wojnę w Laosie. No więc ten Prescott miał kartę członkowską klubu Żółty Ptak; poszliśmy tam z dwiema flaszками whisky Chivas Regal, które kupił w bazie po dwa dolary osiemdziesiąt za sztukę, a cokolwiek nam do tej szkockiej podawali — lód, wodę sodową czy mineralną — kosztowało osiem batów, czyli ciut ponad pół dolara. Ale hitem programu w Żółtym Ptaku było to, że właściciele zatrudniali najładniejsze młode laseczki z Niemiec, Francji, Anglii czy Australii, jakie udało się im znaleźć. Dziewczyny o prostych oczach. Były wprawdzie tylko dziwkami gadającymi po angielsku, ale klientami zajmowały się naprawdę ekstra, a poza tym nikt w Żółtym Ptaku nie złapał trypra. Bawiliśmy się tam przednio.

Inne wojny nigdy nie miały czasu, żeby wcisnąć się do salonów w naszych domach, trwały za krótko. Wietnam dostarczał cowieczornej rozrywki przez siedem i pół roku. Nie było wielkich zwycięstw, triumfalnych nagłówków. Żadnej Iwojimy, żadnej Normandii, żadnej Hiroszimy. Tylko My Lai, a takie miejsca jak My Lai szły w tysiące. W Wietnamie każdego dnia przytrafiało się jakieś My Lai. Pewnego razu wysłano mnie z eskadrą hueyów. Ci faceci to była banda parszywych sukinsynów, chociaż uważali się po prostu za ostrych zakapiorów. Chodziło o rozpoznanie. Przelatywaliśmy jakieś dwieście albo trzysta stóp nad przyjazną wioską, aż tu nagle, w samym jej środku, widzimy Charliego. Charliego w otoczeniu gromady kobiet i dzieciaków wczepionych w matczyne spódnice. I ten Charlie do nas strzela. No ale myśmy do niego nie mogli, bo wioska była „przyjazna”, a poza tym trudno myśleć o czystym strzale, kiedy facet stoi wśród kobiet i dzieci. Charlie trafił śmigłowiec parę razy, no i wtedy celowniczy karabinu maszynowego otworzył do niego ogień krótkimi salwami. Miałem to wrażenie, że nigdy się nie skończą. Zabił wszystkich, widziałem to: kobiety, dzieci, Charlie, wszyscy osunęli się na ziemię. Przez kilka minut nikt nic nie mówił. Popatrzyłem na strzelca, chłopaka niewiele starszego ode mnie.

— Myślałem, że nie wolno tego robić — powiedziałem.

Strzelec głęboko zaciągnął się papierosem i zapytał, czy umiem pilotować hueya. Odparłem, że nie,

— No wiec ja też nie umiem — stwierdził.

Cóż, nie zamierzał ryzykować, że pilot zostanie trafiony.

— W tych stronach to legalne — dodał.

Wiedziałem, że ma na myśli zabijanie. Morderstwa. Nie miał zamiaru dać się zestrzelić tylko dlatego, że Charlie stał w otoczeniu wieśniaków. No i spróbujcie mnie przekonać, że to nie było My Lai. Spróbujcie powiedzieć, że nie było milionów takich My Lai. Nigdy nie zapomnę wyrazu oczu strzelca. Musiałem odwrócić głowę. Chyba po jakimś czasie zabijanie przestaje się dostrzegać. Śmierć traci znaczenie.

I to było najgorsze. Wszyscy urodziliśmy się i żyliśmy w świecie, gdzie człowiek odróżnia dobro od zła. Może

naginać i przekręcać zasady, ale musi grać względnie uczciwie. Bóg mi świadkiem, że przed wyjazdem do Wietnamu nagiąłem dla swoich potrzeb niejedną zasadę. Ale kiedy człowiek te zasady łamie, no, wtedy płaci wysoką cenę. Bo to jest tak: jedziesz do Wietnamu i nie musisz dłużej przestrzegać ani zasad, ani praw. Co było w porządku, staje się fe, co było złe, staje się dobre. Zabijasz ludzi. Postępujesz właściwie, paląc domy i zakładając miny. Nikt ci nie ma za złe, kiedy łziesz, oszukujesz, pijesz i ćpasz. Kiedy zadajesz się z dziewczkami. Rozwalasz wioski. Cacy jest to wszystko, co kiedyś potępiałeś. Potem wracasz do domu i próbujesz znów znormalnieć, a kiedy próbujesz — obrażasz, ranisz i sprawiasz rozczarowania. Stopniowo, po jakimś czasie, zaczynasz dochodzić do siebie, ale już nigdy nie będziesz całkowicie normalny.

Miałem dwadzieścia lat, kiedy wróciłem z Wietnamu. Człowiek bardzo się zmienia pomiędzy osiemnastym a dwudziestym rokiem życia. Moja służba wojskowa dobiegła końca w 1970. Wracałem do domu przez Kalifornię, pokonując w odwrotną stronę tę samą trasę, którą jechałem do Wietnamu. Gdy tego styczniowego dnia wyjeżdżałem z Chou Lai, było sto szesnaście stopni Fahrenheita; gdy przyleciałem na lotnisko Kennedy'ego — dwadzieścia sześć. Latem minionego roku Johnson zaczął wycofywać wojska, rozpoczęły się paryskie rokowania pokojowe. Dobrze było wrócić do domu, ale wszyscy dawali mi poznać, jak są przeciwni tej wojnie. Zbyt długo trwał mój pobyt w Wietnamie. Spałem całymi dniami, wstawałem, żeby coś zjeść, i znowu waliłem się do wyra. W Wietnamie potrafiłem nie spać przez kilka dni, a jeśli już spałem — to w bunkrze albo wsparty o drzewo. Czyli tak uczciwie nie spałem od stu lat.

Zrozumcie mnie właściwie — wcale nie uważam, że różnił się od innych żołnierzy, walczących w innych wojnach. Na przykład w drugiej światowej czy nawet koreańskiej. Niczym żeśmy się nie wyróżniali: szczególny był tylko sposób, w jaki nas traktowano. Nie jak bohaterów. Dzwoniłem do starych kumpli i albo nie było ich w domu,

albo mnie nie pamiętali. Wiedziałem, że to pieprzenie w bambus. Stałem się ich wrogiem.

No więc ta wojna była inna, ale ani lepsza, ani gorsza niż wszystkie poprzednie. Ginęli ludzie. Te biedne ćwoki pełżyły po plaży Omaha, podczas gdy dookoła ich kolegów rozrywało na strzępy, a morze barwiło się czerwienią. Ci faceci usiłowali nie zginąć. Kiedy patrząc ponad lufami swoich karabinów dostrzegali facetów w mundurach innego koloru, naciskali spust. Ten numer dokładnie tak samo wyglądał w Wietnamie. Myśmy też naciskali spust, kiedy ktoś nosił inny mundur. Potem wracaliśmy i ich trupy kładliśmy tu, a nasze tam. Trupy to trupy. Skośnookie czy niebieskookie, niemieckie czy azjatyckie. Bez znaczenia.

Obijałem się po świecie przez parę lat, zanim zaniósł mnie do Mobile. Kucharzyłem w barze szybkiej obsługi, pracowałem na stacjach benzynowych, sprzedawałem telewizory, kelnerowałem, rozprowadzałem filmy po kinach. Miałem dwadzieścia osiem lat, kiedy ożeniłem się z Mary. Można powiedzieć, że jestem dupek i to dlatego nasze małżeństwo układa się tak kiepsko, ale taka diagnoza byłaby za łatwa. Jest mi trudno zbliżać się do ludzi, a ludziom — jeszcze trudniej zbliżyć się do mnie. Nie całkiem wiem, czy tak było zawsze. Wolę unikać patetycznych deklaracji, że byłem jakiś tam przed Wietnamem i jakiś tam po Wietnamie. Zresztą do telefonu Emily niewiele pamiętałem z tego, co działo się przed Wietnamem; moje wspomnienia z ostatnich trzydziestu lat były znacznie bogatsze niż z pierwszych siedemnastu.

Powiedziałem Emily, jak jej telefon obudził we mnie nostalgię, jak zapragnąłem wciąż cofać się w czasie. Jak zobaczyłem w telewizji reklamę infolinii o numerach telefonicznych, gdzie wystarczy podać nazwisko — nawet bez miejsca zamieszkania, bez stanu — i jak spróbowałem skorzystać z jej usług. Bo chciałem odszukać Pottera. Nie widziałem go od 1970, kiedy to on poleciał do Bostonu, a ja do Nowego Jorku. Nie sądzę zresztą, żeby były jakiegokolwiek wspomnienia, które chcielibyśmy ze sobą dzielić. W bostońskiej agencji turystycznej jego matki dowiedziałem się, że

Potter mieszka w Rockport w stanie Massachusetts. Trochę się bałem tego spotkania po latach. Wiedziałem o nim tylko tyle, że ożenił się ze swoją wietnamską dziewczyną imieniem Gina. No więc koniec końców dotarłem do niego i przegadaliśmy wiele godzin. Gina, jak się dowiedziałem, popełniła samobójstwo, a Potter samotnie wychowywał dwójkę ich dzieci. O ironio losu! Panicznie się bałem, że to Gina opowie mi o śmierci Pottera, a tu masz: zmarła Gina. Mieli pewne problemy, wyznał Potter. Gina popadła w depresję po urodzeniu drugiego dziecka. Powiedziałem, że mi przykro. Że głupia sprawa. Potter ożenił się ponownie pięć lat temu. Z kimś, kogo bardzo, jak stwierdził, kocha. Mają dwuletnią córeczkę. Opowiedziałem mu o Clancy i Mary; zapytał, czybyśmy nie wpadli do niego całą trójką. Wreszcie dodał, że jeden z synów jego i Giny jest żonaty i ma już dziecko, synka. Potter został dziadkiem. Nie do wiary. Zastanawiałem się, czy Potter zdołał uporać się z Wietnamem. Z Gina. Wątpliwe.

No więc płakałem tego dnia pod pomnikiem Poległych. Wszyscy płacemy. Jest tam pięćdziesiąt sześć tysięcy nazwisk; rozpoznałem wśród nich tylko trzy. Ale nawet nazwiska nie mają w tej chwili znaczenia — znajome czy nieznajome.

Pierwsze, o co pytają mnie ludzie, kiedy się dowiedzą, że byłem w Wietnamie, to czy kogoś zabiłem. Tak zawsze brzmi pierwsze pytanie. Nigdy na nie nie odpowiadam. Mówię, że strzelałem wprawdzie wiele razy, ale nie wiem, czy kogokolwiek zabiłem. Choć wiem i wiedziałem wtedy. Ale to niczyj zafajdany interes. Rodzice nigdy mnie nie pytali, kiedy wróciłem do domu, nie chcieli wiedzieć. Pytali, co mam ochotę zjeść na kolację, a ja, okaleczony w środku, milczałem nawet wtedy. Przez cały czas pobytu w Wietnamie gadaliśmy o powrocie do domu. Liczyliśmy dni. Niedużo zostało, mówiliśmy. Tylko osiemdziesiąt sześć. I prosiliśmy Boga, żeby pozwolił nam przez ten czas utrzymać się przy życiu. I kiedy człowiek wracał w końcu do domu, następowało największe rozczarowanie, bo rodzina go nie poznawała. Nie wiedziała, jak się do niego odnosić, co mówić. Co do mnie,

jeszcze przed wyjazdem byłem dla rodziców kimś obcym, ale przecież nie aż tak obcym jak po powrocie.

Przez wiele lat spałem z nożem pod poduszką, przy czym, co może najbardziej zatrważające, nie boję się śmierci. Patrzyłem jej w oczy, a ona patrzyła w moje.

Nie jestem pewien, czy to wojna wzniosła we mnie te wszystkie linie obronne, wzbudziła odruch odpychania ludzi. Na pewno go wzmocniła. Dochodzę do jakiegoś stopnia zażyłości, wtedy włącza się sygnał ostrzegawczy i uciekam. Może to instynkt samozachowawczy. Przestałem się zbliżać do ludzi, kiedy musiałem cierpieć patrząc, jak umierają. Nie jestem nawet pewien, czy miałyoby dla mnie znaczenie, gdyby urządzono nam w kraju paradę zwycięstwa. Gdybyśmy zostali okrzyknięci bohaterami i udekorowani. Czy przez to oglądanie śmierci tamtych stałoby się łatwiejsze? Wątpię. Przeszło pięćdziesiąt osiem tysięcy Amerykanów zginęło w Wietnamie. Walczyło sześć milionów osób. Wątpię.

Musiałem o tym wszystkim gadać z godzinę. Kiedy zamilkłem, zorientowałem się, że pada. Z początku trudno było stwierdzić, czy Emily płacze, bo jej policzki mogły być mokre właśnie od deszczu. Ale płakaliśmy oboje. Z powodu tego, co było, co jest i czego być nie może. I wtedy padliśmy sobie w ramiona, a każde złożyło głowę na barku tego drugiego. Ogarnął mnie dojmujący ból, a mimo to nie czułem się bliższy kogokolwiek nigdy w życiu. Minęło wiele czasu, odkąd przed- kimkolwiek uchyliłem drzwi.

19

Siedzieliśmy na wzgórzu, pod nami był pomnik Poległych. Panowała cisza. Doszliśmy do końca ściany około siódmej, teraz wracali do domu ostatni odwiedzający, zaczynał padać deszcz.

Jim patrzył w niebo, snując swoje opowieści — o tym, co nastąpiło po naszym październikowym spotkaniu, o tym, jak na zawsze odmieniło się jego życie. Zabráł mnie z Kalifornii do Wietnamu i z powrotem. Miałam wyschnięte, póluchylone wargi. Tylko deszcz je zwilżał, czułam smak kropel. Zlizywałam te kropelki. Nie chciałam się poruszać, nie chciałam mu przerywać najdrobniejszym gestem, ot choćby uniesieniem dłoni do twarzy. Zresztą nie byłam wcale pewna, czy mówi do mnie: to wyglądało tak, jakby otworzył sobie żyły i pozwolił wyciekać krwi. Deszcz padał coraz mocniej i mocniej, moczył nam włosy i spływał po twarzach. Moja bluzka przemiękła na wylot, koszula Jima oblepiła jego ciało. Wydawało się, że nie zwraca na to najmniejszej uwagi, może zresztą był mokry nie tylko za sprawą deszczu, bo wyraźnie czułam, że się poci. Co więcej, czułam, że cierpi. I strasznie ubolewałam, iż wtedy, kiedy miał siedemnaście lat, nie znalazłam żadnego sposobu, żeby go ocalić.

Nie spuszczałam z niego wzroku, kiedy patrzył w niebo, nie spuszczałam ani na chwilę — tak samo jak wtedy, kiedy na Cyplu Toda spoglądał na horyzont. Był tym chłopcem, którego znałam, który włożył mi pierścionek na palec, który

ubrany w obcisły biały T-shirt tulił mnie na plaży. Który śpiewał dla mnie z estrady. I czułam, że znam go na wylot również jako mężczyznę, jakby nigdy nie legło pomiędzy nami trzydzieści lat. Kiedy mówił równym spokojnym głosem, wyobraziłam sobie czerwieniejące morze, szczury w bunkrze i chudego chłopaka, który w Tajlandii mechanicznie posuwa dziwki. Ogarniało mnie drżenie.

Jakże niewiele wiedziałam, mając szesnaście lat. Jima obrabowano z młodości, kiedy ja rozdawałam goździki na Columbus Circle, boso biegałam wokół fontanny Bethesda, szpanując pacyfami w uszach i czarną opaską na ramieniu, a potem wracałam do domu, siadałam przy elegancko zastawionym stole i jadłam kolację podawaną przez służącą. Jim gnił w bunkrze, kiedy ja siedziałam w swojej sypialni, gapiłam się na kościelne witraże, czytałam wiersze i z premedytacją omijałam wzrokiem jego fotografię. Dla mnie wojna była sprawą wcale nie tak prawdziwą, jak wtedy sądziłam. Słuchając opowieści Jima, pomstowałam w myślach na facetów pokroju Barry'ego z Columbi, którym wydawało się, że coś wiedzą. Niceśmy nie wiedzieli. Nie mieliśmy bladego pojęcia. Nie urządziliśmy im parady, nie witaliśmy w domu. Faceci pokroju Barry'ego nazywali ich mordercami. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że umierają nawet ci, którzy wrócili żywi.

Kiedy skończył, nie umiałam z siebie wydusić ani słowa. Nie sięgnęłam do torebki po dyktafon, nie poczyniłam żadnych notatek. Kiedy skończył, mogliśmy tylko przytulić się do siebie. To przyszło łatwo po wyszeptanym przez Jima słowie, które powiedziało mi, że skończył, i było wyzbycie wszelkiego erotyzmu. Daliśmy tym gestem wyraz naszej przyjaźni, byliśmy jak dwoje dzieci, które w swojej bliskości szukają ratunku przed koszmarami nocy — potworami, błyskawicami, piorunami. Legły w gruzach wszystkie dzielące nas mury.

Chyba aż do tej chwili nie miałam pojęcia, co to znaczy, że człowiekowi pęka serce. Czułam się jak ktoś, kto nie dotrzymał najświętszej z obietnic. Byłam głupią dziewczynką, która przyrzekła trzymać jego serce w obu dłoniach

i nigdy nie upuścić i oto nie tylko je upuściła, lecz z całą siłą cisnęła o ziemię, roztrzaskując swoją obietnicę w drobny mak niczym tafelę szkła.

Musieliśmy trzymać się w objęciach wiele minut, ale te minuty upłynęły aż nazbyt szybko.

— Toniemy — powiedział Jimmy ze śmiechem. Swoim dawnym gestem założył za ucho kosmyk moich włosów i rękawem wytarł mi twarz. — Chodźmy w jakieś miejsce, gdzie jest sucho.

Teraz z kolei ja wytarłam jego twarz.

— Gdybyś się mógł widzieć — westchnęłam prostując ramiona. — Przemokłeś na wyłot.

Zapadł już zmierzch, spędziliśmy pod pomnikiem wiele godzin. Jasno gorzały światła u podnóża ściany, sprawiając, że posągi weteranów wyglądały jak zjawy budzące się do życia. Człowiek miał wrażenie, że karabiny w ich dłoniach gotowe są wystrzelić lada chwila. Oprócz nas były jeszcze tylko trzy osoby; złożyły na ziemi mokry wieniec i różę, którą przedtem jeden z trojga musnął wykuty napis.

Wyszliśmy z Jimem na ulicę i zatrzymaliśmy taksówkę. W czasie krótkiej, może dziesięciominutowej jazdy do hotelu położyłam głowę na ramieniu Jima, a nasze splecione dłonie spoczywały na jego udzie. Milczeliśmy, słyszeliśmy własne oddechy, szum opon sunących po wilgotnym asfalcie, rytmiczną pracę wycieraczek, cichą muzykę z radia nastawionego na jakąś hiszpańskojęzyczną stację. W końcu milczenie przerwał Jim.

— Kiedyś pachniałaś cytrynami — powiedział.

— A ty wodą canoe — odparłam.

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

— Jakim cudem to zapamiętałaś?

— A jakim ty?

Bez słowa wsiedliśmy do windy, żeby wjechać na szóste piętro; gdyśmy tam dotarli, nie było pytań ani dyskusji, w którą stronę pójdziemy. Zakłopotanie rozwiało się jak dym, pytania doczekały odpowiedzi. Wiedzieliśmy gdzie i kiedy. Wyjęłam z torebki i podałam Jimowi kartę magnetyczną; pewnym ruchem wsunął ją w szczelinę zamka.

Otworzył drzwi, usunął się na bok. Wpuścił mnie do środka, zawiesił na klamce tabliczkę „Nie przeszkadzać”, zamknął za sobą drzwi i założył łańcuch. Przyglądałam się mu w milczeniu.

Najzupełniej naturalnym gestem ściągnął przez głowę przemoczoną koszulę, wytarł nią twarz, kark i włosy. Miał szerokie bary i bliznę na lewym boku. Podszedł do minibarku, wyjął butelkę szampana, potem przyniósł z łazienki dwie szklanki i zdjął z nich przykrywkę z marszczonego papieru.

— Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy wypili to tutaj? — rzekł. To nie było właściwie pytanie.

Włączył radio, złapał stację ze starymi przebojami; poprosił, żebym odwróciła głowę i otworzył szampana, osłaniając ścierką szyjkę butelki. Usiadł po turecku na podłodze, wziął mnie za rękę, usadził naprzeciwko siebie. Siedziałam w pozie kopenhaskiej syrenki, tak samo — uświadomiłam sobie — jak tamtego lata przy skrzynce pocztowej. Rozlał szampana, podał mi szklankę, lekko stuknął w nią swoją. Przez cały czas patrzył mi w oczy.

— Za nas — powiedział. — Za dzisiaj.

Wypiliśmy szampana jednym haustem, zbyt szybko, jak wodę.

Doszło do tego bardzo prosto. Johnny Rivers śpiewał *Tracks of My Tears* i Jim wstał. Bąknął, że zeszywniały mu kolana, założył rękę za kark, przeciągnął się, pokręcił głową, wydając przy tym teatralne jęki. Wyciągnął ramię i pomógł mi wstać.

— Chodź — poprosił. — Zatańcz ze mną. Zatańcz z poskrzypującym staruchem.

— Nie ciągnij tak mocno — odparłam. — Też się chyba zasiedziałam.

Tańczyliśmy tak jak w latach naszej młodości, prawie się nie poruszając. Jim tulił mnie mocno i poczułam, że twardnieje; przywarłam do niego ze wszystkich sił. Nasze policzki się dotknęły, nasze splecione dłonie spoczywały nisko na udzie Jima. Czułam szorstkość mokrego denimu. I czułam chłód jego drugiej ręki na moim gołym ramieniu. Piosenka dobiegła końca, a didżej oznajmił: „To był lipiec 1967”.

Przestaliśmy tańczyć i popatrzyliśmy na siebie, kręcąc głowami. Jim musnął mój policzek grzbietem dłoni. I zaczął mnie całować — najpierw szyję, potem policzki, oczy, nos i wreszcie usta. Jego język wcisnął się do środka, krążył po wargach, dziąsłach, zębach. Tak dobrze pamiętałam jego pocałunki, tak dobrze pamiętałam jego zapach i smak. Wszystko szło tak łatwo. Przez chwilę myślałam, że zaraz usłyszymy łopot zaciąganej z impetem zastony.

— Zdejmij te mokre ciuchy—powiedział. — I chodźmy do łóżka.

Uśmiechnął się do mnie łagodnie i czule, jakbym była dziewczynką, i przysięgam: jego oczy miały taki sam wyraz jak trzydzieści lat temu. Zrozumiałam, że to jest dobre. Ze to jest moje, nasze.

Wyschliśmy, ale nasze włosy wciąż były wilgotne. Radio zaczęło trzeszczeć, gubić stację, przez szum jednak usłyszeliśmy *Bielszy odcień bieli*. Wydawało się, że puszczają same piosenki z 1967, a może tylko te słyszeliśmy. Zresztą nie miało to żadnego znaczenia. Kątem oka dostrzegłam wskazówki zegara: dziewiąta. Przeszło mi przez myśl, żeby zadzwonić do domu... ale i to było nieważne. Kiedy Jim wysunął się z dżinsów i położył na mnie, zapomniałam o wszystkim: gdzie jest moje miejsce na ziemi i kim jestem teraz. Byłam tam, gdzie powinnam być, byłam z tym, z kim powinnam być.

Tego wieczoru wypiliśmy całą butelkę szampana, a o drugiej nad ranem zamówiliśmy następną, do niej zaś krewetki i wędzonego łososia.

I wtedy, z łatwością kogoś, kto przeżył całe życie pamiętając, Jim powiedział:

— Nigdy nie przestałem cię kochać, Emmie.

Ja zaś go pocałowałam; jak szesnastolatka — śmiało, bezwstydnie, niemal wyzywająco.

— A ja kochałam cię coraz bardziej — odparłam. — I nie przestałam ani na chwilę.

— Nigdy nie mówiłem nikomu tego wszystkiego co tobie dzisiaj — wyznał.

— Przecież to żadne tajemnice — zdziwiłam się. — Dlaczego? Nawet Mary?

Ugryzłam się w język, niepewna, czy postąpiłam słusznie wymieniając imię jego żony, ale nie zwrócił na to uwagi.

— Czy to nie oczywiste? — spytał. — Byłaś zawsze jedyną, która potrafiła zrozumieć. Jedyną, która rozumiała. Jedyną, która знаła mnie naprawdę. Dlaczego to zrobiłaś, Emmie? Dlaczego odeszłaś?

Kiedy znów nasunął się na mnie, pomyślałam niemal ze strachem, że jest zły. Patrzył na mnie badawczo. Ale kiedy zaczął się ze mną kochać, wyraz jego twarzy złagodniał.

Wchodząc we mnie, szepnął:

— Powiesz mi kiedy indziej. Nie teraz. Nie teraz.

20

Łatwo zasnąłem tej nocy. Trzymałem Emily w ramionach. Budziłem się kilka razy, bo sen mam lekki i nie sądzę, by w jakichkolwiek okolicznościach mogło to ulec zmianie. Ale bliskość Emily przynosiła mi spokój. Kiedy w pewnym momencie dotknąłem jej włosów i musnąłem palcem policzek, poruszyła się i uśmiechnęła.

— Kocham cię, Emily Hudson — wyznałem.

— Ja też cię kocham, Jimie Moranie — szepnęła, a potem położyła głowę na mej piersi.

I w takiej właśnie pozycji obudziliśmy się rano — wcześnie, zbyt wcześnie, może o siódmej. W gruncie rzeczy byłem jednak rad, że nie przespaliśmy dnia. Zależało mi na każdej chwili.

— Ktoś, kto ma dzieci, ma również zegar w głowie — uśmiechnęła się Emily.

— Były czasy, kiedy mogłem spać do południa—odparłem i znów zacząłem się z nią kochać. Jak to będzie, zadawałem sobie pytanie, kiedy jutro rano się rozstaniemy. Oboje byliśmy świadomi, że jutro nieuchronnie nadejdzie, ale żadne z nas nie chciało o tym rozmawiać. Mogło się zdawać, że są nam pisane tylko pożegnanie i niepewność, czy jeszcze kiedykolwiek się spotkamy.

Ciężko zniosłem jej poranny telefon do domu. Kiedy zakręciłem wodę pod prysznicem, usłyszałem, jak Emily opowiada Peterowi o pomniku Poległych. To irracjonalne,

ale w myślach i rozmowach posługuję się tylko imieniem „Peter”, bo określenie „jej” czy „twój mąż” przychodziłoby mi ze zbyt wielkim trudem. Pokazała mi zdjęcie, na którym był z dziećmi. Dziewczynka była podobna do niego, chłopcy do niej. Typowe.

Nie przywożłem fotografii Mary, Clancy natomiast — nawet kilka: Clancy na kucyku, Clancy wystrojona na swoje przyjęcie urodzinowe, Clancy ze mną na kanapie. Emily uznała, że Clancy jest śliczna.

Słyszałem, jak mówi Peterowi, iż dostarczyłem jej „cennych informacji”. I że byłem „wielce pomocny”. Wtedy przyszło mi do głowy, czy właściwie nie chodziło tylko o to: pożywkę dla tekstu, pozowanie do obrazu. Musiała się zorientować, że słyszałem jej rozmowę. Weszła do łazienki, gdy owinięty w pasie ręcznikiem goliłem się przed lustrem.

— Nie zawsze potrzeba słów, żeby kłamać — powiedziała, widząc w lustrze, że podnoszę na nią wzrok. — Czasem wystarczy przemilczenie.

— Nigdy nie okłamuj mnie w żaden z tych sposobów — odparłem.

— Zapewne w okamgnieniu przejrzałyś mnie na wylot.

— Chciałbym wierzyć — stwierdziłem. — Kiedyś uważałem, że potrafię.

Nie odpowiedziała; objęła mnie w pasie i położyła głowę na moich plecach.

Zastanawialiśmy się, czyby nie wynająć samochodu i pojechać gdzieś na plażę. Do Bethany nie jest daleko, zauważyła Emily. I do plaży Rehoboth w Delaware. Ledwie kilka godzin jazdy. Albo plaży Virginia. Tylko że byłoby to trwonienie bezcennego czasu, którego zostało nam już tak niewiele. Liczyliśmy go na godziny, próbowaliśmy spowolnić zegar nieubłagalnie tykający w naszych głowach.

Po mnie przysznic wzięła Emily. Wszedłem do łazienki, kiedy szminkowała usta. Miała włosy zaczesane do tyłu, nosiła długi biały szlafrok na gołe ciało. Szlafrok nie był zawiązany mocno, widziałem w lustrze piersi Emily. Podszedłem bliżej, pocałowałem ją w kark, wsunąłem dłoń pod szlafrok.

— Już nie pachniesz cytrynami — powiedziałem.

— To się da zrobić, możemy kupić cytrynową wodę kolońską — zaśmiała się. — Twoja canoe? Wciąż ją produkują?

To zabawne, że nasze stare wspomnienia zaczęły tracić na znaczeniu w miarę rodzenia się nowych. Smutne natomiast, że w przypadku nas dwojga wszystko sprowadzało się do wspomnień — tych, które już są, i tych, które się stają. Do przeszłości, która z takich czy innych powodów nie ma dalszego ciągu. Pragnąłem, by Emily każdej nocy zasypiała w mych ramionach. Pragnąłem budzić się przy niej każdego ranka. Chciałem przynosić jej herbatę, kiedy maluje, przyrządzać dla niej kolacje, prowadzić z nią przy winie długie rozmowy. Chciałem ją mieć przy sobie, kiedy nocą wyją syreny zapowiadające nadejście tornada. I wtedy przychodziła myśl o Clancy, Mary i jutrze. Myślenie o jutrze było nieznośne.

— Chyba teraz nie musimy już wracać do dawnych czasów, nie sądzisz? — zapytałem.

Poszliśmy do kafeterii i wzięliśmy śniadanie na wynos; po drodze od ulicznego handlarza kupiłem dla Clancy pamiątkowy T-shirt. Usiedliśmy na stopniach pomnika Lincolna, widząc w dali wietnamski. Słońce usiłujące wyrzeć zza chmur rzucało pojedyncze promienie na tłumy sunące wzdłuż ściany. Nie chcę tam iść nigdy więcej, pomyślałem. Wystarczy patrzeć z daleka.

Wyjęła moją kawę z papierowej torby, przedziurawiła wieczko, podała kubek. Dlaczego tak bardzo poruszył mnie ten prosty gest? Może dlatego, iż wystarczył jeden dzień, aby zapamiętała, że piję czarną.

— Pamiętasz ten wieczór, kiedyśmy weszli do kościoła Świętego Tomasza i obściskiwali się w ostatniej ławce? — zapytała. — Panował wtedy przejmujący chłód i nie mieliśmy gdzie się podziać.

— Zawsze szukaliśmy miejsc, w których mogliśmy być sami — odparłem.

— To dlatego tak bardzo lubiliśmy chodzić wieczorami na plażę. Idealne miejsce.

Lubiliśmy chodzić wieczorami na plażę. Wyczuwałem, że przeszłość — młodość — ciągle w Emily trwa.

Pewnego razu poszliśmy na plażę w pochmurny, grożący burzą dzień. Nie było nikogo oprócz nas. Czarna flaga zakazywała kąpieli, zamknięty bar przekąskowy skrył się za opuszczoną metalową żaluzją. Gdzieś w dali przetoczył się grom. Wszystko teraz do mnie wracało, przestawałem bać się wspomnień. Tego dnia leżałem na skałach, opierając głowę na udach Emily. Tego dnia dałem jej sygnet.

— Pamiętasz dzień, kiedy dałem ci pierścionek? — zapytałem. — Byliśmy wtedy na plaży, nadciągała burza.

— Ojciec uważał, że powinnam ci go oddać. Że nie wypada, bym go nosiła, bo jestem za młoda.

— Ale nie posłuchałaś.

— Tak, schowałam go i nakładałam tylko poza domem. Przywiozłam go ze sobą.

— Wracajmy do pokoju — zaproponowałem. — Pokażesz mi. Ja zabrałem trochę zdjęć.

Siedzieliśmy na podłodze, jak dzieci bawiące się klockami. Otworzyłem swoją torbę podróżną (teraz stojącą w kącie pokoju Emily), sięgnąłem po kopertę z fotografiami. Wyciągnąłem tę przedstawiającą Emily w żółtym bikini. Aż się wzdrygnęła na jej widok.

— Jezu — westchnęła. — Nie do wiary, że ci wysłałam coś takiego. Jennie zrobiła to zdjęcie, jest pozowane. Chyba przez kilka godzin wyczyniałam różne wygibasy, a potem przez cały dzień wybierałyśmy jedno ujęcie z może dwudziestu.

— W koszarach powiesili je na ścianie — wyznałem i z rozpędu opowiedziałem o wystawie laseczek. Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się jak podfruwajka. Nawet zakryła twarz dłońmi.

Potem pokazałem jej zdjęcie, które Jennie zrobiła nam dwojgu na Cyplu Toda.

— Tylko popatrz, jacy byliśmy niewinni — powiedziałem.

Miałem długie ciemne włosy. Objmowałem Emily jednym ramieniem, ona — oboma trzymała mnie za szyję.

Patrzyła na moją twarz, a ja, uśmiechnięty, gapiłem się gdzieś w dal. Mieliśmy na sobie wytarte dżinsy, poza tym ja — biały trykot, Emily zaś wypuszczoną obfitą koszulę. Byliśmy na bosaka.

— Zawsze spoglądałeś na Geśninę — zauważyła.
— Wtedy myślałam, że to już ocean.

— Dawało mi to poczucie wolności — odparłem.
— Miałem wrażenie, że ciągnie się w nieskończoność.

Wyjęła sygnet, odwinęła z bibułki.

— Tak się cieszę, że go zachowałam — westchnęła.

Wsunąłem jej pierścień na palec.

— Nigdy nie zdołałem ci dać lepszego — powiedziałem i pocałowałem ją w rękę.

Odszukała w walizce książkę Roda McKuena. Przekartkowała.

— Popatrz tutaj. Popatrz, co napisałeś. „My”.

Przerzucaliśmy stronicę, mając wrażenie, że każdy wiersz został napisany specjalnie dla nas. Na przykład taki:

Nie uwierzysz:

Idę na wojnę

Trudno pojąć, że się może zdarzyć,

Iż po kolana będzie brodzić w biocie

Ktoś, kto tak jak ja kocha piasek plaży

Że ktoś, kto kocha wodę

I każdy dzień, który mija,

Że więc ktoś taki, pomyśl,

Ktoś taki będzie zabijać.

— Musimy porozmawiać, Emily — stwierdziłem.

— Musimy porozmawiać o tamtym październikowym dniu.

Położyła palec na mych wargach, może by mnie uciszyć.

Wzięłem go do ust.

— Pokochajmy się najpierw — odparła.

Nie poszliśmy do łóżka. Ściągnąłem narzutę na podłogę i kochaliśmy się wśród starych zdjęć i starych wierszy. Kiedy było po wszystkim i legliśmy obok siebie na wznak, Emily

przez chwilę patrzyła w sufit, a potem przewróciła się na bok i przeciągnęła dłonią wzdłuż szramy na mym barku.

— Skąd to masz? — zapytała.

— Jeden facet z mojego plutonu świrował na haju. Próbowaliśmy go uspokoić. Kiedy zawyły syreny, wyciągnął nóż i zaczął chlastać na lewo i prawo. Napatoczyłem się i to wszystko.

— Boję się mówić o tym październikowym dniu — wyznała.

— Cokolwiek powiesz, niczego w tej chwili nie zmieni — odrzekłem.

— Wiem — szepnęła. — I to jest właśnie najgorsze.

21

Tej pierwszej nocy w Waszyngtonie spałam w jego ramionach jak zabita. I pierwszy raz od siedemnastu lat spałam nago. Pościel wydawała mi się chłodna. Położyłam głowę na jego piersi, nasze nogi były splecione. Nie wstydziałam się swego ciała. Przed spotkaniem myślałam z niepokojem, że być może spodziewa się zobaczyć szesnastoletnią dziewczynę. Kiedy później, w łóżku, zwierzyłam się mu z tamtych obaw, parsknął śmiechem. Przecież w takim wypadku byłabyś nieletnia, powiedział.

Miałam uczucie, że należę do niego, że należymy do siebie, że nigdy się nie rozstaliśmy, świadoma jednak, iż za dzień czy dwa znowu zacznę za nim tęsknić, usiłowałam skoncentrować się na chwili bieżącej. A mimo to bez przerwy powracała natrętna myśl o każdym niechybnie nadchodzącym jutrze bez niego.

Po wzięciu prysznicu Jim stanął przed lustrem: z ręcznikiem wokół bioder i kremem do golenia na twarzy. Podeszłam od tyłu, objęłam go w pasie. Patrzyły na nas nasze odbicia, jak wtedy, w autobusie, kiedy wyjęłam puderniczkę. Widząc swoją twarz, zawsze będziesz widziała również moja, powiedział wówczas.

Odwrócił się i pocałował mnie, zostawiając przy tym smugę piany na mym policzku. Wytarłam ją grzbietem dłoni. Pocałował mnie ponownie, ale przedtem starannie usunął ręcznikiem cały krem ze swej twarzy.

— Teraz będziesz musiał zacząć od nowa — powiedziałam.

— Gdybym tylko mógł — odparł.

Milczałam. Ta myśl prześladowała mnie przez całą noc, przez cały ranek. Odkąd wysiadłam z samolotu. Budziła wyrzuty sumienia. Chciałam pozostać z nim na zawsze i żałowałam, że zawsze z nim nie byłam. Czy to znaczy, że wyrzekam się swoich dzieci? Jakiś wewnętrzny głos odpowiadał na to trzeźwo: są moimi dziećmi i pozostaną nimi, cokolwiek nastąpi. Petera nie udało mi się jakoś wpisać w równanie.

Nie rozmawialiśmy z Jimem ani o Peterze, ani o Mary, przestrzegając w tym względzie niezwerbalizowanej umowy. Jakbyśmy ich chronili. I udawaliśmy, że nie dostrzegamy swoich obrączek.

— Słyszałem twoją rozmowę telefoniczną. Czy uzyskałaś wszystkie cenne informacje? — zapytał z przekąsem. Dopiekł mi do żywego.

Podczas rozmowy z Peterem usiłowałam się zdobyć na możliwie naturalny ton głosu, a zarazem nie mogłam doczekać się chwili, kiedy ta rozmowa dobiegnie końca. Peter aż nazbyt donośnie przywoływał mnie do rzeczywistości. Cóż mnie mogło obchodzić, że Jack i Sam śpią, a może nie śpią? Że Julie wybiera się w odwiedziny do przyjaciółki? Że Peter ma Charliemu za złe picie piwa imbirowego do śniadania? Że ogrodnik nie przyszedł na wiosenne porządki? Peter wyjeżdżał dziesiątki razy, a przecież nigdy nie zwracałam mu głowy szczegółami naszej codziennej egzystencji. Postępował nie fair, zasypując mnie lawiną tych prozaicznych informacji. Chciałam oderwać się od tego wszystkiego. Nie chciałam wiedzieć.

— A co twoim zdaniem miałam mu powiedzieć, Jim? — zapytałam, siadając na krawędzi wanny. — Skłamałam przez przemilczenie.

— Wiesz, że nie o to mi chodzi — stwierdził, przeciągając po policzku maszynką do golenia.

— Porozmawiamy o tym później.

— Jutro wyjeżdżamy — przypomniał. — I co potem?

Milczałam. Nie miałam żadnych odpowiedzi.

— Wyczyta coś z wyrazu twojej twarzy, kiedy wrócisz do domu? — spytał.

— A Mary wyczyta? Chrzanisz jak moja matka, Jim — odparłam.

— To najokrutniejsza uwaga, jaką kiedykolwiek wygłoszono pod moim adresem — parsknął śmiechem i cisnął we mnie rękaznikiem.

Czy tak byłoby zawsze? — zadałam sobie pytanie. Czy potrafilibyśmy łagodzić tarcia pocałunkiem albo żartem?

Wzięłam prysznic, kiedy skończył toaletę. Szminkowałam się przed lustrem, gdy wrócił, pocałował mnie w szyję i wsunął dłoń pod mój szlafrok.

— Gdybym nie mdlał w tej chwili z głodu, natychmiast zaciągnąłbym cię do łóżka — powiedział. — Wskakuj w ciuchy, potwornie się guzdrzesz.

Gdyśmy wychodzili z hotelu, powietrze było upalne i przesycone wilgocią. Przypomniałam sobie letnie dni, kiedy wilgoć wręcz przyginała mnie do ziemi. Kiedy byłam oblepiona dzieciakami. Kiedy dźwigając Julie w nosidełku, miałam wrażenie, że zwiędnę w skwarze. A Peter majestatycznym krokiem przewodnika stada maszerował przed nami. Dziś jednak mimo upału chciałam czuć Jima tuż przy sobie. Chciałam, żeby się do mnie kleił.

Po śniadanie poszliśmy do kafeterii opodal pomnika Lincolna. Kiedy stałam w kolejce, Jim poszedł do telefonu i zadzwonił do Mary. Mówił głośno, żeby przekrzyczeć zgiełk. Słyszałam jego słowa.

— Wracam jutro, maleńka — mówił. — Ja też już się nie mogę doczekać.

Zastanawiałam się, czy kłamie tak samo, jak ja okłamywałam Petera.

— Rozmawiałem z Clancy — oznajmił, odpowiadając na pytanie, którego nie zadałam.

— Skąd wiesz, że się zastanawiałam?

— Z wyrazu twojej twarzy — odparł. — Teraz już rozumiesz?

Usiedliśmy na schodach pomnika Lincolna, żeby zjeść śniadanie: kawę i bułki z serem. Wyjęłam papierowe kubki z kawą, do swojego wlałam śmietankę, ale Jimowi podałam czarną.

— Uważaj, gorąca — ostrzegłam.

— Dzięki, mamusiu. Lubię, jak mi dajesz kawę. Skąd wiedziałaś, że piję czarną?

— Sam mi powiedziałeś — odparłam. — Koniec z herbata. Tylko czarna kawa.

— Uważnie słuchałaś.

— Sierżant zafundował ci obróbkę.

Przyglądaliśmy się ludziom, sunącym długim rzędem wzdłuż muru pomnika Poległych w Wietnamie.

— Chyba nigdy nie zdołam tam wrócić—powiedział Jim — choć zapewne kiedyś powinienem przywieźć tu Clancy.

— Peter i ja przywieźliśmy dzieci kilka lat temu—oznajmiłam. — Julie była jeszcze wtedy w wózecku, obie zostaaliśmy z boku. Nie miałam odwagi patrzeć.

— Sądziłaś, że znajdziesz na murze moje nazwisko?

— Nie wiem. Pewnie bałam się właśnie tego. I że nie potrafię opanować rozpaczy.

— Biedaczysko Quinn — mruknął Jim. — Wiedziałem o Khe Sanh. To była masakra. Zawsze chciałem wierzyć, że Quinn jakoś uszedł z życiem, ale uszło naprawdę niewiele. — Odstawił na stopień swój kubek. — Chodź tu — powiedział i przytulił mnie gestem człowieka, który szuka ochrony przed zimmem. — Wracajmy do pokoju i pooglądajmy zdjęcia.

To były stare zdjęcia, niektóre miały jeszcze takie jasne ramki wokół kadru. Pokazał mi to, które Jennie zrobiła na plaży nam obojgu. Byliśmy tacy młodzi. Pomyślałam o Jacku i dziewczynie imieniem Kerri, którą zabrał na bal maturalny. Nigdy nie traktowałam ich jak pary, chociaż Jack chodził z nią do kina, a w soboty pożyczzał bmw Petera. Jack nigdy nie jeździł na randki moim starym volvem. Zastanawiałam się, czy Jack i Kerri mogą się kochać tak jak my z Jimem i zawsze dochodziłam do wniosku, że chyba jednak nie.

Na zdjęciu miałam długie włosy, prawie do pasa, włosy Jima natomiast były kruczoczarne.

— Nic dziwnego, że uwierzyłam w ten twój tekst o indiańskim pochodzeniu—powiedziałam.—Ale podobają mi się również szpakowate. Szpakowaty mężczyzna wygląda nobliwie. Widzisz, jacy z was farciarze? Kobieta, cóż, z kobietą to zupełnie inna sprawa.

Roześmiał się.

— Szpakowata kobieta wygląda nob... no, byle jak.

Wtedy wyjął zdjęcie, na którym byłam w żółtym bikini, i opowiedział mi o koszarowej ekspozycji pańienek.

— A ja zawsze sądziłam, że trzymasz tę fotografię pod poduszką. Tymczasem przeznaczyłeś ją na ogólny użytek.

— Prawie tak samo ujął to sierżant — stwierdził Jim ze śmiechem. — „Niech wszyscy mają pociechę, Moran.”

Wyjęłam z kosmetyczki pierścionek, odwinęłam bibułkę.

— Patrz, w środku wciąż jest lepki od plastra — powiedziałam. — Odkleiłam plaster wtedy, w październiku, kiedy wróciłam do swojego pokoju. Chciałam sobie przypomnieć, jak duże masz dłonie.

Przyłożył swoją do mojej. Była wielka i twarda, pełna odcisków.

— Daj mi ten pierścionek — poprosił.

Wsunął go na palec mojej prawej dłoni; na lewej nosiłam obrączkę ślubną. Pierścionek był o wiele za duży, przekreślił się natychmiast.

— Dokładnie pamiętam, gdzieśmy siedzieli, kiedy ci go dałem. Na skałach Cypla Toda.

Sięgnęliśmy po książkę McKuena. Copyright był z 1967, dedykacja zaś — na co nigdy dotąd nie zwróciłam uwagi — brzmiała: „Dla E.” Odszukałam miejsce, w którym Jimmy napisał słowo „My”.

— Nie zauważyłam go tamtego lata, lecz zaledwie kilka tygodni temu — wyjaśniłam.

— Może gdybyś znalazła je przed moim powrotem z obozu szkoleniowego, sprawy potoczyłyby się inaczej — stwierdził. — Pamiętam, kiedy to napisałem. Ty i Jennie

robiłyście wtedy lunch. Emily, co się stało tamtego październikowego dnia?

Wiedziałam, że rozmowa zmierza do punktu, w którym unikanie problemu zasadniczego stanie się niemożliwe.

— Pokochajmy się — zaproponowałam.

— Nie rozpraszaaj mnie — odparł. — Zmieniasz temat.

Ale ściągnął narzutę z łóżka i kochaliśmy się na podłodze. Obok nas leżały fotografie, książka i pierścionek, który zsunął mi się z palca.

22

Kiedy Clancy powiedziała, że za mną tęskni, przeszył mnie ból. Festyn Strażacki był super, mama wygrała dwie złote rybki, oznajmiła. Ale jazda bez taty na diabelskim młynie to nie to samo.

— Mama wrzuciła trochę miedziaków do akwarium. Bo wygrała też akwarium. Dzisiaj kupimy niebieskie kamyki na dno, żeby akwarium wyglądało jak basen — ciągnęła Clancy z ożywieniem. — Mama też za tobą tęskni, tatusiu.

Dlaczego to powiedziała? zastanawiałem się. Czyżby dzieci miały szósty zmysł? Czyżby Clancy usiłowała w jakiś sposób naprawić sytuację?

— Ja też za tobą tęsknię, maleńka — odparłem.

— Mam powiedzieć mamie, że też za nią tęsknisz? — spytała.

— Bez dwóch zdań. Do zobaczenia jutro, maleńka. Będę w domu na kolację.

Ledwie skończyłem mówić, ogarnęła mnie zgroza. Nie dlatego, że wkrótce zobaczę Clancy. Nawet nie dlatego, że zobaczę Mary. Dlatego, że rozstanę się z Emily.

Tego wieczora poszliśmy na kolację. Kusiło mnie wprawdzie, żeby zamówić ją do pokoju, ale uznałem w końcu, że powinno to być coś specjalnego. Nałożyłem tweedową marynarkę i było mi w niej gorąco jak diabli. Ubierałem się w swoim pokoju, a Emily w swoim.

— To coś na kształt randki — powiedziałem. — Spodziewam się nawet, że drzwi otworzy mi twój ojciec.

Drzwi jednak otworzyła Emily — w czarnej sukience bez rękawów i dekoltu, w szpilkach i gładkich czarnych pończochach. Miała włosy ujęte w węzeł na czubku głowy. Po raz pierwszy odkąd się spotkaliśmy, wyglądała w moich oczach jak kobieta. Kobieta, nie zaś młoda dziewczyna.

— Wyglądasz olśniewająco — stwierdziłem.

— A ty jesteś niezwykle przystojny w marynarce i krawacie. Dasz wiarę, że nigdy nie widziałam cię pod krawatem? — spytała.

— Przecież musiałem nosić krawat do szkoły, nie pamiętasz?

— Ale zawsze przed naszym spotkaniem chowałeś go do kieszeni.

Restauracja nazywała się U Calvina i była jedną z „najwykwintniejszych” w Waszyngtonie, jak mi powiedział recepcjonista, którego poprosiłem o sugestię.

— Czy mam zarezerwować stół dla pana i pańskiej małżonki? — zapytała.

Zrazu zamierzałem wyprowadzić go z błędu, ale zaraz zrezygnowałem. Bo jak wyjaśnić, kim jest Emily? I co dla mnie znaczy? Osobliwa rzecz, jaką treść niosą słowa w rodzaju „mąż” i „żona”. Obwieszczają światu, że chociaż teraz wasze drogi się rozeszły, to przecież kiedyś kochaliście się dostatecznie mocno, by wybrać wspólną. Obwieszczają światu, że jesteście w sobie uwikłani — jeśli nie przez miłość, to przez dzieci, majątek, rodzinę. Dziwne, pomyślałem, żenię potrafię zdefiniować kobiety, którą kocham tak bezgranicznie. Żona innego mężczyzny kochana przez męża innej kobiety?

Gdyśmy tego dnia przechodzili przez foyer, recepcjonista powiedział:

— Życzę panu i małżonce przyjemnego wieczoru.

Ani ja, ani Emily nie odezwałyśmy się słowem.

Siedzieliśmy na podwyższeniu w samym środku restauracji, mając przed sobą bar; wzdłuż jego ściany stały akwaria z egzotycznymi rybami. Pomyślałem natychmiast o Clancy,

jej złotych rybkach i niebieskich kamykach. Zamówiłem butelkę szampana.

— No więc mów — zagałem. — Lepszej okazji nie będzie, a skoro jesteśmy w miejscu publicznym, zapewne powstrzymamy się od scen.

— Co mam mówić? — zdziwiła się Emily.

— Powiedz, dlaczego porzuciłaś mnie tego październikowego dnia.

— To ty ode mnie odszedłeś — zareplikowała.

— A ty oświadczyłaś, że z kimś sypiasz. Co niby miałem zrobić? — zapytałem. — Kim był ten facet?

Trudno jej było zacząć. Powiedziała, że pod koniec lata miała wrażenie, że świat wali się jej na głowę. Siostry wykpiwały ją bezlitośnie, mówiły o Jej "żołnierzyku", złośliwie śpiewały *Return to Sender*. Nazajutrz po moim wyjeździe urobiła matkę, żeby ta zawiozła ją do jubilera.

— Przekłułam sobie uszy. Zawsze się tego bałam i nosiłam tylko klipsy. Uznałam jednak, że jeśli ty możesz iść do piechoty morskiej, ja mogę przekłuć sobie uszy. Na szczęście.

— Zmieniasz temat — zauważyłem.

Odparła jednak, że ma to związek z całą historią.

Tego lata nie umówiła się z nikim, ani razu. Przy jej ulicy mieszkali dwaj chłopcy z miasta, którzy tak jak ona spędzali wakacje w Old Greenwich. Jeden studiował w Cornell, drugi — w Case Western. Ot, chłopcy z college'u jeżdżący mustangami.

— Ale nawet oni mnie nie kusili — stwierdziła.

— A więc ten, który w końcu zdołał, musiał być naprawdę kimś wyjątkowym — powiedziałem. Całkowicie zignorowała moje słowa.

Kilka tygodni po rozpoczęciu roku szkolnego doszła do wniosku — choć trudno jej było w to uwierzyć — że już się do niej nie odezwę. Długo nie dostawała żadnych listów. Trochę zaczęły z Jennie świrować — paliły papierosy, Jennie również trawkę, której zresztą spróbowała i Emily. Pod żakietami nosiły czarne opaski, a w uszach — pacyfy kupione latem.

Kiedy Emily mówiła, jej dłonie nie ustawały w ruchu. Ująłem je w swoje.

— Coś przewrócisz — ostrzegłem. — Przestań się tak denerwować.

— Ale jestem zdenerwowana. — Głęboko zaczerpnęła powietrza i zdobyła się na uśmiech. — Chciałam wszystko wyjaśnić przez trzydzieści lat, a teraz przychodzi mi to tak ciężko.

Wciąż trzymałem jej dłonie, co ją chyba uspokajało.

Moje listy włożyła do pudełka po butach, schowała pierścionek przed ojcem. Tego październikowego dnia poszła do swojego pokoju i przeczekała przy telefonie całą noc, licząc, że do niej zadzwonię.

— Czekałam dłużej niż tę jedną noc. Każdego dnia, wracając ze szkoły do domu, oglądałam się przez ramię. Nigdy cię nie zobaczyłam — powiedziała.

— Ależ zadzwoniłem do ciebie natychmiast po powrocie — wtrąciłem.

— Psst, poczekaj. Pozwól mi skończyć. To nie jest łatwe.

Nieomal bałem się dalszego ciągu, bo zobaczyłem, że Emily zbiera się na płacz. W pewnym momencie pragnąłem wykrzyknąć, że to wszystko nie ma w tej chwili żadnego znaczenia. Milczałem jednak, bo w istocie bardzo, ale to bardzo chciałem wiedzieć.

Matka powtarzała jej ciągle, że nie jestem już chłopcem. Że jestem mężczyzną, a co gorsza — żołnierzem, i że Emily powinna zrozumieć, na czym polega różnica. Emily pamięta, jak się spierała, jak wrzeszczała do matki, że nikt nie może zmienić się tak bardzo w ciągu trzech miesięcy. Matka ostrzegała wtedy, że wojsko robi z ludźmi osobliwe rzeczy.

— Jeszcze latem postanowiłam, że ci się oddam, kiedy przyjedziesz do domu — powiedziała ze śmiechem. — Takiego właśnie określenia używałam w myślach. Nigdy nie rozmawiałam o tym z Jennie, to było zbyt osobiste. Bardzo dojrzałam tego lata po twoim wyjeździe. Nigdy nikogo nie kochałam tak jak ciebie wtedy.

— No więc co zmieniło to wszystko? — zapytałem, choć znałem już odpowiedź. Coś, co spotykało mnie, kiedy po powrocie z Wietnamu dzwoniłem do kumpli. Jim Moran? Jim jaki? Nikt nie chciał pamiętać.

Odparła, że mój wygląd w owym dniu. Wystraszyłem ją. Nazwałem głównym jej pacyfy. Nie miałem długich włosów, nie nosiłem dzinsów. Byłeś ubrany jak mężczyzna, stwierdziła. Byłeś ostrzyżony na jeża, twoja skóra była szorstka i ogorzała. Twoje ciało znacznie większe niż kiedyś.

I prześladowały ją słowa matki.

— Bałam się nawet powiedzieć, że się ciebie boję — usiłowała wyjaśnić. — Chybabyś nie zrozumiał. No więc łatwiej było bąknąć, że jest ktoś inny. Żeby zamknąć sprawę. Bo nie w tym rzecz, że przestałam cię kochać.

— Mam rozumieć, że nie było nikogo innego? — zapytałam.

— Chodziło o sposób, w jaki do mnie mówiłeś. „Pozwól mi strzelić salwę na pożegnanie, Emily”, powiedziałeś. Przestałeś być sobą.

— Nie odpowiadasz na pytanie — stwierdziłem. — A więc był ktoś inny czy też to ja ponoszę za wszystko odpowiedzialność?

— Wtedy nie — odparła. — Nikogo nie było. Kiedy odszedłeś, wróciłam do siebie, wyjęłam wszystkie twoje listy. Całą noc pragnęłam do ciebie zadzwonić. Odszedłeś tak łatwo. Nie byłam pewna, czy jeszcze cokolwiek dla ciebie znacę. Nie wiedziałam już, jaki jesteś naprawdę.

Długo milczeliśmy ob oje; podszedł kelner i napełnił nasze kieliszki.

— Czy życzą sobie państwo czegoś jeszcze? — zapytał. — Wszystko w porządku?

Uznałem to pytanie za osobliwe.

Położyła dłoń na moim ramieniu; doznałem pokusy, by ją odepchnąć. Chyba wyczytała to z moich oczu, bo po chwili sama cofnęła rękę.

— Jesteś zły, prawda? — zapytała pokornie. Zirytowała mnie, nie chciałem jej współczuć.

— Jak mogłaś mi zrobić coś takiego? — nie kryłem żalu.

— Byłam tak młoda, Jimmy — odparła. — Za głupia, żeby zrozumieć.

— Ale to właśnie ty miałaś być tą, która rozumie.

Czy zdawała sobie sprawę, jak cierpiałem, zastanawiając się przez wszystkie te miesiące, kim „on” jest? Kto mi ją zabrał? Wiem, że byłem brutalny tego październikowego dnia. Wiem, że zmieniłem się od wyjazdu w lipcu. Ale jeśli chodzi o Emily, byłem taki sam. Jak mogła tego nie dostrzec?

Milczeliśmy do końca posiłku. Kelner przyniósł rachunek, zapłaciłem. Nie obchodziło mnie, jak wytłumaczą Mary obciążenie konta taką sumą. Byłem podchmielony i wściekły.

— Jak może do tego stopnia irytować cię coś, co miało miejsce trzydzieści lat temu? — spytała.

Nie odpowiedziałem. Zaciśnąłem zęby aż do bólu. Ruszyliśmy opustoszałą ulicą, Emily szła kilka kroków za mną. Przyspieszałem coraz bardziej, miałem ochotę uciec.

— Nie nadążam za tobą — powiedziała bezradnie.

— Ty pierdolona dziwko — wycedziłem. Bałem się samego siebie. Nie wiedziałem, co mnie naszło.

— Jak mogłeś powiedzieć coś takiego.

W jej zaokrąglonych oczach widziałem strach.

— Jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, i tym razem zostaw mnie w spokoju — rzuciłem.

Odeszła i zatrzymała taksówkę. Wsiadła. Równie mocno jak tamtej nocy chciałem do niej zadzwonić, teraz pragnąłem za nią pognać. Ale tylko stałem i patrzyłem, jak odjeżdża.

23

Kiedy pod hotelem wysiadłam z taksówki, portier nie zamykając drzwi zajrzał do środka.

— Przyjechałam sama — oświadczyłam

Musiał się zorientować, że coś nie gra: byłam zdenerwowana i rozkojarzona.

— Czy wszystko w porządku, proszę pani?

— W najlepszym, dziękuję.

Pojechałam na górę; w aparacie telefonicznym migało światełko sekretarki automatycznej. Nie dzwonił jednak Jim, na co liczyłam, lecz Peter. Zabrał Sama i Julie na kolację i do kina. Jack był z wizytą u Kerri, a Charlie został na noc u swojego kolegi Paula. Kolejne szczegóły.

— Mam nadzieję, że dobrze się bawisz — kończył Peter.
— Oddzwon jutro rano.

Przeszło mi przez myśl, że Peter jest aż nadto wyrozumiały.

Umyłam twarz, skrawkiem ręcznika starłam spod oczu rozmazany tusz. Ręcznik pachniał kremem do golenia, którego używał Jim. Nie miałam ochoty się przebierać, zdjęłam tylko szpilki i pończochy. Usiadłam na krześle; igrałam z myślą, czyby nie poczytać McKuena, ale w gruncie rzeczy nie chciałam w tej chwili patrzeć na tę książkę. Włączyłam telewizor, wyłączyłam, zadzwoniłam do pokoju Jima. Bez rezultatu. Przeszłam korytarzem pod jego drzwi i zapukałam, mając nadzieję, że jest u siebie i tylko nie

podnosi słuchawki. Usiłowałam zwalczyć w sobie niepokój, w końcu Jim nie był dzieckiem. Wracając do swojego pokoju, uświadomiłam sobie, że jestem bosa. Wyjęłam szkiecownik i ołówki. Czasem zdumiewa mnie, co wyczarowuje błądzący pozornie bez celu grafit: tym razem niedopracowany wizerunek mężczyzny z blizną na barku.

Doznawałam pokusy, żeby się spakować i pojechać na dworzec, jak jednak miałabym wyjaśnić swój niespodziewany powrót do domu? Ale w głębi duszy wiedziałam, że to jeszcze nie koniec. Po wszystkich tych latach to się po prostu nie mogło tak skończyć.

Po północy zjechałam windą do foyer. W rogu był tam półkolisty bar, którego nie dostrzegłam wcześniej. Zajrzałam do środka: wokół stolika siedziała grupka mężczyzn, członków związku zawodowego pracowników przemysłu motoryzacyjnego, sądząc z nadruków na ich koszulkach. Zmierzyli mnie wzrokiem od stóp do głów. Ciekawe, co sobie o mnie pomyśleli. W głębi jakaś para patrzyła sobie w oczy, on trzymał dłonie na jej kolanach, ona obejmowała go za szyję i pieściła jego kark. Stały przed nimi opróżnione do połowy szklanki z piwem, zapewne ciepłym i pozbawionym smaku. Odnosiłam wrażenie, że tych dwoje jest tu od dawna i że zapatrzeni w siebie, nawet nie myślą o picciu

Zjakiś powód sądziłam, że znajdę w tym barze Jima. Wyobrażałam sobie, że samotnie siedzi w najdalszym kącie. Fantazjowałam, że podniesie na mnie wzrok, ja usiądę obok niego i znowu wszystko będzie w porządku.

Nie wiem, co sprawiło, że pojechałam taksówką pod pomnik Poległych. Może potrzeba jakiegokolwiek formy bliskości z Jimem, choćby przez wizytę w miejscu, które on też odwiedził. Gdybym była w tej chwili w Connecticut, pojechałabym na Cypel Toda. Zastosowałam tani wybieg: wróciłam na górę po szkiecownik i ołówki. Żeby się wydawało, iż przyjechałam pod pomnik popracować.

Portier nie bez wahania przywołał dla mnie taksówkę, podkreślił, że jest już strasznie późno i że samotna eskapada to może nie najlepszy pomysł.

— Już po północy — powiedział. — Wszystko zamknięte.

Odparłam, że jestem tego świadoma, ale nic mi nie będzie.

— Chcę poszkicować — oznajmiłam, zmuszając się do śmiechu. — Jestem malarką. Pewnie słyszał pan o nagłych przyptywach natchnienia, prawda?

Pomnik Poległych w Wietnamie oświetlano przez całą noc, ale nie czułam się pewnie, idąc pod górę w stronę ławki, na której siedziałam z Jimem. Taksówkarz spytał, czy ma na mnie poczekać.

— Nie, proszę nie czekać — odparłam w pierwszej chwili, ale zaraz przywołałam się do rozsądku i poprosiłam, by przyjechał za pół godziny. Oświadczył, że będzie tam, gdzie mnie wysadził.

Nie zobaczyłam Jima od razu. Usiadłam na ławce i dopiero wtedy dostrzegłam go pod ścianą: miał pochyloną głowę, dłonią dotykał napisów. Później twierdził, że wyczuł moją obecność. Odwrócił się, spojrzał w stronę szczytu wzgórza. Podniosłam rękę, jakbym chciała go zatrzymać, jakbym kazała mu zostać na miejscu, poczekać. Ruszyłam ku niemu.

Przystanęliśmy oboje, kiedy dzieliło nas jeszcze kilka stóp.

— Dlaczego widziałas we mnie tylko żołnierza? — zapytał po prostu.

— Dlaczego widziałeś we mnie tylko dziewczynę? — odpowiedziałam pytaniem.

— A kogóż miałbym widzieć?

— Zachowywałeś się jak żołnierz.

— Byłem żołnierzem.

— Ale wciąż cię kochałam.

— Nie było więc nikogo innego — stwierdził.

— I to przez wiele lat.

— Szkoda, że tego nie wiedziałem — westchnął.

— Boże, Jim, jaka szkoda, że ci nie powiedziałam.

Rozległ się klakson taksówki, zesliśmy ze wzgórza. Podczas jazdy do hotelu tuliłam się do Jima ze wszystkich sił.

Na nasz widok portier uśmiechnął się szeroko. Wsiedliśmy do windy.

— Pójdiesz do mnie? — zapytałam, kiedy drzwi windy otworzyły się na szóstym piętrze.

— Może gdyby któreś z nas zadzwoniło tamtej październikowej nocy, życie potoczyłoby się zupełnie inaczej — zauważył.

Szliśmy korytarzem w stronę mojego pokoju.

— W dniu twojego wyjazdu napisałam w dzienniku, że kochając cię i tracąc, straciłam również niewinność. To chyba brzmi trochę głupio, prawda?

Oparł się o ścianę korytarza, przyciągnął mnie do siebie, przytulił.

— Daj mi klucz — powiedział.

Siedząc na krześle przy oknie, pochylony rozwiązywał sznurowadła półbutów, takich samych jak te, które nosił tamtego październikowego dnia. Męskich butów. Ukłękłam obok niego, uniosłam dłonie do jego twarzy.

— Musimy jutro wyjechać — rzekł cicho.

— Wiem — przytaknęłam. — Kolejna rzecz, o której nie chcę rozmawiać.

— A ja nie chcę dzisiaj spać. Chcę być z tobą w każdej chwili.

— Nigdy nie przestałam cię kochać.

— Emily, dlaczego to wszystko tak się układa?

Może dlatego, odparłam, że odwaga, jaką zawsze byłam skłonna przypisywać młodości, wcale nie musi być najwłaściwszego rodzaju. Może dlatego, że chociaż przeciwstawiałam się matce, to jednak podświadomie dawałam wiarę jej słowom. Może dlatego, że młodość nigdy tak naprawdę nie patrzy w przyszłość.

Wyciągnął ramię, rozpiął suwak mej sukienki, powiodł dłońmi po plecach.

— Masz szorstkie ręce — powiedziałam.

— Kiedyś cię przestraszyły — odparł.

Tej nocy kochał się ze mną tak, jakbyśmy już nigdy nie mieli się spotkać, a mnie przyszło do głowy, że może — takie najsłabsze, najwątłejsze „może” — gdybyśmy byli ze sobą

- Że chcę, byś mi towarzyszyła.
- I to wszystko?
- I to wszystko — odparł.

Usiedliśmy obok siebie przy oknie, za którym na płycie stał już odrzutowiec Deltę. Przyglądaliśmy się załadunkowi bagażu, a kiedy poproszono pasażerów do wyjścia, niemal pragnęłam by Jim posłuchał pierwszy. Wolałam nie odwlekać chwili rozstania, o którym wiedziałam, że jest nieuchronne. Ale ociągał się do ostatniego momentu.

- Musisz już iść — powiedziałam. — Wiesz, że musisz.

Wstaliśmy i wtedy wybuchłam płaczem. Nagle wróciłam na tamtą stację kolejową. Przytulił mnie i poprosił, żebym przestała.

- Nie rób tego — westchnął. — Serce mi pęka.
- Kocham cię, Jim.
- Kocham cię, Emily.
- Powiedz, że wszystko będzie dobrze. Obiecuj.
- Obiecuję.

Ujął mą twarz w dłonie, pocałował mnie w usta, w policzki, w szyję. Nałożył okulary przeciwsłoneczne i narzucił torbę na ramię. Odwrócił się i odszedł. Wyprostowany, jakby kij połknął. Nie obejrzał się ani razu.

Stałam nieruchomo i dopiero po chwili podeszłam do wielkiego okna. Patrzyłam, jak samolot wykręca, a później kołuje po pasie startowym. Przyciskałam dłoń do szyby, machałam, mając nadzieję, że mnie zobaczy... i wtedy przypomniałam sobie, że woli siadać koło przejścia. Odeszłam dopiero wtedy, kiedy samolot zniknął mi z oczu. Holując za sobą walizkę, ruszyłam w stronę postoju taksówek pod halą przylotów.

Nie pamiętam, jak dojechałam na Union Station. Nie wiem, jak znalazłam właściwy peron. Ledwie pamiętam podróż do domu. W moim sercu panoszyła się pustka.

24

Niedzielny poranek nadszedł za szybko. Mój samolot odlatywał o jedenastej, pociąg Emily odjeżdżał o dwunastej trzydzieści. Prawie nie zmrużyliśmy oka tej nocy, kochaliśmy się tylko i rozmawiali o utraconych latach. Emily i Jennie rozdawały goździki, kiedy ja rabowałem stację Esso. Emily studiowała w Skidmore College, kiedy ja byłem w Chou Lai. Jak to możliwe, że nasze losy potoczyły się tak odmiennymi koleinami, skoro wierzyliśmy, że jesteśmy sobie przeznaczeni? Powiedziała mi o swoim wieczorze ze Steve'em.

— Opowiem ci coś — zaczęła — ale obiecaj, że nie odejdziesz znowu.

Przyrzekłem, że nigdy nie odejdę, i przytuliłem ją do siebie. Siedziałem na łóżku, wsparty o poduchę, a Emily póležała, wsparta dla odmiany o mój tors. Szło nam łatwiej, kiedy nie widzieliśmy swoich twarzy.

— Dlaczego właśnie Steve? — zapytałem, gdy skończyła.

— Bo jak sądzę, był wtedy kimś najbliższym tobie — odparła.

Potem opowiedziała o dniu, kiedy przyszedł list z moim promocyjnym zdjęciem, o przestroгах matki. O tym, jak jeszcze przez wiele miesięcy po moim wyjeździe nazywano ją „dziewczyną Jimmy'ego”. O Jennie i jej chłopaku o ksywie Shade. O facecie z Columbii. O wieczorze, kiedy poznała

Petera w barze Maxwell's Plum. On pił piwo ze szklanki, ona zaś — z butelki.

I wtedy jej przerwałem.

— Nie chcę słyszeć o tobie i Peterze — powiedziałem stanowczo.

— Ale on istnieje, Jim.

— I na tym właśnie polega problem.

— Kochasz ją? — zapytała.

— Kogo?

— Mary.

Odrzekłem na to, że istnieje wiele rozmaitych odmian miłości.

— Kocham ją — odparłem, nie chcąc kłamać. — Znosi mnie od dwudziestu pięciu lat. Jest dobrą kobietą.

— Czy mógłbyś ją kiedykolwiek porzucić?

— A czy ty porzuciłabyś Petera?

Nie potrzebowaliśmy słów; znaleźliśmy odpowiedzi.

— Nie powinnam była pytać — przyznała Emily.

— Wiesz, że z tobą to coś innego.

— Może jest po prostu łatwiej kochać kogoś w Waszyngtonie, kiedy człowiek za cały bagaż ma jedynie walizkę — zasugerowała.

— Myślisz, że my dwoje nie ciągniemy za sobą żadnego bagażu? Mamy tego całą pieprzoną furę.

— Ale wypełnioną innymi rzeczami.

Wiedziałem, co ma na myśli, ale nie wiedziałem, jak będę bez mej żyć.

Wyciągnęła swoją walizkę z kąta, a ja położyłem ją na łóżku. Emily sprawiała wrażenie zmęczonej, miała podkrążone oczy. Przypomniałem sobie podkrążone oczy Maryi zacząłem się zastanawiać, dlaczego Emily nawet teraz wydaje mi się piękna. Wkładała do minibarku puszki, które wyjęliśmy pierwszego wieczoru, żeby zrobić miejsce na szampana, kiedy nagle uklękła na podłodze i zakryła dłońmi twarz w taki sposób, jak czynią to ludzie, by na coś nie patrzeć.

— Nie wiem, jak tym razem zdołam znieść tęsknotę za tobą — powiedziała. W jej spojrzeniu dostrzegłem prośbę o słowo pocieszenia.

— Coś wykombinujemy — obiecałem, choć wcale nie byłem tego powien.

Zapytała, czy podróżuję czasem, żeby kupować albo sprzedawać wina.

— Nie jeździsz na konwencje czy podobne imprezy? Wystawy win w Nowym Jorku?—ciągnęła radosnym tonem kogoś, kto w pierwszej chwili przeoczył oczywistość.

Wtedy powiedziałem jej o sklepie Longa, ustawianiu butelek na półkach, rozładowywaniu skrzyń z ciężarówek. O czerwonym trykocie z identyfikatorem, ukrywanym w aucie przed Clancy.

— Dlaczego nie wspomniałeś o tym wcześniej? — zapytała. — Dlaczego uznałeś, że to by cokolwiek zmieniło?

Zachowałem dla siebie myśl, że będąc szesnastolatką kochała mnie takim, jakim byłem i jaki nie byłem, ale wcale nie mam pewności, że jej ideały wytrzymały próbę czasu.

— Po prostu podałem się za kogoś, kim chciałym być i kim nie jestem — odrzekłem.

Wróciłem do swojego pokoju, niosąc w ręku maszynkę i krem do golenia. Spakowałem rzeczy. Pokój wydawał się dziewiczy, zrzuciłem więc narzutę, skotłowałem koc i pościel, pięścią powgniałem poduszkę. Idiocyzm. Jakby pokojówkę cokolwiek to wszystko mogło obchodzić. Zachowałem się jak żonaty mężczyzna. Miałem córkę i dom nad strumieniem, do którego wracałem. Zadzwoiłem do Mary i Clancy; kiedy Mary podniosła słuchawkę, usłyszałem w tle zawodzenie Clancy.

— Zdechła jedna z rybek—wyjaśniła Mary.—Urządziłyśmy jej pochówek na morzu.

— Daj Clancy do aparatu — zażądałem.

— Tato! Tato! Ona po prostu pływała do góry brzuszkiem, kiedy przyszedłem do niej rano. To było okropne—łkała Clancy.

— Po powrocie kupię ci nową — obiecałem. — Będę za kilka godzin.

— Robimy ci z mamusią transparent na powitanie, ale nie miałam o tym mówić — oznajmiła. — Użyłyśmy po złotki.

— Kocham cię, maleńka. Ucałuj ode mnie mamę.

Nagle poczułem się tak, jakbym nie znał swojego miejsca w świecie. Podobne uczucie opadło mnie pewnego dnia, kiedy wróciłem z Chou Lai do kraju. Właściwie nie wiedziałem nawet, kim jestem.

Podczas jazdy taksówką na lotnisko krajowe ja i Emily prawieśmy ze sobą nie rozmawiali. Zapytałem tylko, czy wzięła pierścionek, ona zapytała, czy wzięłem zdjęcia. Przyślij mi kopie, poprosiła. Na skrawku papieru napisała swoje nazwisko i adres.

— Zapisałaś nazwisko? — zdumiałem się, wybuchając śmiechem. — Czy sądzisz, że mógłbym je zapomnieć? A nawiasem mówiąc, dlaczego nie przyjęłaś nazwiska Petera, Emily?

— Bo jest jego — odparła.

— Czy przyjęłabyś moje?

Nie odpowiedziała. Nie powinienem był pytać.

To był pierwszy prawdziwie słoneczny dzień od naszego przyjazdu do Waszyngtonu. Panował niewielki ruch, więc na lotnisko przyjechaliśmy aż za szybko. Odprawiłem bagaż, podeszliśmy do drzwi wiodących na salę odlotów. Tablica informowała, że mają do niej wstęp jedynie pasażerowie z ważnymi biletami. Wziąłem na stronę hostessę stojącą przy wykrywaczu metali, poczarowałem chwilkę i uzyskałem zgodę na wprowadzenie ze sobą Emily.

Wywołano mój lot cztery razy, zanim znalazłem w sobie odwagę, żeby wstać i wyjść. Przedtem niewiele rozmawialiśmy. Emily skłoniła głowę na mój tors, ja obejmowałem ją ramieniem. To ona powiedziała w końcu, że muszę już iść. Spóźnisz się na samolot, ostrzegła.

Musiałem zmobilizować całą siłę woli, żeby od niej odejść. Miałem nadzieję, że nie wybuchnie płaczem, ale — naturalnie — wybuchła. Przypomniałem sobie ten dzień, kiedy na dworcu uwiesiła się na mej szyi. Teraz ogarnęło mnie podobne uczucie — że nie mam wyboru, że muszę ją zostawić. Pękało mi serce.

Nie wiedziała, że nałożyłem okulary przeciwsłoneczne, aby ukryć oczy, nie wiedziała, że pomaszerowałem prosto

przed siebie i ani razu nie spojrziałem do tyłu, bo bałem się, iż jej widok nie pozwoli mi odjechać. Zarezerwowałem miejsce koło przejścia, ale w samolocie poprosiłem sąsiadkę, żeby się ze mną zamieniła.

— Tylko do chwili startu — zapewniłem. — Chciałbym coś zobaczyć.

I zobaczyłem Emilię z dłonią przyciśniętą do szyby. Co jakiś czas machała do mnie, ja też machałem. Ale zdawałem sobie sprawę, że mnie nie widzi. Kiedy samolot wykręcił i zaczął kołowanie, wróciłem na swoje miejsce. Silniki mruzczały przez chwilę basowo, a potem ryknęły ze wszystkich sił. Odchyliłem głowę do tyłu, zamknąłem oczy. Wciąż miałem uczucie, że w niej jestem, wciąż czułem jej smak, dotyk policzka na mej twarzy. Wciąż podnosiła na mnie wzrok, wciąż trzymała jedną dłoń na moich plecach, palce drugiej natomiast wplątywała w moje włosy.

Samolot wykonał skręt, a ja wyciągnąłem szyję, żeby przez okienko zobaczyć pomnik Poległych.

— Czy chciałby się pan znów zamienić miejscami? — zapytała moja sąsiadka. — Zrobię to z największą przyjemnością.

Ale odparłem, że nie ma już nic do oglądania.

Obiecuj mi, pomyślałem. Obiecuj sobie.

Pociąg wjechał na dworzec Stamford. Kiedy schodziłam na peron, miałam kłopoty ze zmianą wyrazu twarzy. Weź gąbkę. Zetrzyj węgiel. Zmień wyraz twarzy. Podcieniuj rysy. Smutek zastąp radością z powrotu do domu.

Peter siedział za kierownicą volva, w bagażniku piętrzyły się jakieś pudła, Julie na mój widok wyskoczyła przez tylne drzwi.

— Dobrze się bawiłaś? — zapytała. — Wszyscy za tobą tęskniliśmy. Tata przez pomyłkę uprał moją koszulę w wybielaczu. Gdzie ty właściwie trzymasz żarówki?

Przytuliłam ją i pocałowałam w czubek głowy.

— Świetnie się bawiłam — odparłam.

— Czy on wygląda staro, mamusiu? — zapytała Julie.

— Staro? — zdziwiłam się.

— No, pan Moran. Wygląda staro?

— Wygląda na starszego — odpowiedziałam z uśmiechem. — Co nie znaczy, że na starego. Wskakuj do auta.

Peter wysiadł, okrążył samochód i podszedł do mnie akurat w chwili, gdy wkładałam walizkę do bagażnika. Wyjął mi ją z rąk.

I musnął wargami mój policzek, bo akurat odwróciłam głowę.

— Wyglądasz na zmęczoną — stwierdził. — Mało spałaś?

— Hotelowe łóżko to nie to samo co własne — odparłam, unikając jego wzroku.

Peter włożył walizkę do bagażnika, podszedł do drzwi od strony kierowcy. Ja — od strony pasażera. Julie wychylała się zza oparcia.

— Gdzie twoi bracia? — spytałam. — Zapnij pas.

— W domu. Grają w kosza. Tata mówi, że zabieramy cię na kolację. Żeby uczcić twój powrót.

Chłopcy wybiegli na spotkanie samochodu, ale Jack pozostał na miejscu. Może uległam złudzeniu, ale odniosłam wrażenie, że jakoś dziwnie na mnie patrzy. Peter wniósł moją walizkę do domu, zadźwigał na górę.

— Jak podróż? — zapytał kładąc ją na łóżku.

— Bezgranicznie długa i nudna — odparłam. — Trochę czytałam, przejrzałam notatki.

Kłamstwo: gapiłam się tylko przez okno.

Podszedł do komody, położył na niej kluczyki od auta, a potem usiadł na skraju łóżka i patrzył, jak się rozpakowuję.

— No więc jak to było, kiedy zobaczyłaś go po upływie tylu lat?

Przestałam składać sweter, który wyjęłam z walizki. Zastanawiałam się, czy cisza, jaka zapadła po tym pytaniu, istotnie trwała tak długo, jak mi się zdawało.

— Dziwnie — odezwałam się wreszcie. — Wszyscy się zmieniamy. Wszyscy dojrzewamy.

— Tęskniłszy za tobą, wiesz? — powiedział. — Bez ciebie dom nie jest taki sam.

Próbowałam zażartować, nie chciałam być ani poważna, ani sentymentalna.

— Bo panuje w nim koszmarny bałagan. O której dziś rano zabraliście się do porządków?

Peter odrzekł ze śmiechem, że bladym świtem. A ja pomyślałam, że bladym świtem leżałam jeszcze w ramionach Jima.

Wieczorem pojechaliśmy do restauracji położonej na brzegu rzeki Saugatuck i całą szóstką zasiedliśmy na dworze, przy stoliku pod parasolem. Wszyscy rozprawiali z żywieniem — o rychłym końcu roku szkolnego, o tym, że tego lata

Jack znów będzie pracować jako ratownik na Compo Beach, a Sam w snack-barze. Charlie weźmie udział w rozgrywkach Małej Ligi, Julie natomiast rankami będzie chodzić na półkolonie, po południu zaś pracować jako pomoc domowa u rodziny, która sprowadziła się do sąsiedniego domu.

— Skończyli przeprowadzkę wczoraj — powiedziała Julie. — Mają trzyletnią córeczkę. Jest śliczna.

Wtedy wyobraziłam sobie, jak za kilka lat ta dziewczynka wsiada do autobusu szkolnego. Julie będzie wtedy w college'u. Peter nie przegapił zapewne wyrazu mojej twarzy w tym momencie, bo oświadczył, że dokładnie pamięta, jak my wprowadziliśmy się do naszego domu.

— Jack miał wtedy dwa latka — westchnął. — Cała pozostała trójka przyszła na świat, kiedyśmy tu już mieszkali. Pamiętam, że twoja dzisiejsza pracownia pełniła rolę pokoju zabaw. Dopiero później było nas stać na wykończenie pomieszczeń w suterenie.

Zaskoczyło mnie, że Peter pamięta to wszystko, sądziłam dotąd, iż trzyma się na dystans od prozy życia, nie zwraca na nią najmniejszej uwagi. Nie wie, gdzie trzymam zapasowe żarówki.

— Czasem rozmyślałam, jak pusty będzie nasz dom, kiedy wszyscy pójdziecie na studia — powiedziałam.

Przy stole zapanowała cisza.

— Ty i ja moglibyśmy z powrotem przeprowadzić się do miasta — zasugerował Peter. — Sprzedać dom i dać stąd nogę.

Julie zaprotestowała niemal histerycznie.

— Ależ musicie pozostać w naszym domu! — wykrzyknęła. — Tu się chowaliśmy i ten dom musi pozostać nasz. Zawsze, ale to zawsze.

Wyszliśmy z restauracji zdecydowanie za późno i Julie przysnęła w samochodzie. Po powrocie do domu Charlie zabrał się do odrabiania lekcji, o których zapomniał, Jack i Sam zajęli się jakąś grą wideo, a Peter nalał sobie szkockiej i usiadł na bujaku przed domem. Uprzątałam lodówkę, wyrzucając z niej pudełka po chińszczyźnie na wynos, kiedy usłyszałam poskrzypywanie bujaka.

— Co robisz na dworze? — zapytałam, siadając obok Petera. — To nie w twoim stylu.

— Dziwnie się czułem przez ten weekend sam z dziećkami — powiedział. — Chyba nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jak potrafią dać człowiekowi w kość. Jesteś spoiwem, Emily. Kiedy cię nie ma, wszystko zaczyna się rozłazić. Wybieliłem czerwoną koszulkę Julie.

— No i co z tego? Lubi kolor różowy — odparłam ze śmiechem. — Mam wrażenie, że odwaliłeś kawał dobrej roboty.

— Dobrze mi z nimi było, wiesz? To fajne dzieciaki i widzę teraz, ile straciłem w ciągu minionych lat.

Opłynęła mnie fala smutku. Ostatnio też nie potrafiłam oprzeć się uczuciu, że aż nazbyt wiele rzeczy pojawia się za późno.

A potem ni z gruszki, ni z pietruszki Peter zapytał:

— Czy Moran kocha swoją żonę?

Było to w ustach Petera dziwne pytnie, a zarazem wcale nie takie dziwne. Bo Peter rzadko pyta wprost, rzadko wyklada kawę na ławę. Przez ostatnie lata unikałam jak ognia przekładania z angielskiego na nasze jego uczuć, teraz jednak musiałam mu pomóc.

— Bardzo kocha swoją żonę — odpowiedziałam cicho. — I kocha swoje dziecko.

— Wiedzą o tym? Mówi im?

— Mam nadzieję.

Gdybym mu na to pozwoliła, Peter zapewne kochałby się ze mną tej nocy. Kiedy myślałam się w łazience, siedział oparty o poduszki i czytał magazyn. Zwykle gasi światło, zwykle śpi albo udaje, że śpi, zanim jeszcze dotrę do łóżka. Przysiadłam obok niego, żeby nastawić budzik. Wyciągnął rękę i dotknął dłońmi moich pleców. Odwróciłam się i obdarzyłam go uśmiechem. Pocałowałam go w czubek głowy. Dobranoc, Peter, powiedziałam. Padam z nóg. Dzisiaj to nie wchodzi w grę. Trudno mi cokolwiek powiedzieć o odczuciach Petera w tym momencie. Na pewno nie był zły. Wyłączył lampę od swojej strony i odwrócił się do mnie plecami. Ja wyłączyłam lampę ze swojej strony i odwróciłam się plecami do jego pleców.

— Kiedyś sypialiśmy przytuleni do siebie — stwierdził.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Chciałam pogłaskać go po plecach tak, jak głaszcze się zaniepokojone dziecko, ale tego nie zrobiłam.

Gdy o szóstej rano zadzwonił budzik, Peter był już w kuchni, siedział przy ladzie i pił kawę. Gazeta, wciąż w folii, leżała obok. Wyglądał przez okno.

— Nie mogłem w nocy spać — powiedział.

Potem pojechał do pracy, a kiedy również dzieci zniknęły z domu, pomyślałam naczynia i przetałam mopem podłogę w kuchni. Rozmyślałam o Jimie, rozmyślałam o tym, co robiłam wczoraj o tej samej porze. Na kuchennym stole leżała torba z przygotowanymi do pralni koszulami Petera. Przypomniałam sobie, jak przystojny był Jim w koszuli i krawacie. W zlewie stała opróżniona do połowy filiżanka Petera — zawierała kawę ze śmietanką. Jim, pomyślałam, pija czarną.

Zeszłam do sutereny. Na sznurze do bielizny wisała różowa teraz koszula Julie. Obok pralki piętrzył się stos brudów, zwieńczony na szczycie pasiastą piżamą Petera. Pomyślałam, że Jim sypia nago. Zastanawiałam się, czyby przypadkiem nie wyjąć z walizki i nie dołączyć do prania mojej nieużywanej koszuli nocnej. Ciekawe, czy Peter zwrócił na nią uwagę. Podzieliłam pranie na jasne i ciemne, zamknęłam pojemnik z wybielaczem, czego nie zrobił Peter.

Kilka miesięcy temu urządziliśmy z Peterem porządkę w suterenie. Panuje tu wilgoć, a ponieważ ściany są z kamienia, całą podłogę pokrywa cieniutka warstwa kamiennego pyłu. Schody są bardzo strome i łatwo z nich spaść. To była jedna z tych rzadkich zimowych niedziel, kiedy Peter nie zagrzebywał się w swoich prawniczych papierzykach — konkretnie niedziela zaraz po Bożym Narodzeniu — postanowiliśmy więc przeprowadzić wielki remanent: wyrzucić stare rupiecie, żeby zrobić miejsce dla nowych. Zamierzaliśmy rozstać się tego dnia z wieloma rzeczami — łożeczkami, które służyło w niemowlęctwie wszystkim naszym dzieciom, starym zestawem hi-fi... Przejrzeliśmy plastikowe pojemniki pełne dzienniczków, zabawek i ciuszków naszego potomstwa

— i koniec końców ograniczyliśmy się do przemeblowania całej tej rupieciarni. Łóżeczko przewróciliśmy na bok i oparliśmy o ścianę, stary zestaw hi-fi przykryliśmy jeszcze starszym kocem. Bo te wszystkie graty niosły wspomnienia, coś tam znaczyły. Nic nie wylądowało na śmietniku.

Rozejrzałam się wokół, dokonując powierzchownej inventaryzacji; stwierdziłam, że wspomnienia leżą tak samo, jak tamtej niedzieli poupychaliśmy je z Peterem. Ale pojęłam, że przynajmniej dla mnie nabrały innego znaczenia. Wyłączyłam żarówkę u szczytu schodów i zamknęłam za sobą drzwi. W kuchni nastawiłam wodę. Pomyślałam, że zanim się zagojuje, trochę ogarnę swoją pracownię.

Odkładałam właśnie na miejsce szkicownik i ołówki, gdy w tej samej chwili zagwizdał czajnik i zadzwonił telefon. Wiedziałam od razu, że to Jim.

— Nie mogłem w nocy zasnąć — powiedział.

Kilka dni później przesłał mi kopię zdjęcia przedstawiającego nas dwoje na plaży. Wsunęłam ją pomiędzy stronicę *Listen to the Warm* i położyłam książkę na półce w pracowni.

Później jednak zaniósłam ją do piwnicy i schowałam do kufra ze swoimi pamiątkami.

26

Przespałem większą część lotu z Waszyngtonu do Atlanty, później, na odcinku Atlanta — Mobile, siedziałem przy oknie. Czekaając na bagaż, czułem niemal fizycznie nieobecność Emily, pragnąłem, aby przy mnie była. Wspominałem, jak tuliłem ją do siebie po przylocie do Waszyngtonu, jak nie chciałem puścić ani na moment nawet wtedy, gdy zdejmowałem torbę z taśmociągu... To było takie właściwe, takie naturalne.

Wahadłowym autobusem pojechałem na parking długoterminowy: auto stało tam, gdzie je zostawiłem, i było tylko pokryte żółtawym kurzem. W drodze do domu nie słuchałem radia, nie chciałem usłyszeć niczego, co mogłoby przypomnieć mi Emily. Miałem wrażenie, że zmieniając biegi, dokonuję rytuału przejścia. Redukcja. Wracasz do domu. Sen skończony.

Gdy zajeżdżałem pod dom, Mary porządkowała kwiatniki. Zamiast zwykłych szortów miała na sobie letnią koszulę. I białe sandały. Odwróciła się, przesłoniła oczy i pomachała ręką.

Znad strumienia przybiegła Clancy; skoczyła na mnie z całym impetem, objęła nóżkami w pasie, brudząc przy tym swoimi czerwonymi tenisówkami moje dżinsy. Nad drzwiami wejściowymi wisiał transparent: WITAJ W DOMU, TATUSIU. Napis otaczały złociste serca i kwiaty.

Co za niespodzianka — stwierdziłem, puszczając do Clancy oko.

— To był mój pomysł — oświadczyła z dumą — ale mama mi pomogła. Na kolację są żeberka. Mama mówi, że to twoje ulubione danie. A dla mnie zrobi hot doga.

— Tęskniła za tobą — powiedziała Mary.

Otworzyłem drzwi. Clancy wzięła ode mnie torbę podręczną i przodem pomaszerowała na górę.

— Tatusiu, tatusiu! Zapomniałeś pocałować mamę na powitanie! — wykrzyknęła.

Mary siedziała na krześle, kiedy się rozpakowywałem, Clancy — na środku łóżka.

— Coś mi przywiozłeś? — zapytała, zapuszczając żurawia do walizki.

Podąłem jej T-shirt. I przypomniałem sobie, że kupiłem go koło schodów pomnika Lincolna. Tych samych, na których tego ranka jedliśmy z Emily śniadanie.

— Mam nadzieję, że będzie pasować — powiedziałem.

— Najpierw trzeba go wyprać — podkreśliła Mary. Potem spojrzała na mnie. — No i jak było?

— W porządku.

— Parę razy próbowałam się do ciebie dodzwonić. Przy czym raz dosyć późnym wieczorem.

— Wyłączyłem telefon. Padałem z nóg. Nie zostawiłaś mi żadnej wiadomości.

— A co tu było zostawiać?

Wieczorem w trójkę siedzieliśmy na werandzie. Mary kupiła świeczuszki w purpurowych szklanych pojemnikach i postawiła je na stole obok wiaderka z lodem, w którym chłodziły się cztery butelki piwa corona. W końcu to ja upiekłem na grillu żeberka, podczas gdy Mary siedziała na szezlongu, mając u boku zwiniętą w kłębek Clancy. Clancy sylabizowała jakąś książeczkę dla dzieci, a Mary palcem pokazywała jej słowa.

— No, wykrztuś to wreszcie — mówiła Mary i uśmiechała się, gdy usiłowania Clancy wieńczył sukces.

Po kolacji przyszedł Parker i razem z Clancy zaczął bawić się w domu.

— Cieszę się, że wróciłeś, tatusiu — stwierdziła Clancy chwilę przedtem. — Mam nadzieję, że spodobało ci się przyjęcie na twoją cześć.

Zapewniłem ją, że bawiłem się jak nigdy w życiu.

Otworzyłem drugie piwo, nalałem Mary i sobie. Mary siedziała przy stole, opierając stopy na pustym krześle.

— Nigdy nie siedzisz jak człowiek — powiedziałem.

— Wiesz, że zawsze twardo stąпам po ziemi — odparła.

— A co to ma niby znaczyć? — spytałem zaczepnie.

— Jak na faceta, co to wieczorem wyłącza telefon, sprawiasz wrażenie silnie zmarnowanego, Jimmy.

— Nie jestem przyzwyczajony do podróżowania. No i wiesz, nie przepadam za samolotami.

— Ładna jest?

— Tak, tak. Ładna — odparłem. — Ale co to ma do rzeczy?

— Wszyscy uganiamy się za własną młodością, Jimmy. Wszyscy pamiętamy, jak to jest, kiedy człowiek ma siedemnaście lat.

— Nie wiem, do czego zmierzasz.

— Po dwudziestu pięciu latach potrafię wyczytać to i owo z twojej twarzy.

— Gadasz głupstwa. Jest mężatką, ma dzieci.

— A ty jesteś żonaty. I też masz dziecko. Co ma piernik do wiatraka?

Martwiłem się, że Mary przejrzała mnie na wylot.

— Chyba po prostu nie jesteś przyzwyczajona do mojej nieobecności — powiedziałem. — Ładnie dziś wyglądasz, Mary.

Odwróciła wzrok. Podmuch wiatru zachwiaił płomykami świec, jedną z nich zgasił.

— Clancy tęskniła za tobą jak nie wiem co — stwierdziła Mary. — Cały czas spała ze mną, mówiła, że bez ciebie dom nie jest bezpieczny. Powiedziałam, że jest niemądra.

— Wróciłem, Mary, więc może dajmy temu spokój, dobra?

Uprzątnęliśmy ze stołu, zawinęliśmy w folię resztki jedzenia, wytarliśmy kuchenkę, wyrzucili śmieci. Wszystko w milczeniu.

— To była dobra kolacja — powiedziałem, żeby cokolwiek powiedzieć. — Miły wieczór.

— Cieszę się, że jesteś zadowolony — odparła i odeszła.

Nie położyłem się tego wieczoru. Poszedłem do salonu i usiadłem w fotelu. Kilka razy zapadałem chyba w sen, bo coś mi się śniło, niczego jednak nie zapamiętałem. Za każdym razem budziłem się, nie mając pojęcia, gdzie jestem. Nad ranem położyłem się do łóżka. Mary spała i chyba nie słyszała, jak na palcach wślizguję się do sypialni.

Poniedziałkowy ranek nie różnił się od wszystkich innych. W kuchni powitał mnie zapach bekonu i naleśników. W telewizorze ustawionym na kuchennym blacie leciały kreskówki, Mary przed wyjazdem do Łatajdiury piła kawę, przeglądała gazetę i ustawiała Clancy do pionu. Przestań się gapić w telewizor, mówiła. Jeśli nie zjesz śniadania, to go wyłączę.

Kiedy tylko jej wóz wytoczył się z podjazdu, zawiozłem Clancy do szkoły. W drodze powrotnej zatrzymałem się przy zakładzie fotograficznym i poprosiłem o zrobienie kopii naszego zdjęcia z plaży.

— Ma chyba ze trzydzieści lat — stwierdził subiekt.
— Nie dysponuje pan negatywem, nie możemy więc zagwarantować odpowiedniej jakości.

— Byłby pan zaskoczony, jakie dobre rzeczy wychodzą czasem po trzydziestu latach — odparłem.

— Cóż, kopia może być trochę rozmazana.

— Tak? Zobaczymy.

Emily była w swojej pracowni, kiedy do niej zadzwoniłem. Powiedziałem, że miałem bezsenność, że strasznie za nią tęsknię. Po zakończeniu rozmowy jeszcze przez kilka chwil siedziałem przy telefonie.

Emily powiedziała: „Zawsze cię będę kochać, Jim”.

Oboje wróciliśmy do domu, to było aż nadto czyste.

Nigdy więcej nie rozmawialiśmy z Mary o tym weekendzie. Gdy miesiąc później przyszedł rachunek za kolację w restauracji U Calvina, Mary też nie skomentowała go ani słowem. Nigdy nie wspomniała o pieniądzach ze słoika po dżemie. Gancy przez tydzień sypiała w nowej trykotowej koszulce, a potem wróciła do piżamy w motyle. Pamiętam, co powiedziała Mary o małżeństwie i dzieciach: „Co ma piernik do wiatraka?” Problem polega na tym, że ma, i to sporo.

Dopiero w lipcu znalazłam w sobie odwagę, żeby wrócić na plażę; była zatłoczona, usiana kocami, parasolami w paski, siatkowymi kojcami dla dzieci. Powietrze przepełniał zapach waty cukrowej, grillowanych kiełbasek, kokosowy aromat olejku do opalania.

Koło skał znalazłam miejsce na rozstawienie sztalug. Jim nie zabrał ze sobą żadnych zdjęć z okresu służby wojskowej, żadnych zdjęć z ojcem. To, na którym byliśmy we dwoje, wciąż tkwiło pomiędzy stronicami książki. Polegałam więc na swojej pamięci i jego słowach.

Przez pierwszy tydzień po powrocie z Waszyngtonu rozmawialiśmy ze sobą codziennie, po jakimś czasie jednak stało się to zbyt trudne, zbyt bolesne, przeszliśmy więc na rozmowy raz w miesiącu. Na linii zapadało zbyt wiele długich chwil milczenia, mówiliśmy też rzeczy, których nie powinniśmy mówić. Rzeczywistość rozsnuwała mgłę wokół pragnienia, by spotkać się ponownie. Żartowaliśmy, że ideał naszego związku to coś rodem z *Przyszłego roku o tej samej porze*, ale zawsze w końcu któreś z nas stwierdzało, że to nie wystarczy.

Z początku wspominaliśmy Waszyngton — śniadanie przy pomniku Lincolna, pierwszy raz, kiedyśmy się kochali, wieczór w deszczu przy pomniku Poległych. Wysłałam Jimowi egzemplarz *Listen to the Warm*. Na jego zdobycie potrzebowałam siedmiu tygodni, bo książka od dawna nie

była wznawiana. Chciałam opatrzyć ją dedykacją, ale przeleżałam się słowa pisanego. Nie rozmawialiśmy tylko o tamtym październikowym dniu. I tylko raz o wieczorze, gdy odnalazłam Jima samotnie stojącego pod ścianą pomnika. Powiedział, że dotykał wtedy nazwiska Quinna.

Kiedy we wrześniu rozpoczął się rok szkolny, Peter i ja zaczęliśmy zabierać Jacka w objazd po college'ach. Pewnego październikowego weekendu trafiliśmy do Georgetown w Waszyngtonie; zatrzymaliśmy się w UEnfant Plaža. Peter powiedział, że recepcjonista zarekomendował mu na kolację lokal o nazwie U Calvina.

— Byłam tam z Jimem — oświadczyłam. — Kiepska obsługa i fatalna kuchnia.

— Czy to jedyne powody, żeby tam nie iść, Emily? — zapytał Peter.

Była to uwaga kostyczna i przenikliwa, udałam więc, że jej nie słyszę.

Peter poszedł z dziećmi pod pomnik Poległych; stwierdził, że teraz, kiedy są starsze, powinny zobaczyć go jeszcze raz. Ja wybrałam Galerię Narodową. Mam po uszy tego pomnika, stwierdziłam. Ale poszłam z wszystkimi pod pomnik Lincolna. Przysiedliśmy na chwilę na stopniach, bo Julie porobiły się bąble na nogach. Peter wypił kawę. Przyniósł ją z tej samej kafeterii, w której z Jimem kupiliśmy śniadanie. To było dla mnie jak tortura.

W październiku wystawiłam swoje płótna w lokalnej galerii. Chociaż miałam nadzieję, że okażą się bardziej płodna, ukończyłam zaledwie sześć. Dołączyłam do wystawy grupowej pod nazwą Duch Lat Sześćdziesiątych. Były na niej czarno-białe artystyczne zdjęcia z Woodstock, dzieła starego fotografika hipisa, który wciąż zaplatał włosy w warkocz. Dwa rysunki węglem przedstawiające lądowanie na Księżycu. Ogromny kolaż pod tytułem *Przez dekady: powstanie i upadek muru berlińskiego*. Olejne portrety Johna F. Kennedy'ego, Martina Luthera Kinga i Marilyn Monroe. Moje prace, rzecz jasna, koncentrowały się na Wietnamie. Nie napisałam towarzyszących tekstów. Próbowałam wprawdzie, ale moje słowa były zbyt osobiste, zbyt subiektywne.

Na wernisaż przyjechały Sara i Catherine, a także Robbie. Ojciec, przechodzący rekonwalescencję po zwichnięciu stawu kolanowego, został na Florydzie. Wysłałam Jimowi zaproszenie adresowane do państwa Moran oraz Clancy, opatrując je dopiskiem RSVP. Oddzwoniła Mary: sobotnie otwarcie wystawy zbiegało się ze ślubem ich siostrzenicy, ale przyjdą nazajutrz. Będą akurat w pobliżu, pod Bostonem.

— Miło mi będzie poznać cię osobiście—powiedziałam. Czułam, jak łomocze mi serce.

— Wiele o tobie słyszałam — odparła Mary.

— Mam nadzieję, że wyłącznie dobrego — rzuciłam tonem, który w zamyśle miał być lekki, a nawet żartobliwy.

Mary odpowiedziała tylko, że będzie im towarzyszyć Clancy, jeśli nie mam nic przeciwko temu. Pragnęłam zapytać, czy w pobliżu jest Jim, usiłowałam zebrać dość odwagi, by zakwilić: „Och, czy mogłabyś poprosić go na sekundkę do aparatu? Chciałabym się z nim przywitać.” Ale nie zrobiłam tego, to by nie było w porządku.

Zobaczyłam go trzy tygodnie później, w niedzielę tuż przed Świętem Dziękczynienia. Chłopcy poszli na szkolny mecz koszykówki, ale Peter i Julie byli ze mną w galerii. Peter siedząc przy stole koło wejścia sprawował pieczę nad księgą pamiątkową. I wtedy wszedł Jim. Stałam obok jednego ze swoich obrazów, rozmawiając z dziennikarką lokalnej gazety. Obraz przedstawiał samotnego mężczyznę przed pomnikiem Poległych w Wietnamie. Była noc. Mężczyzna patrzył na wykute nazwiska, dotykał ręką ściany. Dostrzegłam Jima.

— Przepraszam na moment — powiedziałam do dziennikarki. — Muszę się z kimś przywitać.

Obok Jima stała Mary, Clancy trzymała go za rękę.

— Tak się cieszę, że zdołałeś przyjechać — rzekłam nie wiedząc, gdzie podziąć wzrok. — A ty zapewne jesteś Mary.

I ugryzłam się w język, bo zrozumiałam, jak głupio to musiało zabrzmieć.

Uścisnęłyśmy sobie dłonie.

— To nasza córka Clancy — odezwała się Mary.

Pochyliłam się nad dziewczynką, a Clancy, dobrze wychowana, zapytała uroczyście:

— Jak się pani miewa?

— Jesteś jeszcze ładniejsza niż na zdjęciu — stwierdziłam. — Widziałam to na kucyku. Założę się, że urosłaś, odkąd zostało zrobione.

Wyprostowałam się i spojrzałam na Jima. Ujął moją dłoń i pocałował mnie w policzek, tak jak to się robi witając kogoś na przyjęciu.

— Niezła impreza, Emily — powiedział.

Zastanawiałam się przez chwilę, co ma na myśli. Peter odszedł od stolika, zbliżył się do nas, położył mi rękę na ramieniu.

— To mój mąż, Peter — oznajmiłam.

Prezentacje, uściski dłoni, uśmiechy. Francja elegancją.

Julie wyłoniła się z zaplecza galerii, gdzie grała w warcaby ze znudzonymi dzieciakami, przyciągniętymi tu przez swoich rodziców. Stała się bardzo opiekuńcza od czasu swej wakacyjnej pracy.

Jeszcze trochę uścisków dłoni i powitań. Julie zaprosiła Clancy na zaplecze i córeczka Jima pognała za nią radośnie. Zakłopotani staliśmy w czwórkę.

— Chcecie obejrzeć wystawę? — zapytałam. — Są tu nie tylko moje prace, to ekspozycja zbiorowa dotycząca lat sześćdziesiątych.

Szliśmy z Peterem kilka kroków za Jimem i Mary. Role tytułów w moich obrazach pełniły daty: *Czerwiec 1967*: chłopiec na plaży, wpatruje się w morze, a jego ciemne włosy targa wiatr. *Lipiec 1967*: chłopiec wysiada z autobusu w obozie szkoleniowym. *Październik 1967*: ten sam chłopiec, już po ukończeniu szkolenia, w mundurze i krótko ostrzyżony. *Grudzień 1969*: grupka żołnierzy w bunkrze. *Luty 1970*: żołnierz piechoty morskiej wysiada z samolotu na pustą płytę lotniska. *Maj 1997*: ten sam żołnierz, teraz w cywilu, stoi pod ścianą pomnika Poległych.

— Masz talent — uznała Mary.

— Temat był nośny — odparłam. — Miałam wrażenie, że obrazy malują się same.

Po sali wciąż kręciła się dziennikarka, przedstawiłam ją Jimowi i Mary. Miała najwyżej dwadzieścia pięć lat, lata sześćdziesiąte były więc dla niej w najlepszym razie podkolorowanym landszaftem.

— Co pan sądzi o pomniku Poległych w Wietnamie?
— zapytała Jima, wyczekująco unosząc gotowy do akcji długopis.

— Zobaczyłem na ścianie nazwisko mojego przyjaciela.

— I co pan wtedy zrobił?

— Zapłakałem.

Potem przeprosił ją i odszedł.

Mary podażyła śladem Julie i Clancy na zaplecze, Peter wrócił na swoje stanowisko przy drzwiach.

— Czy chcesz się ze mną przespacerować, Emily Hudson? — zapytał szeptem Jim.

Nie zawracaliśmy sobie głowy chodzeniem po płaszcze. Jim miał na sobie tę samą tweedową marynarkę co w maju, pod nią zaś czarny wełniany sweter; ja — długą prostą spódnicę i golf. Listopadowe powietrze było chłodne. Pomyślałam, że po raz pierwszy jesteśmy razem, kiedy panuje chłód.

— Ta ścieżka prowadzi do altany — powiedziałam.
— Możemy tam usiąść i porozmawiać.

Obejrzał się przez ramię.

— Będzie coś mieć przeciwko temu? — zapytałam.

— Bez obaw — odparł. — Jakoś przełknie.

Szliśmy ramię w ramię po kamiennej, miejscami oblodzonej ścieżce. Jim ujął mnie pod rękę, żebym się nie poślizgnęła, ale dopiero wtedy, kiedy galeria zniknęła z pola widzenia.

W altanie była kolista kamienna ława. Kiedy weszliśmy do środka, zaczął przyszyć śnieg. Usiedliśmy; Jim oparł łokcie na kolanach i ujął podbródek w dłoń.

I nie podnosząc wzroku powiedział:

— Czasem cierpię jak sto diabłów. Czasem nie mogę znieść, że jesteś daleko ode mnie.

— Wiem — odparłam. — Ja też za tobą tęsknię. Bez przerwy. Kiedy wieczorem zapadam w sen, przypominam sobie, jak to jest, kiedy trzymamy się w ramionach.

— No i co zrobimy? — zapytał. Wyprostował się, odwrócił w moją stronę, wziął mnie za rękę.

— Przrzekliśmy sobie nigdy więcej o to nie pytać — przypomniałam. — Kiedyś rzecz dotyczyła tylko nas. Byliśmy zakochani i to my dyktowaliśmy światu warunki. Teraz jest inaczej.

— Zbyt wiele ofiar — mruknął.

— Czy Mary chciała tu przyjechać?

— Chyba i tak, i nie. Sądzę, że spotkanie z tobą było jej potrzebne. Może po to, by postawić kropkę nad i.

— Jeśli chodzi o Petera, to czasem trudno powiedzieć. Spotkanie z tobą przyniosło rozwiązanie jakiejś zagadki. Ze swoją żoną i dzieckiem stałeś się dla niego kimś rzeczywistym.

Niewiele więcej mieliśmy sobie do powiedzenia. Objął mnie i zaczął całować — w szyję, policzki, usta. Śnieg padał coraz mocniej. Czas było wracać.

— Tak bardzo cię pragnę — wyszeptał.

— Zawsze cię będę kochać — odparłam. — Zawsze.

Kiedy po południu Jim opuszczał galerię, na ziemię spadały wielkanocne koronkowe płatki śniegu. Patrzyłam przez okno, jak oddala się z żoną i dzieckiem. Mary zawiązała szalik pod szyją Clancy, dziewczynka zaś jak zahipnotyzowana spoglądała w niebo i próbowała chwycić językiem śnieżynki. Jim musnął jej policzek grzbietem dłoni, a ona z uśmiechem położyła mu główkę na ramieniu.

Zaproszenie na wernisaż przyszło w sobotę rano na początku października. Emily upредиła mnie, że je wysyła. Pocztę ze skrzynki wyjęła tego dnia Mary.

— Ta kobieta wysyła nam zaproszenie na swoją wystawę malarską — oznajmiła. — Przypuszczam, że będziesz chciał pojechać.

Imię Emily zniknęło z naszych rozmów, Emily stała się tematem, którego unikaliśmy jak ognia, obszarem dla Mary zakazanym.

— Daj spokój, Mary — powiedziałem. — Nazywa się Emily Hudson, więc dlaczego z takim uporem mówisz o niej „ta kobieta”?

— Prosi, żeby bezzwłocznie dać znać, czy przyjedziemy — ignorując moje słowa ciągnęła Mary. — Akurat wtedy będziemy na ślubie Ellen, ale zamiast na otwarcie, mogliśmy pojechać w niedzielę.

Sądzę, że w tym czasie Mary była ciekawa Emily, chciała ją poznać jako istotę z krwi i kości, poznać naturę zagrożenia.

— Zadzwoń do niej — odrzekłem.

— Nie fatyguj się — rzuciła Mary, znikając w kuchni.
— Ja zadzwonię.

Słyszałem, jak rozmawia z Emily. Była uprzejma i powściągliwa.

— No i jak poszło? — zapytałem, kiedy wróciła.

— Świetnie — odparła. — Po prostu świetnie.

Nie jestem pewien, które z nas zmieniło się w ciągu minionego roku — Mary czy ja. Skłaniam się do myśli, że oboje. Słowa przemilczane są zapewne bardziej znaczące niż wypowiedziane. Mary częściej nosi teraz sukienki, chodzi do fryzjera, dba o usuwanie śladów siwizny, tak że jej włosy są w tej chwili niemal równie czarne jak wtedy, gdyśmy się poznali. W Łatajdzurze przeszła na pół etatu, ćwiczy regularnie na rowerze treningowym i używa perfum. Jakichś francuskich, nie potrafię wymówić ich nazwy.

Zmieniłem pracę i zarządzam teraz sklepem monopolowym w centrum Mobile. Noszę marynarkę i krawat. W sklepie są drewniane stelaże na wino, a także szklana gablota pełna drogich korkociągów i kryształów. Ceny wypisujemy złotymi literami na ciemnym tle. To był mój pomysł: kupiłem złote pisaki i zamówiłem tablicę z barwionego na czarno dębu. Wieczorami, kiedy wracam do domu, Mary kończy zwykle przyrządzanie kolacji. Nalewam dla nas po kieliszku wina i kiedy dopisuje pogoda, siadamy na werandzie. Clancy wciąż najchętniej bawi się nad strumieniem. Bardzo wyrosła, a jej rude włosy spływają aż na plecy. Lubimy ją z Mary obserwować.

Wciąż dygoczę, kiedy nocą spadają na miasto tornada, i wciąż jestem niepokieszony. Czasem patrząc w oczy Mary, żałuję, że nie mogę się przejrzeć w oczach Emily. Ale w oczach Mary jest nieustępliwość i to ona zapewne sprawia, że wciąż trwam przy żonie. Nadal jednak zbyt często, czekając godzinami na nadejście snu, rozmyślam o Emily. O tym, jak odrzuca głowę do tyłu, kiedy się śmieje. O tym, jak otacza mnie ramionami. Pamiętam ją i jako dziewczynę na plaży, i jako kobietę. Czasem te myśli mnie wykańczają. Ale nie chcę już wymazywać przeszłości, już się jej nie boję.

No więc wynajęliśmy samochód, żeby z Bostonu dojechać do New Canaan, gdzie miała miejsce wystawa Emily. Popadywał śnieg, Clancy, przesadnie opatulona przez Mary, spała na tylnym siedzeniu. Mary nie spuszczała wzroku z szosy i otwierała usta tylko po to, żeby nakazać mi zmniejszenie prędkości.

— Jest gołoledź, Jimmy — mówiła. — Odzwyczałeś się od jeżdżenia po nowoangielskich drogach.

Nie widziałem Emily od maja, sześć miesięcy, długich miesięcy. Z początku rozmawialiśmy ze sobą codziennie, ale potem to stało się zbyt bolesne. W kółko międliliśmy to samo. Kombinowaliśmy, co zrobić, żeby spotkać się ponownie, zwierzałyśmy się sobie z tęsknoty. Wspominaliśmy, ale niemal pragnęliśmy zapomnieć.

Wiedziałem, że facetem siedzącym przy wejściu do galerii jest Peter. Pewnie powinienem się mu przedstawić, ale obawiałem się trochę, że zada sobie pytanie, skąd wiem, kim jest. Przystojny gość był z tego Waltersa i przez moment czułem takie samo ukłucie zazdrości jak wtedy, kiedy Emily powiedziała mi, że jest ktoś inny. Wyobraziłem sobie Petera z Emily i odwróciłem głowę.

Przez środek sali szła w moją stronę Emily. Ramiona, które mnie tuliły, były skryte w rękawach wełnianego golfu. Poza nią Emily miała na sobie długą wąską spódnicę. Pomyślałem, że jest szczuplejsza niż wtedy w Waszyngtonie. Obcięła włosy, których linia kończyła się teraz na wysokości podbródka. Wyglądała ślicznie. Dziewczyna Jimmy'ego.

Myślę, że Mary zbiła z pantałyku serdeczność powitania Emily, nie wiem zresztą, jakim cudem Emily wykrzesła jej z siebie aż tyle. Spisała się znacznie lepiej niż ja z Peterem. Oburącz uściśnieła dłoń Mary i powiedziała, że jest szczęśliwa ze spotkania. Clancy uznała później Emily za ładną panią. Uczyniła to w obecności Mary, która chyba nie była zachwycona opinią małej. I wtedy Clancy w ten swój niepowtarzalny sposób dodała; „Ale nie tak ładna jak mamusia”. Mary uśmiechnęła się do niej.

Podszedł Peter i zanim Emily zdążyła go przedstawić, wyciągnął do mnie rękę.

— Jestem mężem Emily—powiedział. — Peter Walters. Miło cię poznać, Jim.

— A to moja żona, Mary — odrzekłem.

Nie wiadomo skąd przybiegła w podskokach Julie. Charakterem przypomina matkę, fizycznie natomiast — ojca. Jest ciepła i otwarta.

— Cześć, panie Moran! — zawołała. — Poznałam pana z obrazów mamy.

Potem wzięła Clancy za rękę i gdzieś uprowadziła. Zwiedziliśmy z Mary galerię, a Emily i Peter podążali kilka kroków za nami.

Ten dzień był egzaminem z samokontroli. Musiałem zmobilizować całą siłę woli, aby po tylu miesiącach ograniczyć się do pocałowania Emily w policzek. Uścisnąć Peterowi rękę. Przedstawić swoją żonę.

Pamiętałem nasze majowe spotkanie na lotnisku. Jakże łatwo przyszło mi wtedy przytulić ją ze wszystkich sił, dotknąć policzkiem jej policzka... i oto teraz witałem ją jak czyjaś żonę na przyjęciu. Ale w tym właśnie rzecz: była czyjaś żoną. A moja stała tuż obok.

Zdumiewające, jak trafnie przedstawiła mnie Emily na swych obrazach. Nie znałem jej dotąd jako malarki, znałem tylko tę Emily, która mnie kochała. Opowiadała mi wprawdzie o swoim malowaniu, ale nie spodziewałem się, że będzie aż tak, cóż, tak poruszające. Zdolne oddać charakter młodego chłopaka. Zachwycił mnie mój portret w mundurze piechoty morskiej, precyzyjny jak zdjęcie promocyjne. Skąd pamiętała tak dobrze? Szkoda, pomyślałem, że nie może tych obrazów zobaczyć mój ojciec.

— Są naprawdę bardzo dobre — powiedziała Mary do Emily. — Jesteś prawdziwą artystką.

— Staram się — odparła Emily.

Nie wiem, dlaczego Mary wpadła na pomysł, żeby sprawdzić, co tam z Clancy. Może czuła się zakłopotana, może przypuszczała, że za nią pójdę. Zresztą rozważałem przez moment taką ewentualność. Może w końcu dlatego, że Peter wrócił do swojego stolika przy drzwiach, co Mary uznała za sygnał, by się rozejść. Kiedy tylko oboje oddalili się na bezpieczną odległość, zapytałem Emily szeptem:

— Czy chcesz się ze mną spacerować, Emily Hudson?

Na dworze panował mróz. Nie wzięliśmy palt. Galeria była przeszklona jak akwarium, długo więc szedłem ostentacyjnie odsunięty od Emily. Ścieżka kończyła się przy

altanie. Dała nam schronienie przed wiatrem, ale nie przed chłodem.

Wtedy uświadomiłem sobie, że nigdy nie byliśmy razem w zimie. Tylko wiosną i latem, kiedy było ciepło i kwitły kwiaty. Nagie drzewa i białe niebo budziły we mnie bez mała lęk, jak zły omen. Wszystko wokół było odarte z życia, umierające lub już martwe. Opierałem głowę na dłoniach, gdy Emily dotknęła mego karku.

— Jest tak zimno — zauważyłem — a ty masz tak ciepłą rękę.

Wyprostowałem się, objąłem Emily, zacząłem całować jej twarz i usta.

— Obcięłaś włosy — powiedziałem, kiedy odsunąłem się na moment, żeby spojrzeć jej w oczy. — Cudownie wyglądasz.

— Ty też, Jim — odparła. — Tęskniłam za tobą.

— No i co my zrobimy, Emily? — zapytałem.

Ale wiedziałem, że nie ma żadnej odpowiedzi.

— Cieszę się, że jesteś — uśmiechnęła się lekko.

— Ale co z nami? — nie dawałem za wygraną. Zamknąłem oczy.

Dawno, dawno temu było nas tylko dwoje. W Waszyngtonie też było nas tylko dwoje. Teraz otaczało nas siedem innych istnień. Mogło paść zbyt wiele przypadkowych ofiar.

Raz jeszcze wzięłem Emily w ramiona. Bezgranicznie jej pragnąłem, nie chciałem, by znów ode mnie odeszła.

Wracaliśmy ścieżką trzymając się za ręce; puściliśmy swoje dłonie dopiero wtedy, kiedy zamajaczył przed nami budynek galerii.

— Zawsze cię będę kochał, Emily Hudson — wyszeptałem.

Znów jest maj. Od naszego spotkania w Waszyngtonie minął rok jak obszył, od ostatniego — sześć miesięcy. Ale to drugie, w galerii, było czymś zupełnie innym. Dlatego miałam wrażenie, że nie widziałam Jima Morana od roku.

W tę niedzielę, kiedy przyszedł na wystawę, sprzedawałam dwa obrazy.

Maj 1997 kupił bogaty biznesmen, którego syn zginął w Wietnamie. Wstąpił do wojska na ochotnika, był sanitariuszem. Zginął w masakrze pod Khe Sann, usiłując uratować komuś życie. Jim zastanawiał się, czy tym kimś nie był przypadkiem Quinn McBride.

Grudzień 1969 kupiła kobieta o imieniu Rosę, której mąż zdobył Purpurowe Serce za odwagę okazaną podczas ofensywy w święto Tet. Rosę oświadczyła, że da mężowi obraz na urodziny. Jim kwestionował sensowność tego pomysłu.

Czerwiec 1967, chłopiec na plaży, wisi w mojej pracowni. Ten nigdy nie był przeznaczony na sprzedaż. Płótno przedstawiające Jima po ukończeniu szkolenia wysłałam Moranom. Jim mówił, iż żałuje, że jego ojciec nie może go obejrzeć.

Pozostałe, zapakowane w brązowy papier i obwiązane sznurkiem, stoją w kącie pracowni. Niełatwo mi na nie patrzeć.

Czasem oszałamia mnie tempo, w jakim pędzi życie. Za pieniądze zarobione latem na plaży Jack kupił sobie samo-

chód, granatowego mustanga z 1966. Jack jest w tej chwili u swojej dziewczyny. Z jej imienia — Jill — Sam i Charlie wyśmiewają się bezlitośnie, ale Jack jest zbyt zakochany, żeby się tym przejmować. Sam i Charlie pracują po szkole w lodziarni. Julie w swoim pokoju chichotliwie rozmawia przez telefon z przyjaciółką, Amandą. Teraz jednak, inaczej niż w ubiegłych latach, pamięta, żeby zamykać drzwi. Podśluchiwałam przez kilka minut i wiem, że rozmawiają o jakimś Tommym. Julie utrzymuje, że Tommy jest super i pyta Amandę, czy jej zdaniem Tommy ją lubi. Och, wzdycham w myślach, to dopiero początek.

Wszyscy dojrzewają, a przecież nawet w dojrzewaniu jest kojące poczucie trwania.

W grudniu nastąpiła wymiana kartek bożonarodzeniowych. Dostałam zdjęcie Clancy, która ubrana w czerwoną sukienkę trzymała w ramionach swojego nowego kotka. Wysłałam zdjęcie swoich dzieci siedzących na trawniku w ogrodzie. Białe trykoty chłopców kontrastowały z jaskrawą zielenią liści. Julie miała na sobie džinsy i luźne gieźło. Stwierdziła, że styl lat sześćdziesiątych to teraz ostatni krzyk mody. Na gwiazdkę chciała dostać srebrną pacyfę.

Tego dnia rozmawialiśmy z Jimem o sylwestrze: my urządzimy przyjęcie w domu, będą dzieci z przyjaciółmi i nasi znajomi. Jim i Mary wybierają się do sąsiadów. Powiedziałam, że w Nowej Anglii panują chłody, a na Nowy Rok są zapowiadane burze śnieżne. W Mobile, odrzekł Jim, nadal jest ciepło, tak ciepło, że praktycznie mogłyby zakwitnąć azalie.

W styczniu zadzwonił, żeby złożyć mi życzenia urodzinowe. Ja tak samo postąpiłam w marcu, z okazji jego urodzin. Trudno uwierzyć, że ma prawie pięćdziesiąt lat. W zeszłym miesiącu poinformował mnie telefonicznie, że ma nową pracę.

— Zostałem menedżerem prawdziwego sklepu z alkoholem w Mobile — powiedział. — Coś w takim stylu jak Sherry-Lehman. Koniec z plastikowym identyfikatorem. Mary przeszła na pół etatu i teraz chodzi do pracy tylko trzy razy w tygodniu.

Clancy zachorowała na ospę wietrzną. Jim ma wysoki poziom cholesterolu. Mary chce zaadoptować następnego dziecko. Jim optuje za chłopcem.

Powiedziałam mu, że znalazłam pierwszy siwy włos na swojej skroni.

— Wiesz, że szarości to nie jest moja specjalność — odrzekł.

— Jack jesienią idzie do college'u — oznajmiłam. — Georgetown w Waszyngtonie, D.C. Jako pierwsze z moich dzieci wyfrunie z gniazda.

— A więc — zauważył — zapewne będziesz w przyszłym roku bywać w Waszyngtonie.

— Pewnie tak — odparłam i chciałam powiedzieć coś jeszcze, ale mi nie pozwolił.

— Ani słowa więcej — ostrzegł.

Dobrze, ani słowa więcej.

Peter nadal do późnych godzin przesiaduje w biurze, ale ostatnio stara się przynajmniej raz albo dwa razy w tygodniu wracać wcześniej. Podczas kolacji nie odbieramy telefonów, co zwłaszcza ze strony Petera wymaga ogromnej siły woli. Podśmiewamy się z jego starań.

Na Cypel Toda jeżdżę teraz z rzadka, już nie czuję takiej potrzeby. Głównie maluję w pracowni, a oleje zastąpiłam akwarelami. Jeżdżę do miasta na kurs ceramiki. Wyszukuję sobie zajęcia. Chociaż nigdy nie jestem aż tak zajęta, żeby przestać pamiętać.

Myślę o nim każdego dnia, przez wiele miesięcy każda z naszych rozmów kończyła się zapewnieniem, że „będę cię kochać zawsze”. Ale rozmowy stawały się coraz radsze i radsze, przestaliśmy pytać „No i co my teraz zrobimy?”. Ostatni raz to pytanie padło w galerii. Oboje znaleźliśmy odpowiedź.

Złoszczę się czasem, że on jest tam, a ja tu. Rozmyślam o naszych dzieciach i o tym, jak potoczą się ich losy, kiedy zaczną żyć na własną rękę. O ich kochankach, mężach i żonach. Zastanawiam się, co bym czuła, leżąc każdej nocy w jego ramionach. Przynosząc mu czarne kawę każdego ranka. Będąc przez niego witana, kiedy po południu wra-

cam z plaży. Rozmawiając z nim przy kieliszkach z letnim winem.

Potem jednak nachodzą mnie zupełnie inne myśli. O tym, co czułaby Julie nie odprowadzana przed ołtarz przez oboje rodziców, co podczas rozdania dyplomów czułby Jack, gdybyśmy z Peterem siedzieli w dwóch przeciwnych końcach auli. Czy dzieci wybaczyłyby mi, gdybym rozwaliła nasz dom? Myślę o Clancy, adoptowanej przez dwoje ludzi, którzy obiecali, że będą jej rodzicami. Zawsze. Razem.

Przez lata sądziłam, że gdzieś w głębi mnie trwa schwyta-
na w pułapkę szesnastoletnia dziewczyna. Dziewczyna, której pierwsza miłość była może w znacznym stopniu wytworem romantycznych fantazji i dlatego legła w gruzach, gdy chłopiec powrócił zamieniony w mężczyznę innego niż ten, którego kreśliły jej nadzieje i wyobrażenia. Szkoda, że nie stało się tak naprawdę. Ale to by było zbyt proste. Chłopiec przemienił się w mężczyznę, a ja go wciąż kochałam. Szesnastolatka wciąż we mnie trwa. Skryła się głęboko, ale istnieje. Na jeden weekend wyszła z ukrycia, teraz jednak znów jest ledwo cieniem. Chyba w takich właśnie kategoriach powinnam z Julie rozmawiać o dojrzewaniu.

Nie chcę przez to powiedzieć, że nie kocham męża. Nie jestem ani mitomanką, ani egoistką; wiem, jak mocno Jim kocha Mary, może nawet sam nie zdaje sobie sprawy, jak mocno. Jestem przekonana, że kocha Mary za jej siłę, zdolność poruszania się w strefie szarości. Chciałabym wierzyć, że ludzie kochają się za to, kim są i kim nie są.

Jeśli chodzi o mnie, to moja miłość do Petera jest bardzo delikatnej natury. Peter to dobry, uczciwy człowiek i kocha mnie — dochodzę do wniosku — najlepiej, jak umie. W jedyny znany mu sposób. Może w jedyny, na jaki mu pozwoliłam.

Przypuszczam, że pewnego dnia znów spotkam się z Jimem, ale w tej chwili to nie jest po prostu możliwe. Nie ma ważnych powodów, żebyśmy byli ze sobą, choć bywają dni, gdy bardzo tego pragnę. Gdy marzę, by zasypiać z głową na jego piersi, budzić się w jego ramionach, niepokoić, czy prowadzi ostrożnie, odżywia się właściwie, czy jest szczęśliwy.

Mamuśka w każdym calu, powiedziałyby na to.

Za kuchennym oknem zachodzi słońce i wiem, że niebawem zazgrzyta żwir na podjeździe i Peter wróci do domu. Drzwi samochodu otworzą się i zatrzasną, wszystko będzie takie samo jak zawsze, a jednak trochę inne. Dziś wieczorem położyłam na blacie deskę do krojenia, nóż, papierowy ręcznik i nawet nakryłam do stołu. Ale nie przyrządziłam kolacji. Wiatr wciska się do kuchni przez okno i wiem, że ten wieczór jest szczególny. Ciężko mi na sercu. Chcę skrzyknąć wszystkie dzieci i pojechać do restauracji na Compo Beach. Chcę znaleźć się w miejscu, skąd widać morze i gdzie powietrze ma słony smak. Peter będzie się wymigiwał, proponował, że zrobi makaron albo coś zamówi, Sam i Charlie jękną, że są zmęczeni po harówie w lodziarni, Julie oświadczy, że woli zostać w domu, bo musi umyć włosy, Jack z pewnością wybierze wieczór z Jill.

Więc może koniec końców zamówię dla dzieci pizzę i pojedę tylko z Peterem. Siądziemy nad Cieśniną i będziemy rozmawiać o zbliżającym się lecie. I o jesieni, kiedy Jack wyjedzie do college'u. Wtedy Peter weźmie mnie za rękę i oboje westchniemy, a ja zadam sobie pytanie, czy zrozumiał cały sens mojego westchnienia.

Moje serce będzie cierpieć pamiętając, ale stanowczo nie zechce zapomnieć. Wciąż dźwięcznie, jakby to było wczoraj, brzmia mi w uszach jego słowa: „Czy przespacerujesz się ze mną, Emily Hudson?” Bo widzicie, ta miłość była nasza. Ta miłość jest moja. Wciąż jest, wbrew wszystkim i wszystkiemu.

I patrząc na Cieśninę rozumiem, że jakąś cząstką duszy wciąż jestem na plaży z Jimmym Moranem. Jakąś cząstką duszy wciąż będę dziewczyną Jimmy'ego.